

Pragnienie zemsty może
sprawić, że straci wszystko.
Nawet ją.

Dla fanów *Raw* i *Jej Stalkera*

PRAGNIENIE

zemsty

MONIKA GAJOS



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

MONIKA GAJOS

**PRAGNIENIE
ZEMSTY**

OŚWIĘCIM 2022

Copyright © 2022
Monika Gajos
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Katarzyna Moch
Korekta:
Magdalena Mieczkowska
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-043-9

SPIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Epilog

Rozdział 1

Samuel

Śnieżynka.

Mała, pierdolona śnieżynka.

Przypomina mi ją. Och, kurwa, i to bardzo! Z wyglądu, z zachowania. Jest delikatna, dokładnie tak jak ona. Taka krucha, taka wrażliwa. Każdy ruch wykonuje z gracją, pewną subtelnością, której nawet pieprzony płatek śniegu mógłby pozazdrościć. I tak jak on, długo nie przetrwa. Mam ją prawie w garści. Wystarczy, że zamknę wokół niej dłonie, a ulegnie pod wpływem nacisku. Będzie po niej. To kwestia czasu. Kilku chwil, nad którymi mam pełną kontrolę. Nadal nie zacisnąłem palców.

Jeszcze nie teraz.

Czekam na właściwy moment, a jestem cierpliwym graczem. W końcu trwałem w zawieszeniu całe cztery lata. I wystarczy. Nie chcę przeciągać dłużej niż to konieczne, zbytnia zwłoka niesie za sobą coraz większe ryzyko niepowodzenia. Nie mogę popełnić błędu. Nie stać mnie na to.

Już nie.

Przyglądam się dziewczynce, która wciąż wiruje na lodzie. Obraca się wokół własnej osi raz po raz i cieszy się przy tym idiotycznie. Jakby miała z czego, jakby brała za pewnik to, że jutro nadejdzie. Rozwieję te wątle nadzieje. W końcu w życiu niczego nie można być pewnym. Ja byłem. Przez jakiś czas naprawdę żyłem w przekonaniu, że nic nie będzie w stanie mnie złamać. To był pierwszy błąd. Kolejnym było uznanie, że swoją niezłomnością ochronię wszystko, na czym mi zależało. Otaczająca mnie pustka jest oczywistym dowodem porażki.

Wszystko przez nich.

Przez niego.

Odszukuję go wzrokiem akurat wtedy, kiedy przytula do siebie swoją kobietę. *Miło, kurwa*. Mnie tak nie było, gdy nagle zostałem pozbawiony tchu, a ziemia osunęła mi się spod nóg. Za jego sprawą. Teraz to wiem, choć tak starannie ukrywał prawdę, że na moment sam pozwoliłem się oszukać. Ona jednak zawsze wypływa na wierzch. Prędzej czy później. Wystarczyło nadstawić ucho w odpowiednim kierunku i wsłuchać się w prawdziwie przyjacielskie, uczynne szept. Stało się. Zdrajca został ujawniony. Stoi teraz w świetle reflektorów, a cała mistyfikacja rozsypała się w drobny pył. Nie jest jeszcze tego świadomy, jasność nie zdążyła porazić go w oczy. Przykre. Odebrał mi coś, co było dla mnie najważniejsze, ale zdaje się wcale o tym nie pamiętać. *To nic!* Przypomnę mu. Wskrzeszę dawne wspomnienia, bo bardzo chcę mu podziękować. Zawsze byliśmy sobie równi i tym razem też tak będzie.

Fakt, że mógłbym to zrobić nawet w tym momencie, jest, kurwa, przezabawny. Dylan nie zwraca na mnie uwagi, choć nie chowam się szczególnie. Gdyby tylko się rozejrzał, sam by się o tym przekonał. Niestety przez lata upływające mu w spokoju stracił czujność i nadal trzyma się kurczowo tego idiotycznego przekonania, że jeżeli coś nie nadeszło od razu, to nie nadejdzie nigdy. A przecież zemsta najlepiej smakuje na zimno. Dopiero wtedy można tak naprawdę się nią delectować, bez narażania się jednocześnie na poparzenie. Nie rozumie tego. Nie myśli, nie analizuje. Nie uważa. Poczł się cholernie bezpiecznie i jest za bardzo pochłonięty zabawą. Uciekł od przeszłości. Pozornie i tylko we własnych przekonaniach, bo od niej nie da się zwać, nawet gdyby biegło się najszybciej, jak to możliwe. Jemu już teraz płaczą się nogi, choć przecież ułożył sobie swoją bajkę i wydaje się w niej naprawdę szczęśliwy. Pięknie. Tylko dobre zakończenie nie jest pisane dla wszystkich.

Najbardziej wkurwia mnie owoc ich miłości.

Maddison.

– Mamo, mamo! – Jak na żądanie dźwięczny dziecięcy śmiech niesie się przez tłumy i dociera do moich uszu, ostro wbijając się w bębenki, aż zgrzytam zębami. – Patrz, umiem na jednej nodze!

Mimo że polecenie nie było skierowane do mnie, ja też patrzę. I cóż, to nie skończy się dobrze.

Nie ma, kurwa, opcji.

– Ślicznie, skarbie!

– Tatuś mnie nauczył! – Ciesz się mała. – O, a spójrz teraz! Będzie piu... piruet! Jak panie w telewizji!

Dziewczynka musi czuć na sobie to spojrzenie, bo zamiast mknąć dalej po lodzie i kręcić te jebane kółka, zatrzymuje się raptownie i odwraca w moją stronę, a uśmiech znika z jej ust, jakby właśnie zobaczyła przed sobą potwora, który do tej pory grzecznie siedział pod łóżkiem. Straszyl, ale przecież był niegroźny. Teraz przestał się chować. I jest.

Jestem.

Stoję przy bandzie pośród tłumu, nie wyróżniając się niczym szczególnym, ale mam wrażenie, że ona patrzy wyłącznie na mnie. Tak jakby czegoś się domyślała. Jakby już wiedziała. Ma długie blond włosy jak jej matka i duże błękitne oczy, dokładnie takie jak ojciec. Płatanina dobrych genów stworzyła dziecko o urodzie lalki z niemal porcelanową cerą oraz wyraźnie zarysowanymi policzkami, które teraz mróz dodatkowo naznaczył mocnymi rumieńcami. Łapiemy kontakt, choć wydaje mi się, że tylko ja trzymam ją w swoich sidłach. To, że tkwi w bezruchu i ciągle utrzymuje pion, jest moją zasługą. Chcę tak myśleć. Wystarczy, że mrugnę, a niewidzialne nitki zostaną brutalnie przerwane. Straci oparcie jak drewniana kukiełeczka, której ktoś dla zabawy odciął sznurki. Robię to z olbrzymią przyjemnością. Naciągam kaptur na łeb i odwracam głowę w bok. Ostatnie, co widzę, zanim przerywam to połączenie, to to, jak Maddie otwiera różane usteczka w wyrazie zdumienia i traci równowagę. Gleba. Upada na lód i leży.

Mówiłem, że będzie boleć. A to nawet nie początek.

Koniec przedstawienia.

Na razie.

Nie oglądam się za siebie, bo to nie do mnie należy sprzątanie po tym spektaklu. Jak zawodowy człowiek-cień znikam, gdy pojawia się zbyt wiele światła. Odchodzę, wracam do swojego królestwa.

Opuszczam urocze tereny West Village i kieruję się na południe, wzdłuż Jefferson Avenue. Zostawiam daleko za sobą lodowisko oraz ciąg identycznych, wzorowo zadbanych, białych domów

jednorodzinnych wyjętych rodem z katalogu jednej z topowych deweloperskich agencji. Klony, zero unikalności. Nawet pieprzone paprotki zdają się stać na parapetach dokładnie w tych samych miejscach. I te fury! Żwirowe podjazdy zajęte są przez prawdziwe bestie, o jakich marzą nastoletni chłopcy. Marzą i śnią, wieszając nad swoimi łózkami plakaty z podobiznami tych cacek, a potem harują całe życie, wlepiając tęskne spojrzenia w obrazki, jakby siła myśli miała sprawić, że te się zmaterializują. Niestety, dla większości auta nie chcą ani stać się trochę bardziej realne, ani dojechać bliżej, aby znaleźć się na wyciągnięcie ręki. Zerkam na nie ukradkiem i przyspieszam kroku, żeby nie kusić losu, a wraz z pokonaną odległością bogactwo zdaje się rozpraszać, rozmieniać na drobne. Rozsypywać. Zanikać... Przemierzam kolejne ulice i wchodzę coraz głębiej w mrok. Dopiero kiedy nie wyczuwam zapachu mamony, biorę głębszy oddech. Paradoksalnie jest mi lepiej, bo już miałem wrażenie, że cudzy dobrobyt w końcu mnie udusi.

Pogrąży w bezdechu.

To Morningside przynosi otrzeźwienie. Jak zawsze. Chociaż od lat już krążę po świecie i podróżuję niczym niespokojny duch, wędrowiec, uciekinier, nigdzie nie zatrzymując się na dłużej, to od tej dzielnicy odbijam się najczęściej. Kolebka młodości zapewniająca cholerny powrót do korzeni, a tak naprawdę podły rejon, pełen rozsypujących się budynków oraz ledwo przędących firm na skraju bankructwa. Siedziba żałości i niespełnionych aspiracji. To tutaj też znajduje się nora, w której się wychowałem. Mieszkanie moich starych. Opustoszałe, bo oni sami zbyt wcześnie zwinęli się z tego świata. Ich już nie ma, ale przytulne gniazdko w każdej chwili pozostaje dla mnie dostępne. Mogę się w nim schować niczym w matczyńskich ramionach. Oczywiście pozostając cały czas czujnym i nie pozwalając się przez nie zmiażdżyć.

Przyznaję, czasem chciałbym uwolnić się od tego miejsca równie mocno jak od męczącej przeszłości. Powinienem zrobić to dawno, ale sama świadomość nie sprawia, że cel jest bardziej realny. I nie stanie się taki, bo wciąż ciągną mnie tu niedokończone sprawy, niewyjaśnione spory. Nic dobrego, a jednak przekraczając umowną

granicę między dzielnicami, nabieram pewności, że właśnie tu mogę być tak naprawdę sobą. Nic mnie nie zaskoczy. Nie jest w stanie.

Bieda nigdy nie była dla mnie obca, towarzyszyła mi już od dziecka. Przez okrągłe ćwierć wieku na zmianę wozila się na moich barkach, a gdy w jakiś sposób udawało mi się ją zrzucić i uciec, niemal natychmiast mnie doganiała, by z uporem maniaka znowu zacząć deptać po piętach. Mieliśmy tylko chwilowy rozłam, gdy porzuciłem znajomość z nią na rzecz kontaktów z odpowiednimi ludźmi. Zapracowałem na ich uwagę, a oni wprowadzili mnie w zupełnie inny, wcześniej pozostający poza wszelkim zasięgiem świat. Na moment. Zbyt krótki. Zbyt długi. Liznąłem bogactwa i był to przyjemny smak, nadal czuję go w ustach, bo nie da się o nim tak łatwo zapomnieć, ale jego utrata wcale nie była bolesna. Raczej okazała się oczekiwana. Może dlatego mijane właśnie pustostany nie robią na mnie takiego wrażenia, jak powinny.

Mnóstwo rzeczy mogło się we mnie zmienić, ale stare przyzwyczajenia trudno z siebie wyplenić ot tak. Tylko z tym sobie nie radzę. Całą resztę szlag jasny trafił. I dobrze. Jestem pewien, że niewielu, mając przed sobą to, co obecnie reprezentuję, dopatrzyłoby się we mnie tego człowieka, którym byłem kiedyś. Pewnie uznaliby, że w niczym go już nie przypominam. Słusznie. Zmiany zaszły, i to nie tylko fizyczne. Tamtego kołesia już nie ma.

Ukatrupiłem sam siebie.

Nie dosłownie, ale zabójstwo zmienia ludzi. Dokonując go po raz pierwszy, morderca tłamsi w sobie człowieczeństwo, niewinność, z jaką każdy przychodzi na ten padół łez. Coś się zmienia, coś znika. Nieodwołalnie. Nie ma znaczenia, że w tym przypadku nie był to dobrowolny strzał, a raczej oddany w rozpacz, żeby pomścić kogoś, kto miał szansę jeszcze pobyć na tym świecie, ale ktoś inny uznał, że był już wystarczająco długo. Fakty pozostają faktami. Kulka poszła w ruch, trafiła w cel, choć z perspektywy czasu wiem, że nie ten, który powinien zostać obrany. To nie ma znaczenia, bo mentalnie i tak odbiła się rykoszetem. Jeden mózg na ścianie, a trupy mamy dwa.

Z tej drogi nie ma już powrotu.

Wszedłem na nią po raz pierwszy wiele lat temu, choć mój debiut był nieplanowany. Wymusił go fatalny zbieg okoliczności, ale jego konsekwencje zbyt łatwo zostały zaakceptowane. Znalazłem dla siebie usprawiedliwienie i z każdym kolejnym razem rozbudowywałem je coraz bardziej. Początkowo była to tylko piekielna potrzeba sprawiedliwości, potem walka o przeżycie, nagląca potrzeba utrzymania się w pionie, aż w końcu odpuściłem i przestałem na siłę się wybielać. Wraz z biegiem czasu i liczbą posłanych do piachu ludzi to przestało już mieć znaczenie. Wszystko, co gryzło i nie dawało mi spokoju, stało się jedynie podłym przyzwyczajeniem.

Zaakceptowałem to, że stałem się mordercą.

Zbliża się wieczór, szybko zapada zmrok. Witam go z radością, siadając na schodkach prowadzących do starej kamienicy. Chcę się nim napawać, póki całkiem mnie nie pochłonie i nie sprawi, że staniemy się pierdoloną jednością. W końcu ciemność to ja. Od zawsze. Tak samo straszni, tak samo odpychający. *Zajebicie*. Nie potrzebuję nikogo, a ludzie nie chcą otaczać się większym mrokiem, niż są w stanie znieść i samemu przy tym nie zgasnąć. Wszyscy się tego boją. Uciekają. Desperacko szukają światła nawet tam, gdzie go nie ma i gdzie nigdy nie zapłonie. Sztucznie kreowane nie jest w stanie sprostać zadaniu, a mimo to niektórzy próbują udawać.

W jednym z metalowych koszy po drugiej stronie ulicy ktoś właśnie podpalił śmieci, rozpalił ognisko. Ustawiają się wokół niego zmarznięte tłumy, spragnione ciepła i jasności, jakby to ono mogło cokolwiek zmienić w ich podłych życiach. Wyciągają brudne łapy, żeby choć na chwilę je ogrzać i ochronić przed mrozem. Bezwolne ludziki. Poddają się powiewom wiatru. Lecą tam, gdzie ich zawieje, nie próbując stawić temu czoła. Cierpią i płaczą, ale nie robią nic, aby polepszyć swój byt. Biorą tylko to, co daje im los, i nie chcą choćby pomyśleć, że da się osiągnąć coś więcej. Przegrani kretyni.

Wodzę wzrokiem po osmolonych twarzach. Znam historie właściwie każdego z nich. Wiem, co stało się w ich życiach, co zawaliło, co nie zadziało tak, jak powinno. Kto kupił i stracił, kogo poniosły emocje i opuściło opanowanie. Efekt jest jednaki. Niczym się od siebie nie różnią. Szara masa, zero wyższych uczuć, choćby

najmniejszej chęci zmiany czegokolwiek. Wszędzie za to potworne zobojętnienie i tępota, jakby nie zależało im już na niczym.

Robi mi się od nich niedobrze. Patrząc na ten obrazek, dociera do mnie, że się mylę. To nie ja żyję w ciemności. To oni błędzą na oślep. Wszyscy są tacy sami, nikt się nie wybija. Prawie.

Prawie, bo wtedy dostrzegam właśnie ją.

Dziewczyna w szarym, znoszonym swetrze stoi pośród tłumu. Jednak jeżeli chciała się wtopić w grupę, to ta sztuka jej nie wychodzi. Przed nią nikt nie odwraca wzroku. Nikt nie chce uciekać. Chociaż ma na sobie stylizację ubogiej staruszki i stara się nie wyróżniać, to i tak na pierwszy rzut oka widać, że się tu nie odnajduje. Musi być nowa. Albo zwyczajnie ściemnia. Zdradza ją to bystre, pełne energii spojrzenie błękitnych tęczy. Wciąż można dostrzec w nich iskierkę inteligencji, która wraz z pobytem na ulicy stopniowo gaśnie. U niej jest niezmacona. Jeszcze. I kusi wszystkich, bo lgną do niej jak głupie ćmy do światła lampy. To może być tragiczne zderzenie. Zabójcze. Ale ich to nie rusza. Zupełnie jakby zapomnieli, że na ulicy liczy się nieufność. Zbytnią poufałość zwykle okazuje się bolesna, a nieznojoma tak mocno promienieje tym wewnętrznym blaskiem, że to aż razi.

Krząta się między grupkami bezdomnych. Panuje cholerny ziąb, ale ona nie ma na sobie kurtki. Na dłonie naciągnęła jedynie wełniane rękawiczki, ale dziwne takie, bez palców. Mogłaby sobie darować. One jej nie pomogą, nie ochronią przed mrozem ani przed niczym, co może ją tutaj jeszcze spotkać. Wystarczy na nią spojrzeć. Opuszki już ma zaczerwienione. Widzę to dokładnie, bo obserwuję, jak raz po raz sięga do dużego, blaszanego gara, który przywieźli wolontariusze. Przywieźli i tyle, bo to ona ich wyręcza. Przejęła metalową chochlę i sama chętnie rozlewa zupę, po czym rozdaje parujące talerze zgromadzonym. A raczej stara się to robić, ale z trudem nadaża w pojedynkę, bo tłum wciąż się powiększa, napływa. Na nikim nie robi to jednak wrażenia. Dwóch młodych mężczyzn z Fundacji, którzy być może mogliby jej pomóc, wcale się do tego nie pali. Stoją obok auta beczynnie i ucinają sobie pogawędkę, jarając fajki. Ignorują ją, a ona działa i nie prosi o nic.

Intryguje mnie.

Blond włosy, tak jasne, że sprawiają wrażenie wręcz srebrnych, kręcą się w drobne sprężynki. Podskakują przy każdym ruchu, gdy odczynia te swoje dzikie tańce wokół gara. Trzeba przyznać, że wczuła się w rolę gospodyni. Krąży niczym zawodowa czarownica, zmysłowa wiedźma, choć ta czupryna nadal wygląda jak aureola. *Aniołek*. Tak, zdecydowanie bliżej jej do anioła. Musiała gruchnąć z wysoka o ziemię, bo nikt normalny nie wzięłby dobrowolnie udziału w karmieniu tych szmaciarzy, życiowych nieudaczników i podłych szumowin z całego miasta, zgromadzonych w jednym punkcie. To nie jest dobre miejsce, brak tu dobrych ludzi. Dobroć, którą ona przytaszczyła ze sobą, może okazać się niewystarczająca i pod naporem ciemności zwyczajnie zgasnąć. Dziewczynie najwyraźniej sprawia to kurewską radość, bo uśmiecha się do każdego łagodnie i z czułością, jakby nie widziała, że przecież oni sami zapracowali na swój los. Gdyby postarali się bardziej, nie skończyliby w ten sposób.

Chcę się dowiedzieć, kim ona jest i dlaczego tak bardzo rządzi się w mojej dzielnicy. Czemu przejęła panowanie i czuje się tu tak pewnie, gdy zniknąłem ledwie na chwilę. Wstaję i podchodzę bliżej. Poruszam się jak w transie, choć czujność nie chce się ode mnie odzepić. Wrzeszczy zawzięcie, ale ją uciszam. Przechodzę przez ulicę, nie spuszczając oka z nieznajomej.

Ledwie zauważam, że od gara właśnie odsuwa się jeden z dzieciaków od Campbellów. Nigdzie nie ma jego młodszej siostry ani ich starych. On z kolei jest tak zaaferowany, że nie zwraca na nic uwagi. Niechętnie rzucam na niego okiem. Brudne łachmany wiszą na nim luźno jak na wieszaku, a obsmarowana sadzą buźka zmizerniała od ostatniego razu, gdy widziałem go kręcącego się po okolicy. Teraz jest jeszcze barwniejsza, bo zdobi ją kilka nowych siniaków. Trzyma w małych dłoniach talerz z zupą. Kurczowo, jakby od tego, czy dotrze z nim do celu, zależało całe jego życie. Albo i nie tylko jego, bo nie zabiera się od razu za jedzenie, a szybko oddala od zbiegowiska. Dzielnie niesie swoją zdobycz. Jest skupiony na niej do tego stopnia, że nie patrzy, dokąd zmierza, a kieruje się prosto w moją stronę. I to błąd. Diabelski.

Los lubi kpić z człowieka. Czasami rzuca mu pod nogi głązy, a czasami kamyki. Dla niektórych nawet ziarnko piasku może okazać się problematyczne i być przyczyną porażki. Tak jak tutaj, bo łamaga potyka się na prostej drodze. Co gorsza, znajduje się zbyt blisko, przez co cała zawartość naczynia chlusta prosto na moje spodnie. Gorąco przenika przez warstwę materiału, ale nawet nie drgnę. Nie mrugam. Zatrzymuję się, a dzieciak unosi podbródek i spogląda na mnie ze strachem. Nie wiem, czy bardziej obawia się konfrontacji ze mną, czy tego, co zrobią z nim jego starzy, gdy okaże się, że jednak nie załatwił żarcia. Nie potrafię go rozszyfrować, ale młody prawie robi pod siebie.

– Pierdolona niezdara – warczę, a on się trzęsie. W oczach zbierają się mu łzy, ale mimo to trzyma dziarsko uniesiony podbródek, jakby miał zamiar stawić mi czoła. Jakby był tutaj górą. A raczej nie miał innego wyboru niż tkwienie w tej iluzji. Zabawny dzieciak. – Wiesz, co tutaj robi się z takimi jak ty?

Nie kończę swojej groźby, bo w całe zajście miesza się intruz o anielskich włosach i niebiańskim spojrzeniu. Widocznie porzuciła rolę polowej kucharki, bo biegnie w naszą stronę w sprinterskim stylu. Kobieta stu talentów. Jestem ciekawy, co jeszcze będzie w stanie pokazać. Chętnie bym się o tym przekonał choćby na własnej skórze.

– Aaron! – Chwyta chłopca w objęcia. – Nic ci się nie stało?

Odsuwa go na moment, na wyciągnięcie ramion, przygląda mu się uważnie z każdej strony, szukając obrażeń, a kiedy upewnia się, że jedynym poszkodowanym w tym zderzeniu jestem tylko ja, natychmiast go do siebie tuli. Zasłania sobą, jakby to było w stanie obronić go przede mną. Nie jest. Gdybym tylko chciał, zjadłbym ich oboje za jednym razem. To żadne wyzwanie i może właśnie dlatego go nie podejmuję.

– Jeszcze jest cały, ale to się może zmienić, jeżeli nie nauczy się uważać – przemawiam w imieniu cykora, bo on najwyraźniej nie jest w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

Anielica przenosi wzrok na mnie. *Wkurwiona anielica*, poprawiam się w myślach. Iskierka złości skrzy się w jej oczach, ale nagromadzone pokłady dobroci zaraz ją gaszą i strofują. Anioł

zemsty niemal mógłby pozazdrościć wytrwałości w niesieniu nienawiści. *Niemal...*

– To tylko dziecko – odzywa się hardo i wstaje z kolan, podpierając się dłońmi pod boki, a mały chowa się za jej plecami. Unoszę brwi w odpowiedzi na tę oczywistość. – Mógłbyś być bardziej wyrozumiały!

– Widzę przecież, że nie pies. Dziecko. Gówniarz. Bachor – rzucam luźno, bez zastanowienia.

Chłopak wychyla się na moment zza swojej obrończyni, ale nie miesza się w dyskusję. Przysłuchuje się w milczeniu tej wymianie zdań, przeskakując zalęknionym wzrokiem między nami, po czym zwyczajnie rzuca się do ucieczki. Zwiewa bez słowa pożegnania, zostawiając dziewczynę sam na sam ze mną.

To by było na tyle z jego wdzięczności i wsparcia.

– Nazywaj dzieciaka, jak chcesz, ale właśnie ich pozbyć się jest najłatwiej – kontynuuję, ponownie koncentrując się na dziewczynie.
– Małe truchło, lekka sprawa. Nie zdziw się, jeżeli następnym razem go tutaj nie ujrzysz.

Nieznajoma bierze głęboki wdech, aż drobna pierś unosi się i opada w gwałtownym ruchu. Bezczelnie spoglądam jej w dekolt, a ona miażdży mnie tym sarnim spojrzeniem, z którego nie zrzuciła wcale łagodności.

Aua, faktycznie mogłoby zabołec.

– A jak już się tak pouczamy, to też ci dam radę, aniołku – mruczę cicho.

Chwytam ją za kosmyk włosów i zaplatam wokół palca, zanim udaje jej się odsunąć. Nieznajoma szarpie gwałtownie głową, ale trzymam zbyt mocno, aby mogła się łatwo oswobodzić. Wygląda na zaskoczoną, i to tak bardzo, że niemal przestała oddychać. Tylko mnie tym nakręca. Przyglądam się jej bez słowa, a potem zakładam włosy za ucho, opuszkami muskając policzek. Jest rozpalona, jakby od wewnątrz pożerał ją ogień. To żaden problem. Na szczęście potrafię zawodowo tańczyć w płomieniach. Nachylam się ku niej i szepczę:

– Skoro bawisz się w zbawicielkę uciśnionych, to pilnuj lepiej tych swoich szcurząt, żeby nie wbiegały pod nogi temu, komu nie

powinny. Uwierz, nie każdy tutaj jest tak wyrozumiały jak ja. Chyba nie chcesz, żeby coś je pożarło? Kocury nie śpią, skarbie. – Szturcham nosem jej szyję i jeszcze bardziej ściszam głos: – I nie prowokuj mnie więcej, bo w ten sposób powodujesz, że sam mam coraz większą ochotę na małe polowanie, a uwierz, dzieciaki to ostatnie, co może mnie interesować. Ba, myślę wręcz, że właśnie znalazłem coś dużo lepszego.

Uśmiecham się drapieźnie, a ona nie odrywa ode mnie wzroku. Jej źrenice rozszerzają się ze strachu, jakby uzmysłowiła sobie, że spotkała na swojej drodze diabła. Właściwa reakcja. Robię krok w tył i słyszę, jak dopiero wtedy z drzeniem wypuszcza przetrzymywane zbyt długo powietrze.

Rozdział 2

Skyler

Wdech i wydech. Wreszcie mogę oddychać. Mogę, bo wyrwałam się stamtąd. Już nie śpię. Patrzę obojętnym wzrokiem na sufit, który przez otaczający mnie mrok sprawia wrażenie poszarzałego. Moje serce powoli się uspokaja, puls zwalnia. Mokre od potu włosy kleją mi się do czoła i karku, mimo że najwyraźniej nieświadomie ściągnęłam z siebie kołdrę. Jestem jednak spokojniejsza, bo to koniec tego koszmaru. Znowu mam kontrolę nad samą sobą. Przynajmniej pozorną. Totalnie umowną i tylko na niby. Tak naprawdę nigdzie nie jest tak źle jak w mojej głowie. Szczególnie w nocy. I wtedy, kiedy to one przejmują kontrolę.

Myśli.

Mają wielką moc. Przekonałam się o tym na własnej skórze. Boleśnie. Słowa powtarzane w ciszy, a nawet te niewypowiedziane na głos, potrafią odmienić wszystko. Jeżeli o czymś gorąco marzymy, istnieje możliwość, że ich siła to do nas ściągnie. Gorzej, jeśli okazuje się, że to, co przyszło, wcale nie jest tym, czego rzeczywiście chcieliśmy. Zgniatą nas rozczarowanie, ale jest za późno na odwrót. Podarków ofiarowanych przez los nie można oddać ani nikomu przekazać. Musimy sami radzić sobie z tym dobrobytem.

Choć czasami to zbyt trudne.

Ociężale podnoszę się do siadu. Przez moment sędzę, że już jest dobrze. Przez chwilę, bo jednak im dłużej patrzę przed siebie, próbując coś dojrzeć, tym mi gorzej. Mrok robi burdel w mojej głowie. Sprawia, że niewyraźne kształty znajdujące się po drugiej stronie pokoju stają się coraz straszniejsze, a wyobraźnia się nakręca. Nic nie poradzę. Miałam dwadzieścia trzy lata, aby uodpornić się na typowo dziecięce lęki, ale nie wykorzystałam tego czasu. Nadal nie potrafię w żaden sposób oswoić ciemności. Ale czy

to takie dziwne? Przecież właśnie w niej czają się najgorsze rzeczy. Po stokroć straszniejsze, bo niewidoczne, a nie da się bronić przed tym, czego nie można w porę dostrzec... O tym też coś wiem. Z każdą kolejną myślą moje serce na nowo zaczyna mocniej bić. Niewiele trzeba, bo dłonie już mi drżą, a kropelki potu rosą skroń.

Ostatkiem sił wyrywam się z odrętwienia i podrywam na równe nogi. Biorę przy tym zbyt głęboki oddech, bo aż zachłystuję się powietrzem. Oczy zachodzą mi łzami, ale nie rezygnuję. Krztusząc się, rzucam się do włącznika światła. Uderzam o niego pięścią, a pokój zalewa jasność. Rozpraszam mrok, bo to jego boję się na równi z tym, co drzemie głęboko we mnie. A może między nimi nie ma żadnej różnicy? Potwór czający się w ciemności za każdym razem, gdy rozbłyskują lampy, chowa się w moim wnętrzu. I noszę go, i dźwigam. Nie potrafię pozbyć się tego ciężaru.

Mrugam, próbując przyzwycząić oczy do nagłej zmiany i sprawić, że przestaną łzawić. Jednocześnie uchylam okno, bo wciąż brakuje mi tchu. Oddycham głęboko przez nos i wypuszczam powietrze ustami. Raz za razem. Powinno pomóc. Nie pomaga. Fizycznie czuję się lepiej, ale psychicznie wciąż mam wrażenie, że nie mogę złapać tchu. I to pomimo upływu lat.

To nigdy nie da mi spokoju, nieważne, jak ciężko nad sobą pracuję. Emocje zmieniają się niczym w kalejdoskopie. Najgorsze z nich wszystkich jest poczucie winy, i to tak silne, że zwała z nóg. Konsekwencje dawnych decyzji traktują mnie z wyjątkową brutalnością. Nie są w tym jedyne. Nagłe napady paniki przychodzą z zaskoczenia i mieszają się naprzemiennie z otumaniającym spokojem, obojętnością. Przypływ radości tłamszony jest postępującym przygnębieniem i strachem o przyszłość. Jestem zmęczona. Wiecznymi huśtawkami, emocjonalnym rollercoasterem, do którego nigdy nie chciałam wsiadać, a i tak zostałam wepchnięta wbrew własnej woli. Nie umiem znaleźć równowagi, przez co czuję się jak czub, ostatnia wariatka. Mogę użyć wielu różnych epitetów, ale to nie zmienia faktu, że po prostu sobie nie radzę. Codziennosc mnie przerasta.

I to zbyt często.

Zamykam okno, dopiero gdy przestaję trząść się z nerwów, a zaczynam z zimna. Otulam się szlafrokiem, przysiadam na parapecie i patrzę na panoramę wolno budzącego się do życia miasta. Jest wcześnie, za chwilę minie czwarta nad ranem. Ruch na ulicach jeszcze się nie uaktywnił z pełną mocą, ale i tak od czasu do czasu pojedyncze auta mącą mrok reflektorami. Nie słyszę szumu toczących się po asfalcie kół. Niewykonalne. W końcu to szóste piętro. Jest zbyt wysoko, aby dźwięk mógł do mnie dotrzeć, ale sama obecność pojazdów koi moje zszargane nerwy. Pomaga mi świadomość, że nie tkwię w tym bagnie sama. Że tam niedaleko są jeszcze inni ludzie. Blisko, prawie na wyciągnięcie ręki. Samotność mnie nie znokautuje tak długo, jak będę to powtarzać.

Opieram się ramieniem o szybę, a oddech sprawia, że na szklanej powierzchni osadza się mgiełka. Sięgam do niej dłonią, by się jej pozbyć, ale w tym samym momencie na kolana wskakuje mi bura kocica, która skrada całą moją uwagę. Nie należy do mnie, właściwie do nikogo nie należy, ale często się wprasza w odwiedziny. Przychodzi popołudniami i wieczorami, zawsze wtedy, gdy wracam z pracy. Czeka już na progu, a gdy wpuszczam ją do środka, wyłudza jedzenie, po czym zajmuje kanapę, odsypia i rano wychodzi razem ze mną. Znika jak gdyby nigdy nic. Nie pozwala się przywłaszczyć ani nawet zatrzymać na dłużej. To wolny duch, ale lubię jej obecność.

– Przepraszam – mówię do niej czule.

Machinalnie głaskam puchaty łebek, pieszczę ją tuż za uchem, bo zauważyłam, że tam lubi najbardziej, a ona mruży zielone ślepia i łasi się, przechyla głowę, próbując dopasować się do kształtu dłoni. Mruczy i te głębokie pomruki działają na mnie uspokajająco, niemal terapeutycznie.

– Obudziłam cię – szepczę. – Znowu.

Kocury nie śpią, skarbie.

Wzdycham, kiedy w mojej głowie rozbrzmiewa wspomnienie tego głosu. Wracam myślami do wczorajszego wieczoru. Do tego jednego spotkania, które wywarło na mnie większe wrażenie, niż powinno. Jestem tego świadoma. Wciąż pamiętam moment, w którym okrutne spojrzenie nieznajomego przeszyło mnie na wskroś i pochwyciło w objęcia. Trzymało mocno, władczo, jak jeszcze żadne przed nim.

A potem nastąpiło niespodziewane szarpnięcie. Za włosy. Bolało, ale zaraz po nim przyszedł ten lekki dotyk jego palców sunących po moim policzku, jakby próbował zrekompensować nim swoje niewłaściwe zachowanie. Podjęłam próbę oswobodzenia się. Jedną.

A potem odpuściłam.

Nie rozumiem własnych reakcji. Nigdy nie wykazywałam się nadmierną uległością, ale tym razem było inaczej. Pozwoliłam mu na to. Pozwoliłam się zbliżyć. Obcemu facetowi spotkanemu na ulicy! Nie krzyczałam, nie rzucałam się w desperackim poszukiwaniu możliwości ucieczki. Chociaż wewnętrznie byłam przerażona, po prostu stałam bez ruchu, a on robił, co chciał.

– Idiotka – warczę pod nosem i poruszam się niespokojnie, a kotka przestaje mrużyć. Czuję za to, jak mocniej wbija pazury w moje uda. Próbuje tylko utrzymać równowagę, ale nie zdziwiłabym się, gdyby chciała też przywołać mnie do porządku. Gdyby to mogło w jakiś sposób pomóc...

Oznaki szaleństwa? Mam je na wyciągnięcie ręki. Najwyraźniej brakuje mi w życiu adrenaliny. Albo czułości. A może jednego i drugiego, skoro każdy przejaw zainteresowania przyjmuję z taką ochotą, i to nawet od nieznajomych. Poddałam się temu bez słowa. Jak naiwne jagnię lgnące i upraszające się o uwagę wilka. Pasował do tego określenia. Och, aż za bardzo. Jego ciemne, praktycznie czarne ślepia wpatrywały się we mnie intensywnie jak u drapieżnika, który śledzi swoją ofiarę i ocenia, jak łatwy będzie to łów. Wczoraj nie napracowałyby się zbyt ciężko. Było w nich coś dzikiego, nieokiełzanego i nieludzkiego, co przerażało, ale jednocześnie zapierało dech w piersi...

Opanuj się, Skyler! Całkiem ci odbiło! To był totalnie obcy typ!

Karcę się w duchu, ale to na nic. Mimo wszystko chcę iść tam znowu i staram przekonać samą siebie, że wcale nie liczę na kolejne spotkanie. No dobra, może przy okazji, przez przypadek... Po to, żeby się przekonać, że to wszystko nie było wytworem mojej wyobraźni. Ale głównie dla siebie. W poszukiwaniu ratunku.

Jak zawsze.

Praca z bezdomnymi początkowo była moją pokutą, którą sama na siebie narzuciłam. Nie robiłam tego, bo przyświecał mi wyższy cel.

Po prostu szukałam ucieczki przed niespokojnym sumieniem. Przed grzechami przeszłości, które każdej nocy pozbawiały mnie snu. Nie podziałało tak, jak tego chciałam, ale przynajmniej mogłam udawać. Kiedy przebywałam wśród potrzebujących, czułam się lepiej, bo widziałam, że oni mają gorzej. Na tym budowałam swoje szczęście. Okrutne spojrzenie. Egoistyczne jak cała ja. Długo się tego trzymałam i tylko dlatego tam przychodziłam, ale wraz z biegiem czasu coś się zmieniło. Zaczęłam widzieć więcej, pełniej. Teraz, chociaż wciąż męczą mnie koszmary, odnajduję ulgę właśnie w wolontariacie. Czerpię z tego przyjemność. Coraz większą, bo wiem, że mogę komuś pomóc i sprawić, że to „gorzej” może być nieco bardziej znośne.

W końcu przecież dobro zawsze wraca...

Prycham kpiąco, bo akurat w tę frazę nadal trudno mi uwierzyć, i sięgam po telefon leżący na komodzie stojącej przy ścianie obok okna, żeby sprawdzić godzinę. Na ekranie widnieje ikonka wiadomości. Od matki. Dostarczona wczoraj, ale nieprzeczytana. Nie miałam do tego już siły, gdy wróciłam do mieszkania. Teraz też nie mam, ale telefon w mojej dłoni rozdzwania się, jakby ktoś po drugiej stronie wyczuł, że już nie śpię, więc może się bezkarnie dobijać. Spoglądam na ekran z rozkojarzeniem, a kiedy dociera do mnie, kto dzwoni, uśmiecham się krzywo. *No jasne.*

Odbieram.

– Cześć, mammo! – Staram się zabrzmieć wesoło, ale sama słyszę, że nie wychodzi to zbyt dobrze. Towarzysząca mi kocica chyba też tak uważa, bo traci cierpliwość. Miauczy krótko, po czym schodzi z moich kolan i wędruje na drugi koniec parapetu, przeciąga się rozkosznie, a potem zwija w kłębek i mrucząc głośno, mruży ślepią, jakby namierzała kłamcę. To nie jest wymagające zadanie. – Nie możesz spać? Myślałam, że odkąd Philip u ciebie pomieszkuje, to dba, żebyś nie zarywała nocy.

Nie mam zamiaru wypominać jej, że dość szybko ułożyła sobie życie na nowo po śmierci ojca. Wręcz przeciwnie. Dopingowałam ją w tym z całych sił. Zwłaszcza że Philip wydaje się w porządku. Pracuje jako główny informatyk w firmie, a jednocześnie był pierwszą osobą, która przebiła się przez ciężki i ciemny całun żałoby,

który okrywał naszą rodzinę. Nadal jestem mu za to wdzięczna. I cóż, może nie zawsze czuję się w jego towarzystwie swobodnie, jednak go lubię, bo coraz częściej zdarza nam się dobrze ze sobą dogadywać. Może jest młodszy od mamy o całe dziewięć lat, ale to żadna różnica. Wierzę, że łączące ich uczucie jest szczere, poza tym chyba nikt inny nie potrafiłby przekazać jej tyle energii, co on. Cieszę się, że im się układa.

– Nocy? Jest rano, kochanie – mówi poważnie. – Poza tym nie oszukuj, wiem, że sama już jakiś czas nie śpisz.

Przygryzam wargę i macham nerwowo nogami jak przedszkolak, objając piętami o kaloryfer, a metaliczny dźwięk niesie się w dół budynku. Mam w nosie, czy nie obudzę przypadkiem sąsiadów. Nerwy mnie zjadają, jak za każdym razem, gdy z nią rozmawiam.

– Niedawno dotarłam do biura – informuje mnie. – Przejeżdżałam niedaleko mieszkania i widziałam u ciebie zapalone światło.

– Ja... – Biorę głęboki wdech i wypuszczam go ze świstem. Nie potrzebuję zbyt wiele, by kolejne oszustwo samo uformowało się w moich ustach i poszło w świat. Niedługo pogubię się w ich liczbie. Zwłaszcza że daleko im do perfekcji. – Po prostu już się wyspałam.

– To dobrze. Zawsze ci powtarzałam, że szkoda życia na sen. Zbyt długie wylegiwanie się pogarsza krążenie, co odbija się na cerze, a twoja nie wygląda najlepiej. Wcześniej potrafiłaś o siebie zadbać.

– Mamo... – Wzdycham i przeczesuję palcami skołtunionie loki.

Nie chcę znowu słuchać, jak bardzo się zaniedbałam. Nie obchodzi mnie to. Kiedyś to było najważniejsze pod słońcem i nie ruszałam się z domu, póki nie przygotowałam się perfekcyjnie. Dziś nie mam powodów, żeby się przejmować tym, jak wyglądam. Brzydkiej duszy nie przykryje tona makijażu. Brudu, który ją znaczy, nie da się tak łatwo zmyć. A ja od lat nie czuję się czysta.

– Dobrze, dobrze. Nie wzdychaj, Skyler, wiesz, że tego nie lubię. – Cmoka. – Mam nadzieję, że zaczęłaś już pracować nad projektem dla Scub? Wiesz, że to nasz najważniejszy klient, prawda? Potrzebuję tego na wczoraj. Wieczorem wysłałam ci wiadomość z nowymi wytycznymi. Odczytałaś?

– Nowymi? – Dziwię się, bo byłam przekonana, że ten temat jest już zamknięty.

Staralam się, uruchomiłam wszelkie kontakty i efekty wyglądały naprawdę zadowalająco. Chyba zbyt wcześnie to oceniłam.

– Tak, nie podoba im się to, co zaproponowałam ostatnio.

– No dobrze. Nie sprawdzałam tego, zapomniałam wczoraj zabrać laptop z biura. Kiedy tylko przyjadę, postaram się jeszcze coś zmienić – mówię, siląc się na spokojny ton. Wcale się tak nie czuję. Mam ochotę tupać i wrzeszczeć. Poprzestaję jedynie na zmarszczeniu brwi.

To nie tak, że nie przyjmuję do siebie krytyki. Po prostu zmieniałam priorytety. Pierwszy rok po śmierci ojca był stanem zawieszenia, nie potrafiłam się odnaleźć w tej sytuacji i czułam, że straciłam kontrolę nad własnym życiem. Kolejne dwanaście miesięcy pomogło mi je przewartościować. Już nie marzę o tym, żeby zostać panią prezes – władczynią korporacji, które są w stanie poodgryzać sobie nawzajem łby, żeby tylko wskoczyć na wyższy szczebelek.

Chcę od życia czegoś innego. Tak bardzo chciałabym zrobić coś więcej, coś znaczącego. Coś, co pozwoliłoby mi w końcu odżyć. Tak bardzo się boję, że nie zdążę. Że zabraknie mi tego jednego oddechu i w końcu dopadnie mnie bezdech. Silniejszy niż ten nocny, bo całonocny. Tak jak jego... A agencja nie jest moim wymarzonym miejscem pracy. Białe ściany w tym pomieszczeniu wcale nie stanowią dla mnie białej kartki. Nie pomaluję jej po swojemu. Niby kreatywna branża, a muszę postępować według reguł. I po co? Żeby zarobić jeszcze więcej pieniędzy? To nie ma znaczenia. Już nie.

Mama tego nie rozumie. Nadal to do niej nie dociera, bo trzyma się tego, co było. Nie dopuszcza do siebie myśli, że to nie wróci. Zmiana ją przeraża. Ta, która dotyczy mnie – jeszcze bardziej. W przejściu od imprezowej, zabawowej młodej dziewczyny do otaczającej się ciszą i stroniącej od ludzi outsiderki dopatruje się ciszy przed burzą i robi wszystko, by przed czasem rozgonić ciemne chmury. Nieumiejętnie.

– Nie, Skyler, nie musisz tego dopracowywać, zmieniamy całkiem koncepcję. Trzeba zacząć od nowa, i to jak najszybciej. Philip zaraz przywiezie ci twój laptop. Nie musisz dziś zjawiać się w biurze, pracuj zdalnie z domu, zaoszczędzimy czas.

– Ale ja chciałam... – Próbuję przekazać, że mam swoje plany. Ona jednak nie ma zamiaru słuchać.

– Bez słowa. – Ucina dyskusję. – Nie sprawiaj kłopotu, dziecko. Po prostu odczytaj to, co wysłałam ci na maila i wykonaj. Zadzwoń później, żeby wszystko skontrolować, a całość chcę mieć gotową do końca dnia. Wykaż się, kochanie. – Nie udaje mi się dojść do słowa, bo mama, nie czekając na moją odpowiedź, po prostu się rozłącza.

Odsuwam komórkę od ucha i patrzę ze złością na ciemny ekran. Chciałabym dać upust irytacji, wykrzyknąć, że nie jestem już dzieckiem i potrafię decydować sama o sobie, ale jedynie wzdycham ciężko i opieram rozgorączkowane czoło o zimną szybę.

Dzieciaki w Morningside znowu będą musiały poczekać...

Siedzę w jednej pozycji zbyt długo, bo gdy ponownie się poruszam, czuję, że cała zdążyłam porządnie ścierpnąć. Co gorsza, rosnący żal i poczucie niesprawiedliwości coraz mocniej przejmują nade mną kontrolę. Do tego nie mogę dopuścić. Chcę je powstrzymać, ale ktoś mnie w tym wyręcza. Zanim bowiem dopinają swego, telefon ponownie daje o sobie znać.

Zgrzytam zębami, bo jestem przekonana, że to znowu ona i odzywa się tylko po to, by dodać kilka przemilczanych uwag albo sprawdzić, czy grzecznie odebrałam już przesyłkę.

Klnę cicho pod nosem, ale posłusznie klikam w powiadomienie. To, co widzę, gdy wiadomość się otwiera, sprawia, że kolejne przekleństwo zamiera mi na ustach, a lodowaty dreszcz boleśnie przemyka wzdłuż kręgosłupa. Strach zaciska lodowate paluchy na moim sercu. Jeszcze nigdy nie było tak mocno i desperacko, jakby za wszelką cenę próbując się wyrwać z diabelskich sideł. Zaraz zostanie zgniecione. Jestem tego pewna. Tak samo jak tego, że przeszłość znowu daje o sobie znać.

– Co jest...

Mam w głowie pustkę, wszystkie inne myśli, które do tej pory konkurowały o moją uwagę, teraz postanowiły zdezerterować. Zostaję sama. Przez moment tkwię w bezruchu i w milczeniu śledzę wzrokiem otrzymany tekst. Raz po raz, bo mam nadzieję, że za chwilę po prostu zniknie. Niestety wciąż go widzę. Mam wrażenie, że ktoś napisał go w obcym języku, choć przekaz jest cholernie jasny:

„Wiem, co zrobiłaś”.

Podskakuję w miejscu, gdy panującą ciszę przerywa nagle piskliwy dźwięk dzwonka do drzwi. Telefon wypada mi z dłoni i upada na panele. Podnoszę go i w przyпіływie paniki wpycham do kieszeni szlafroka, jakby chcąc ukryć narzędzie zbrodni. Zamiast niego równie dobrze mogłabym wrzucić tam zakrwawioną cegłówkę. Odczuwany w tej chwili ciężar byłby porównywalny.

Rozglądam się wokół, przemykam rozbieranym spojrzeniem po wnętrzu, jakby szukając czegoś, co mogłoby zdradzić nieproszonemu gościowi, co tak właściwie tutaj się przed chwilą wydarzyło. Absurd. Już sama nie wiem, co robię. Czuję, że wariuję.

Dzwonek rozzdzania się po raz drugi. Ktoś po drugiej stronie zaczyna się niecierpliwić.

Staram się uspokoić. Biorę głęboki oddech i przechodzę na korytarz. Spoglądam przez wizjer, a kiedy upewniam się, że to Philip, wpuszczam go do środka.

– Cześć, młoda! – wita się wesoło. – Obudziłem? Mam dla ciebie poranną przesyłkę.

Przekracza próg mieszkania, poprawiając przy tym zsuwające się z haczykowatego nosa prostokątne okulary w grubych, czarnych oprawkach. To przez nie i ciągle rozczochrane, przydługie blond włosy wygląda jak wieczny kujon. W dodatku jest szczupły i wysoki jak tyczka, a w każdym razie dużo ode mnie wyższy. Zadzieram głowę, by na niego spojrzeć, a on uśmiecha się pogodnie i przekazuje mi laptop. Chwytam go w drżące dłonie.

– Cześć. Dziękuję za fatygę. – Natychmiast przytulam urządzenie do piersi, żeby zatuszować nerwowy tik. Najwyraźniej nieudolnie, bo nie umyka to Philipowi, który w jednej chwili poważnieje i marszy brwi, jakby coś go zmartwiło. – Sama miałam po niego przyjechać, ale mama jest czasami uparta jak osioł. Zresztą wiesz o tym najlepiej. Pewnie tobie też nie daje żyć, co? – Staram się wskrzesić odrobinę energii, ale Philip wciąż przygląda mi się badawczo zza grubych szkieleł. Niebieskimi tęczęwkami wwierca się we mnie uparcie, powodując, że z każdą sekundą coraz bardziej tracę pewność siebie.

Nie lubię, gdy tak robi.

Mam wrażenie, że to matka kazała mu mieć mnie na oku. Na siłę stara się przywrócić wszystko do znanej sobie normalności, a Philip jej przyklaskuje. Czasem przyłapuję go w biurze na tym, że wodzi za mną wzrokiem, jakby obserwował interesujący obiekt badawczy i tylko czekał, aż zrobię coś, co dostarczyłoby im powodów, żeby zamknąć mnie w pokoju bez klamek. Dziś sama mam ochotę zatrzaskać w nim za sobą drzwi.

– Stało się coś? – dopytuje. – Jesteś strasznie blada i wyglądasz trochę tak, jakbyś zobaczyła ducha.

– Wszystko dobrze. Niedawno wstałam, a musisz wiedzieć, że nie wszystkie kobiety budzą się od razu piękne, tak jak moja mama. Wizualnie mogę być do niej odrobinę podobna, ale to wszystko. Niektórym nabieranie urody zajmuje godziny i przynajmniej kilka funtów kosmetyków. Jestem tym przypadkiem, geny nie mają tu znaczenia – siłę się na żart, ale to także go nie przekonuje.

– Chcesz o tym pogadać?

– O makijażu? – Unoszę brwi. – Serio cię to interesuje?

– Sky... – Wzdycha ciężko i kręci głową, pokazując, że nie podoba mu się to, że próbuję zbyć temat.

– To po prostu gorsza noc. – Wzruszam ramionami. – Słabo spałam. Serio. Daj mi godzinę i dojdę do siebie. Nabiorę formy i znowu będę działać na najwyższych obrotach tak jak w firmie. Jeszcze będziesz mieć dość mojej nadpobudliwości. Może napijesz się kawy? – zmieniam temat, bo udawanie pozornego spokoju mnie wykończy. – Ja muszę. Bez tego nie wystartuję.

Podchodzę do kuchennego blatu, na którym stoi ekspres do kawy i włączam urządzenie. Czekam, aż zakończy się przygotowywanie napojów, a Philip w tym czasie siada przy stole. Chociaż stoję do niego plecami, to wciąż czuję na sobie jego wzrok. Intensywny, jakby skanował moją duszę w poszukiwaniu win spędzających sen z powiek. Wmawiam sobie, że to wszystko przez tę pieprzoną wiadomość. Jeszcze chwila i sama wykrzyczę swoje przewinienia, Philip nie będzie musiał się niczego domyślać. W końcu ileż można milczeć?

– Adam się odzywał? – pyta niespodziewanie, powodując, że filizanka niemal wypada mi z ręki. W jednej chwili się spinam

i gwałtownie odwracam w jego stronę.

– Dlaczego pytasz?

– Rozmawialiśmy o nim wczoraj z twoją mamą. Mówiła, że bardzo przeżyłaś to rozstanie. Nie dziwię się, w jednej chwili tak dużo na ciebie spadło. Najpierw śmierć ojca, a zaraz potem jeszcze on cię zostawił. Niby minęły już dwa lata, ale pomyślałem, że może teraz właśnie to nie daje ci spać. W końcu od tego czasu wciąż jesteś sama. Może jeszcze tego nie przepracowałaś? No nie patrz tak na mnie. Nie mówisz, co cię męczy, więc szukam możliwości na własną rękę.

Przepracować? Mam ochotę wybuchnąć śmiechem. Pewnych rzeczy psychologiczne wpływy się nie imają, zwłaszcza kiedy zostają przemilczane. Zaliczyłam terapię, kilka spotkań, ale na nich liczy się szczerłość i otwartość, a na to nigdy nie mogłam sobie pozwolić. Efekt? Raczej jego brak. To czas pomógł mi stanąć na nogi, bardzo chwiejnie, ale przynajmniej stoję. Nie potrafię wyjaśnić tego Philipowi.

Prawda jest taka, że chociaż to nie sprawa zerwania niszczy mnie od środka, to jednak Adam miał duży udział w tym, jak czuję się obecnie. Namieszał mi w życiu tak, jak nie zrobił tego jeszcze nikt przed nim. Sprawił, że popełniłam ogromny błąd, choć na początku wydawało mi się, że zależy mu na moim dobru. Potrafił grać. Był jednym z klientów agencji i zauroczył mnie całym sobą po pierwszym zleceniu. Sprawiał wrażenie spokojnego, pełnego ciepła i jednocześnie charyzmatycznego mężczyzny. Przekonał mnie tym. Tylko nie byłam świadoma, że ta jego wersja wcale nie istnieje, a jedynie jest czymś sztucznie wykreowanym, co miało podziałać na mnie jak lep na muchy. Nadal nie wierzę, że mogłam tak bardzo dać się nabrać. Wraz z rozwojem naszej znajomości coraz umiejętniej udawał zakochanego na zabój i miał w sobie iskrę, która mnie do niego ciągnęła i popychała do idiotycznych zagrań. W końcu się potknęłam, a on mnie nie złapał, nawet nie podał mi pomocnej ręki. Wyciągnął ją, ale tylko po to, by nas okraść. Wtedy, kiedy czułam się słaba i najbardziej go potrzebowałam.

Przez długi czas próbowałam go zrozumieć. Nieudolnie. Przecież nie miał powodów. Pochodził z prawniczej rodziny, nie mógł narzekać na brak pieniędzy, a mimo to właśnie o nie wszystko się

rozbiło. Wciąż było mu mało. Chciał więcej i więcej. Prawie to osiągnął. Moim kosztem, bo chociaż ostatecznie nie zaszkodził naszej firmie, to ograbił mnie z czegoś cenniejszego od bogactwa. Pozbawił zaufania i uczuć. Ja sama dałam się wykorzystać, a on wziął moje serce i roztrzaskał je w drobny pył. Sprawił, że odechciało mi się czuć i zamknęłam emocje pod kluczem.

Adam był początkiem końca. I chociaż trudno mi to przyznać, nadal coś nas łączy. Tajemnica. Cholernie brudny sekret. Sądziłam, że wspólnie ustaliliśmy, jak będzie wyglądać zakończenie, ale po otrzymaniu dzisiejszej wiadomości, zaczynam się zastanawiać, czy na pewno dobrze się dogadaliśmy.

– Skyler, wszystko w porządku? – Philip wyrywa mnie z zamyślenia. – Jeżeli chcesz, mogę sam do niego zadzwonić i powiedzieć mu, co o tym wszystkim myślę.

– Nie! – wyrywa mi się, zanim zdążę się opanować. – To znaczy tak, wszystko ze mną dobrze. – Biorę głęboki, uspokajający oddech i staram się zreflektować, bo patrzy na mnie coraz podejrzliwiej. – Przepraszam, po prostu wróciły wspomnienia. Co do Adama, to odkąd wyjechał do Kanady, nie mamy kontaktu, ale go nie obwiniam i nie chcę, żebyś do niego dzwonił. Naprawdę nie ma takiej potrzeby. Pogodziłam się z tym, że nie chciał walczyć o nasz związek – wyduszam przez ściśnięte gardło. Staram się udawać, że wszystko jest tak, jak powinno, że nic mnie nie przerasta, a to, co szczypie mnie w oczy, to wcale nie napływające do nich łzy. – To była dla niego szansa na rozwój. Gdybym ja taką otrzymała, może też bym skorzystała? Nie wiem. W każdym razie radzę sobie coraz lepiej – dodaję i stawiam przed Philipem filiżankę.

– To dobrze, cieszę się – odzywa się cicho zamyślonym tonem. Patrzę na niego ze zdziwieniem, a on na nowo się uśmiecha w miły, pokrzepiający sposób. Zupełnie nieprzekonujący. – Ale gdybyś kiedykolwiek tego potrzebowała, możesz do mnie przyjść. Pomogę ci. Zawsze.

Rozdział 3

Samuel

Ciężki oddech mąci ciszę panującą w pokoju, współgra z odgłosem uderzających o siebie rytmicznie ciał. Wkurwiająco równo, zbyt idealnie i poprawnie. Zaciskam dłonie na wciąż poruszających się biodrach i dociskam w dół, by przestała się tak szybko unosić. Zaburzam pierdoloną harmonię, a w odpowiedzi otrzymuję tylko paznokcie kurczowo wbijające się w mój biceps i głośny jęk protestu, bo przecież była już tak blisko. Czułem to równie mocno jak ona.

Vicky łapie, o co mi chodzi, i zwalnia ruchy, a ja luzuję chwyt i zwracam jej większą swobodę, z której chętnie na nowo korzysta. Teraz porusza się nieznosnie powoli, jakby świadomie rozkoszując się każdym ciałem, który zanurza się w jej gorącym, mokrym wnętrzu. Odchyła się maksymalnie do tyłu, szukając mocniejszych i głębszych wrażeń. Wie, w jaki sposób je osiągnąć, a ja na to pozwalam, sam czerpiąc z tego korzyści. Z jej pomocą uwalniam się od natłoku rozszalałych myśli, tłumi je z idealną precyzją.

Zazwyczaj.

Ale nie dziś.

Dzisiaj nawet ona nie potrafi wyciszyć wkurwienia, które od kilku dni rozsadza mi łeb na maleńkie kawałeczki, choć muszę być sprawiedliwy i przyznaję, że stara się bardziej niż kiedykolwiek. Próbuje i angażuje się całą sobą. Nie przestając się poruszać, jedną ręką odsuwa z twarzy czarne jak noc i koszmarnie splątane kudły i przerzuca je przez ramię. Odrzuca przy tym głowę do tyłu, a włosy opadają na jej nagie plecy gęstą kaskadą. Nie zasłaniają już bujających się w niespiesznym rytmie bajecznie krągłych cycków. Mam na nie teraz świetny widok. I dobrze. To jedyne, co w niej lubię.

Przesuwam dłońmi w górę, przytrzymuję ją w talii, a ona, jakby czytając mi w myślach, uśmiecha się przebiegle. Chwyta w palce

jeden ze swoich sutków i zaczyna go intensywnie pieścić, sprawiając, że moja uwaga skupia się na tym ruchu. Przez moment. Nadal niewystarczająco długi.

– Sammy... Długo cię nie było. Tęskniłam. Jesteś świadomy jak bardzo? – mruczy cicho, spoglądając na mnie spod w półprzymkniętych powiek, i kołysze niespiesznie biodrami. – Nie znikaj już tak więcej. I zadzwoń. Byle szybciej niż ostatnio.

– Pewnie.

Zatrzymuje się. Chyba nie podoba jej się mój obojętny ton, bo obdarza mnie zdziwionym, naiwnym spojrzeniem. Nie dość naiwnym, a raczej nie takim, jakiego faktycznie potrzebuję, żeby się nim nasycić.

– Albo nie dzwoń. Po prostu przyjdź do klubu. Byle jutro – namawia, nic sobie nie robiąc z mojego zniechęcenia. – Nawet nie wiesz, jak wiele się u nas zmieniło. Alyson gdzieś nagle zniknęła i nikt nie wie gdzie, a na jej miejsce kilka dni później przyszła Anya. I wiesz, to niby sekret, ale teraz jeszcze chodzą plotki, że...

– Nie chcę tego słuchać – przerywam jej, zanim ma szansę powiedzieć coś, czego sama mogłaby szybko zacząć żałować. Raz mi się przydała, ale zdradzanie tajemnic niesie zbyt duże ryzyko i nie jest dobrym pomysłem na dłuższą metę.

W żadnym, kurwa, świecie.

Mam dość.

Wysuwam się z niej z zamiarem zrzucenia jej z siebie, ale ona jest uparta i nie chce odpuszczać, choć przecież jest świadoma, że mógłbym pozbyć się jej jednym ruchem, a testowanie mojej cierpliwości jeszcze nigdy nikomu się nie opłaciło. Mimo to wciąż siedzi na mnie okrakiem i trzyma się mocno. Uśmiecha się za to kokieteryjnie i przygryza krwiste usta. Opiera dłoń na moim nagim torsie, przejeżdża po skórze długimi pazurami, zostawiając po sobie ślady. Pochyla się w moją stronę, patrząc mi w oczy.

– Dlaczego taki jesteś? – Przekrzywia głowę w bok.

– Jaki? – pytam bez większego zainteresowania.

– No... – Marszczy nos, szukając odpowiedniego słowa. – Niemiły, chłodny.

– Czyli prawdziwy – kwituję krótko i klepię ją w tyłek, żeby ze mnie zeszła, a gdy w końcu to robi, sam się podnoszę i siadam na krawędzi łóżka. Rozglądam się za porzuconymi w pośpiechu ciuchami. Liczę, że potraktuje to jako sygnał, że powinna wyjść. Teraz. – Jestem cały czas sobą. To, że w twojej małej główce uroiły się jakieś oczekiwania, nie zmieni mnie. Nikt nie jest w stanie na mnie wpłynąć, więc, kurwa, nawet nie próbuj, bo źle na tym wyjdiesz.

– No dobrze, widzę, że nie jesteś dziś w humorze – przyznaje, ale zanim zdążę się z nią zgodzić, natychmiast dodaje: – Ale popracujemy nad tym, żeby ci go poprawić.

Radośnie podrywa się z miejsca. Schodzi z materaca, ale tylko po to, by kucnąć przede mną i mieć lepszy widok na mojego fiuta. Zdecydowanie wciąż ma ochotę popracować, bo bez chwili zastanowienia chwyta go w dłoń i przesuwając ją po nim, na nowo wzbudza do życia. Skutecznie, kurwa. Waham się, bo mimo wszystko wciąż mam ochotę wystawić ją za drzwi, ale im dłużej czuję na sobie jej dotyk i widzę jej wzrok, tak bardzo proszący, żebym tego nie przerywał, tym niechęć do niej staje się mniejsza. W końcu odpuszczam.

Ostatni raz.

Odchylam się, opierając się łokciami o materac, a ona się uśmiecha zadowolona ze swojego małego zwycięstwa i się pochyla. Przejeżdża językiem po jego długości, by po chwili wziąć go całego do ust i zacząć poruszać głową. Z początku powoli, ale cholernie głęboko, by w końcu przyspieszyć i zatracić się w tym ruchu całkowicie. Obserwuję ją z satysfakcją, a jej pieszczoty stają się intensywniejsze. Nie protestuję.

Zamykam powieki, skupiając się jedynie na dotyku jej gorących warg na moim kutasie. Przez chwilę czuję się zajebicie błogo, otaczam się pierdoloną bańką, jakby już nigdy nic więcej nie mogło mnie wkurwić. Pozwalam, aby robiła to, co wychodzi jej najlepiej, a ona nie przestaje, dopóki nie osiąga celu. Dopóki ja nie osiągam.

– Podobało ci się? – dopytuje, ocierając usta ręką.

– Yhym.

Opadam plecami na łóżko. Nie zaprzeczę, spisała się. Ciśnienie mi zeszło, a w dodatku było bez gadania, więc jeszcze milej. Szkoda, że ten stan nie mógł trwać dłużej, bo po chwili na nowo powróciło trajkotanie i pieprzona chęć bycia blisko, jak najbliżej. Nie tylko fizycznie. Nie patrzę na nią, jedynie wyczuwam, jak materac się ugina, gdy kładzie się obok mnie. Chciałbym, żeby już znikła.

– To dobrze. A może chociaż chcesz wiedzieć, co sama planuję? – docieka, a ja wzdycham. To już nawet nie jest zabawne. – To będzie numer roku.

– Nie wątpię.

– I co? Tylko tyle? – dziwi się. – Nie zapytasz o nic więcej? Nie chcesz znać szczegółów?

– Nie. I tak masz za długi język.

Prycha, kiedy znowu na nią spoglądam.

– Przed chwilą wcale ci nie przeszkadzał. Wręcz przeciwnie – stwierdza zadowolonym z siebie tonem. – Dopiero co przekonałeś się, że potrafi zdziałać cuda. Poza tym przypomnę, że gdyby nie ten długi język, nigdy nie dowiedziałbyś się, kto zamordował twoją siostrę.

Jest z siebie tak idiotycznie dumna i pewna słów, które wypowiada, że nie potrafię powstrzymać uśmiechu, który ciśnie mi się na usta. Z jeszcze większą przyjemnością wyprowadzam ją z błędu:

– Mylisz się, kotku. To, że pierwsza zdobyłaś te informacje, i to w tak chujowy sposób, nie znaczy, że byłaś jedyną, która się o to starała.

– Liczyłeś na Liliann? – rzuca urażona. – Nie wiem, co ci obiecała, ale ona by nie kiwnęła palcem. Jej koleś łatwo mógł dotrzeć do tych informacji, w końcu to pieprzony glina, którego urobiła po swojemu. I co? Gównno. Nie chciała go przycisnąć, nie zależało jej. Mijały miesiące, a dla niej liczyło się bardziej dobro klubu niż ty. Nie mogłam go ruszyć, bo ona by mi tego nie darowała, ale na szczęście w końcu pojawił się inny cienias i wykazał się większymi chęciami. Docenił moje zaangażowanie. Niedługo może ktoś znowu to zrobi – szepcze mi do ucha.

Piszczycy przestraszona, gdy niespodziewanie podrywam się i ustawiam tak, że teraz znajduje się przede mną, zdana wyłącznie na moją łaskę, a ja nad nią góruję. Chwytam ją za rękę, krępiję ją wysoko nad jej głową i przyciskam do materaca.

– Jakże, kurwa, znowu? – warczę. – Czy ty się nie uczysz na błędach? Lily chyba mówiła, że masz uważać na to, z kim się zadajesz. Zero dalszych kontaktów z policją. Ten cieniem wyciągnął z ciebie więcej niż z którejkolwiek z dziewczyn do tej pory. Dał ci poczuć, że wygrałaś, ale to on wciągnął cię w swoją grę. Prawie wszystkich wysypałaś. Facet Liliann musiał się nagimnastykować, żeby zatuszować twoje potknięcie i udawać, że ma wszystko pod kontrolą. Dużo ich to kosztowało. – Wzdycham, aby się uspokoić i nie zrobić jej krzywdy. – Tłumaczyłem ci. Papłasz bez sensu, nawet nie zastanawiając się, co może się stać, a powinnaś milczeć. Ile razy można to powtarzać? Nie nadajesz się do takiej roboty. Radzę ci zająć się czymś, co twój prosty rozumek ogarnia. Pierwszą szansę dostałaś, gdy Liliann zgarnęła cię z ulicy, a ostatnią po tej pieprzonej wpadce, i to tylko dlatego, że dziewczyny się za tobą wstawiły. Innych możliwości już nie będzie, a zapewniam cię, że nie chcesz narazić się w ten sposób po raz kolejny.

– To było tylko małe potknięcie. Za późno zorientowałam się, że nie jest tak przekupny jak Shane i powinnam nad nim dłużej popracować. Ale skąd miałam wiedzieć? Zależało mi na czasie! Zaryzykowałam i zrobiłam to dla ciebie! A Lily? Nie zrobiła nic! Dlaczego po tym wszystkim to właśnie jej bronisz? Kupiła cię tym, że daje ci u siebie zarabiać i sama bierze od ciebie mnóstwo towaru? A może to głębsze uczucia? – Patrzy na mnie wyzywająco, ale nie mam zamiaru odpowiadać. Dużo zawdzięczam Lily, ale ona mnie jeszcze więcej. Gdyby nie ja, nigdy nie osiągnęłaby tego, co ma dziś. Nigdy mi się nie wypłaci, nawet gdyby rzeczywiście kiedykolwiek zaczęło chodzić tu o forszę. To skomplikowany układ, jednak inny, niż ubzdurała to sobie Vicky w tej swojej zazdrosnej, ograniczonej łepetynie. – Zresztą widzisz ją gdzieś tutaj? – jawnie kpi, a jednocześnie rozkłada przede mną jeszcze szerzej nogi. Mistrzyni szybkiego dostosowania się do sytuacji. – Ja nie, a skoro nie słyszy, to mogę decydować o...

Chce jeszcze coś dodać, ale milknie, gdy kładę dłoń na jej krtani. Ściskam mocniej i wreszcie widzę upragnioną prawdę. Pierdolony przebłysk strachu, którego nie mogłaby tak umiejętnie udawać. Piękny, ale zbyt krótki, bo zaraz zmieszany z rozpalającym się na nowo pożądaniem, który dominuje nad przerażeniem i błyskawicznie go gasi.

– Ty po prostu uwielbiasz wyprowadzać mnie z równowagi. A może robisz to celowo, bo po prostu wolisz w ten sposób, co? – upewniam się.

Moment zawahania i krótkie kiwnięcie głową tylko utwierdzają mnie w tym, co wiedziałem od dawna. Lubię tylko jej fajne cycki? Skłamałem. Spośród wszystkich spotkanych do tej pory dziewczyn to ona jest mi najbliższa i dlatego tak często wpuszczam ją do swojego łóżka. Nie tylko w podzięcie, że przyniosła mi upragnioną prawdę. Uwielbiam ten jej prosty styl bycia, dającą po oczach głupotę i to, że nie jest wcale mniej popieprzona ode mnie. Przejrzałem ją. Fakt, to nie ja prowokuję i stale szukam mocniejszych wrażeń, żeby móc czuć cokolwiek. Ale ja nie muszę. Nie muszę, bo to nie ma sensu. Od lat nie czuję już niczego, czego chciałbym tak naprawdę doświadczyć.

– No to bardzo mi, kurwa, przykro, bo dziś już nic ode mnie nie dostaniesz – stwierdzam. – Nie dopóki nie nauczysz się lepiej dbać o tych, którzy wyciągnęli do ciebie pomocną dłoń, gdy tego tak bardzo potrzebowałaś. Nie gryź jej albo następnym razem sam zadbam, żebyś straciła własną. Zrozumiałaś? – Kiwa głową, a ja ją puszczam i wracam do wcześniejszej pozycji. – To zjeżdżaj. Wiesz, gdzie są drzwi. Trafisz.

Odsuwa się i wstaje. Zasłaniam twarz przedramieniem. Nie chcę widzieć tej skrzywdzonej miny, którą obdarza mnie za każdym razem, gdy z nią kończę. Jakbym obiecywał jej wieczność, która trwała tylko jeden dzień. To wciąż, kurwa, wywołuje u niej zaskoczenie. Słyszę, jak porusza się po mieszkaniu, zbierając w pośpiechu swoje rzeczy, ale to nie robi na mnie wrażenia. W końcu nie potrzebuje do tego asysty. Trzaśnięcie drzwi. I jestem sam.

W końcu.

Otacza mnie błoga cisza. Nie zjawia się zbyt często, a nawet kiedy już to robi, odchodzi zbyt szybko, jeszcze zanim mamy szansę się

dogadać. Wie, że jej nie lubię. Nie chodzi o uraz do niej samej, ale o to, że niepotrzebnie tworzy przestrzeń dla zbędnych myśli. Sprasza je ze sobą i zgrywa urażoną, gdy wrzeszczę, żeby wypierdalały. Nie potrzebuję pouczających przemówień tego ochrypłego skurwiela, głosu sumienia, który od czasu do czasu próbuje wskrzesić się ze zmarłych. Nieudolnie. Gdyby odrzucić wszystko inne, cisza sama w sobie nie jest taka zła, ale to płochliwa suka. Teraz też, bo zwiewa, gdy nagle przez nieszczelne okno wpadają do środka dzikie wrzaski.

– Oddawaj to, idioto! Ona dała go mnie!

Unoszę głowę znad poduszki, bo do moich uszu coraz wyraźniej docierają dziecięce piski. Głośniejsze niż zazwyczaj i bardziej agresywne, a przez to właśnie takie interesujące. Zaciekawiony dźwigam się z łóżka i podchodzę do parapetu. To niecodzienna sytuacja, bo i niewiele rzeczy potrafi wzbudzić w tych bachorach jeszcze takie emocje. Wolniej niż dorośli, ale one też ulegają tej potwornej stagnacji i nieubłaganie zmieniają się w najgorsze wersje samych siebie. Brak im dobrych przykładów, choćby mocniejszego bodźca, który popychałby je do zmian. Zanim dotrwią do dorosłości i dostaną możliwość wyrwania się z tego bagna, popadną w zubożenie i pogodzą się ze swoim losem. Nic nie jest w stanie dostarczyć im motywacji... Chyba że na horyzoncie zjawia się nowa zabawka.

Tak, teraz, gdy zbliżyli się dostatecznie do fasady budynku, widzę, co jest przyczyną konfliktu. Niewielki drewniany samochód. Bezsens, a jednak dla nich coś niesamowicie cennego, bo leją się tak, jakby był połączony. I cóż, nie muszę zgadywać, ja po prostu wiem, kto go tutaj przytaszczył. Rzadko zdarza się, aby ktoś całkiem bezinteresownie zapędzał się w te strony, by tak z dobroci serca podrzucić coś dzieciakom, a jeśli już, to zwykle są to nowe ubrania czy jedzenie. Najczęściej podejmują się tego wolontariusze, ale oni wiedzą, że pewnych rzeczy lepiej unikać, jeżeli nie jest się w stanie zapewnić wszystkim takich samych fantów. To rodzi konflikty. I większość doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Większość, ale nie wszyscy.

A już na pewno nie ona.

To musi być dar od anielicy. Boski prezent, ale dostarczony na pokuszenie przez diabła. Tylko ona jedna mogła pomyśleć, że to dobry ruch. Świetnie, kurwa. Kolejny dowód, że ta laska nie wie nic o życiu, nie zna pierdolonych zasad ulicy.

Choć w sumie to dobrze.

Jestem spragniony prawdziwych wrażeń do tego stopnia, że nawet uliczne bijatyki małych obdartusów przyciągają moją uwagę. Otwieram okno na oścież i wychylam się przez nie, żeby mieć lepszy widok na kotłujące się na chodniku dzieciaki. Dwóch chłopców walczy zawzięcie, a wokół nich przystanąły kibicujące im grupy. Od razu widać, że wyższy z nich ma większe poparcie i otrzymuje głośniejszy doping. Gdybym miał stawiać zakłady, moja forsa też poszłaby na niego. Mały sobie nie radzi, choć nie mogę mu odmówić zaciętości.

– Puszczaj! – piszczy mniejszy. – Puszczaj, nooo! Ben! To moje! Pierwszy go wziąłem!

Szarpnięcie. Jedno. Drugie. I jeb. Jeden z chłopców leży na ziemi, dłonią zasłaniając oko, w które najpewniej oberwał, kiedy tak zawzięcie walczył o odzyskanie fantu. Zwycięzca stoi nad nim, wymachując szaleńczo swoją zdobyczą, a tłumy wiwatują. To nie była długa walka, ale przewaga od początku była znaczna. Szkoda. Liczyłem na lepsze widowisko.

Chcę odejść, ale zanim faktycznie udaje mi się odsunąć i wrócić do wnętrza mieszkania, na horyzoncie pojawia się ktoś, kto jeszcze bardziej psuje mi zabawę. I humor.

– Ej, ale dlaczego się bijecie?! Inaczej się umawialiśmy! Mieliście się bawić wspólnie! Najpierw Miki, a potem Ben i dziewczynki. Jeżeli będziecie się tak zachowywać, to już nigdy nic wam nie przyniosę.

Mam swoją anielicę.

Oczywiście.

Pomyłka nie wchodzi tutaj w grę.

Po pierwszym spotkaniu widywałem ją w okolicy jeszcze kilka razy. Nie wzięła sobie do serca moich ostrzeżeń. Wcale tego nie żałowałem. Stałem w cieniu i obserwowałem. Czekałem na właściwy moment, żeby znowu się do niej zbliżyć. Dzień po dniu. Nie zdradzałem się ze swoją obecnością, a ona nie była jej świadoma.

Potem zniknęła. Myślałem, że już się nie pojawi. Czekałem. Wypatrywałem. Zwątpiłem. A ona, jakby wyczuwając ten brak wiary, postanowiła wrócić. Właśnie teraz. Przyszła wśród ciemności...

Odpycham się dłońmi od okna.

W biegu wciągam na siebie ubrania i opuszczam mieszkanie. Koniec zabawy w kotka i myszkę, choć trudno mi tak po prostu wyjść z roli łowcy. Zbliżam się do niej niepostrzeżenie. To nie jest trudne zadanie, zwłaszcza że ona nawet nie próbuje zachować czujności. Nadal wygłasza te swoje pouczające przemówienia niczym rasowy zbawca świata. Wizjonerka? Raczej ślepotą największą z największych. Nie mogę powiedzieć tego samego o dzieciakach. Zwiewają jak szczury, gdy tylko pojawiają się na horyzoncie. Nawet zabawka nie jest w stanie zatrzymać ich w tym miejscu. Dziewczyna wydaje się zdziwiona, gdy w końcu zostaje sama. Rozgląda się niepewnie na boki, ale wciąż nie patrzy za siebie. Niektórzy starają się nigdy tego nie robić, i to największy błąd, jaki mogą popełnić. Zamiast uczyć się na błędach, udają, że nigdy żadnego nie popełnili. A od przeszłości nie da się odciąć grubą krechą, jej ignorowanie zawsze ciągnie za sobą poważne konsekwencje, bo ta potrafi zatoczyć szerokie koło i uderzyć ze zdwojoną siłą.

Podchodzę bliżej, tak blisko, jak tylko mogę. Zatrzymuję się zaraz za jej plecami. Musi to czuć i być świadoma mojej obecności, nie ma innej możliwości. I wiem, że się nie mylę. Widzę, jak się spina, króciutkie włoski na odsłoniętym karku stają jej dęba. Wciąż udaje. Przedłuża nieuniknione. Jeszcze przez chwilę.

– Zabawa w niańkę bardzo cię zajmuje – odzywam się cicho, nachylając się do jej ucha, a ona nawet nie drgnie. – Zbyt łatwo tracisz koncentrację, a przecież ustalaliśmy, co może cię spotkać, gdy ci jej zabraknie.

Bezczelnie kładę ręce na jej biodrach i dopiero to wyrywa ją z zawieszenia, bo podskakuje ze strachu i gwałtownie odwraca się w moją stronę. Spogląda niepewnie. I, o kurwa, co to za spojrzenie! Idealne odwzorowanie wszystkich moich chorych fantazji zebranych w jedno. Vicky powinna się od niej uczyć. Byłoby nam wtedy przyjemniej.

– Czego ty ode mnie chcesz? – pyta i krzyżuje ramiona na piersi. Niby wyzywająca poza, a tak naprawdę cholernie obronna, jakby doskonale wiedziała, że jest na przegranej pozycji, ale sama starała dodać sobie otuchy.

– Chyba ostatnio wyraziłem się jasno?

– Widocznie nie dość – odzywa się ledwo słyszalnym, drżącym głosem.

Jej słowa nie pasują do tonu. Jakby chciała uchodzić za twardą, ale kompletnie nie była zaprawiona w tej sztuce. Zdradza ją ciało. Wzrusza ramionami, niby obojętnie, choć widzę, że nawet ten szczątek odwagi, który udało jej się z siebie wykrzesać, powoli ją opuszcza. I dobrze. Jej strach jest moją siłą. Nakręca lepiej niż największe starania wszystkich tych płatnych panierek razem wziętych.

– To nie jest twoja dzielnica. Miałaś się tu nie plątać, a jesteś na tyle głupia, że znowu tu przyłazisz. Czujesz się tak kurewsko bezpieczna? – Przekrzywiam głowę w bok, nie spuszczać z niej oka. – Błąd. Wystawiasz się jak na tacy, kotku. I może jeszcze myślisz, że prowokacja to dobry sposób na uniknięcie konfrontacji?

– Nie prowokuję cię. – Ucieka przede mną spojrzeniem, co budzi we mnie coraz większą frustrację. Bo chcę, żeby patrzyła nadal. Nie skończyłem rozkoszować się tą pieprzoną naiwnością! – I wcale się ciebie nie boję – dodaje cicho i jakby odpowiadając na moje żądanie, patrzy na mnie spod wachlarza długich, czarnych rzęs.

Jej światło nadal mnie oślepia.

Sprawia, że mrok się cofa, a to niedopuszczalne.

– Uważaj, żeby to się nie zmieniło.

Przez nią muszę zadbać, by znowu zrobiło się wystarczająco ciemno.

Rozdział 4

Skyler

Patrzę w ślad za pospiesznie oddalającym się mężczyzną. W jednej chwili stał i robił ze mną, co chciał, a w kolejnej po prostu przerwał naszą rozmowę i uciekł, jakby coś go trafiło, spłoszyło. Nie zdążyłam nawet zareagować, bo choć nie potrafiłam oderwać wzroku od jego oczu, to umknął mi moment, w którym zaszła w nich jakaś zmiana. A byłam taka skupiona! I przerażona. Kierowała mną fascynacja zmieszana ze strachem. Przedziwna mieszanka, zniewalająca. Jeszcze nigdy nie czułam się w ten sposób, ale też nie widziałam, by ktokolwiek kumulował w sobie tak wielką wściekłość. Był piekielnie zły. Na mnie? Staram się uspokoić, ale nieudolnie, bo cała wciąż dygoczę.

Sposób, w jaki nieznajomy nade mną górował, sprawił, że czułam się jeszcze bardziej bezbronna niż zazwyczaj. Krucha jak porcelanowa laleczka, podczas gdy on był skałą. Mimo wszystko nie chciałam się cofać. Nie zraził mnie jego dotyk, zbytńia poufałość, na którą powinnam zareagować instynktownie natychmiastowym wycofaniem. Zraziły słowa. Te słowa! Były jak zimny prysznic. *Uważaj, żeby to się nie zmieniło...* Nie potrzebuję więcej strachu. Wystarczy, że od kilku dni boję się nawet spoglądać na swój telefon. Każde nowe powiadomienie wywołuje gwałtowny wyrzut adrenaliny i palpacje serca. Obawiam się kolejnych rewolucji, bo od poprzednich mój świat jeszcze nie przestał wirować.

„Wiem, co zrobiłaś”.

I następnego wieczora kolejna:

„A czy ty wiesz, ile warte jest milczenie?”.

Nie wiem, bo akurat w tej kwestii jeszcze się nie określił. Ktokolwiek za tym stoi, okrutnie przetrzymuje mnie w niepewności.

Nadal i skutecznie, bo nie myślę o niczym innym. Chociaż i tak jest lepiej, niż było...

Po pierwszej wiadomości potrafiłam tylko tępo wpatrywać się w ekran. Robiłam to cały dzień po tym, jak Philip wrócił do mojej matki. Liczyłam na ciąg dalszy, ale gdy go nie otrzymałam, rozważałam już tylko scenariusze i oceniałam możliwości pomyłki. Próbowalam przekonać samą siebie, że przecież nie ja jedna na całym świecie zrobiłam coś złego. To wcale nie musiało chodzić o mnie... Oczekiwanie nie pozwalało mi normalnie żyć. W jednej chwili odpuściłam pracę, wolontariat. Przekonałam mamę, że nie czuję się najlepiej. Musiałam brzmieć naprawdę dziwnie, bo uwierzyła szybciej niż zwykle, a ja przez kilka dni faktycznie nie byłam w stanie zrobić czegokolwiek, co miałoby sens. Bez przeszkód mogłam się zadręczać. Wycofałam się z życia, ale telefon milczał.

Kolejna wiadomość przyszła trzeciego wieczora i pozbawiła mnie złudzeń.

„Mam nagranie z biura”.

Początkowo uderzyło mnie przekonanie, że nadawcą musi być Adam. Było to tak silne i zdecydowane, że natychmiast chciałam doprowadzić do konfrontacji. W końcu tamtego dnia byliśmy sami i to jedynie z nim wciąż łączy mnie diabelna tajemnica. Zaraz po odebraniu wiadomości zadzwoniłam, ale nie odebrał, a im dłużej o tym wszystkim myślałam w kolejne dni, tym bardziej podawałam to w wątpliwość. To ja dopuściłam się najgorszego, ale prawda jest taka, że nie powinno nas tam wtedy być. Jest tak samo winny i najpewniej nie chciałby, żeby prawda wyszła na jaw. To byłoby dla niego zbyt wielkie ryzyko, bo mógłby za to odpowiedzieć.

Odpuściłam.

Wciąż jednak brakuje mi alternatyw, ale dziś uznałam, że dłużej nie mogę tak żyć. Nie chcę więcej dawać się terroryzować. Wysłam do ludzi, a efekt jest taki, że po raz kolejny tracę grunt pod nogami. Przez nieznanomego.

Kręcę głową, jakby ten gest miał mi pomóc fizycznie wyrzucić z niej zbędne myśli, choć to nie przynosi efektu. Wzdycham ciężko i odwracam się w stronę, w którą uciekły dzieciaki. Zmierzam ku opuszczonej stacji kolejowej. Szybko pokonuję całą trasę i zanim się

spostrzegam, wchodzę w dobrze znany region. Rozciągające się brud i ubóstwo powinny odstraszać, ale mnie jeszcze mocniej przyciągają. Dopiero tutaj czuję, że wszystkie nerwy powoli odpuszczają. Rozpędzone myśli zwalniają i wskakują na swoje miejsce, już nie szukam usilnie sensu tam, gdzie go nie ma. Wreszcie jest tak, jak powinno.

Chociaż przez moment.

W oddali zauważam stary wykolejony wagon pociągu towarowego. Podkłady kolejowe i większość metalowych elementów samego składu została już rozebrana i wyniesiona na skup przez bezdomnych. Pozostały tylko drewniane konstrukcje i nieliczne blachy, które trzymają je w całości. Nędzny obrazek, ale nikt nie zaprzętał sobie głowy, aby coś z tym zrobić. Pozostał zapomniany przez okolicznych, ale jednocześnie miejscowe dzieciaki wciąż uznają go za świetną kryjówkę. To w nim przebywają najczęściej i właśnie tam zamierzam zajrzeć najpierw.

Śmiało wskakuję do środka. Mój wzrok pada na stertę podziurawionych koców leżących pod ścianą naprzeciwko. Nic więcej. Wewnątrz nie ma nikogo, ale wiem, że zaraz to się zmieni. Wystarczy, że siadam na progu, a po chwili otaczają mnie dzieciaki. Nie wiem, skąd wychodzą, ale zjawiają się całą gromadką. To miejsce to ich bezpieczna przystań. Kiedy byłam tu po raz pierwszy, wręcz pomyślałam o nich jak o płochliwych, dzikich zwierzątkach, które boją się ludzi i stronią od kontaktów, prowadząc tylko milczące obserwacje. Kiedy podeszło się zbyt blisko, niektóre z nich okazywały się nieufne i uciekały, inne broniły się agresją: słowną i fizyczną. Nic dziwnego. Zbyt wiele przeszły w niedługim czasie, choć tak nie powinno być. Nie potrafiłam tego zaakceptować ani zrozumieć. Denerwowałam się sama na siebie, bo trochę zajęło mi, by zyskać ich zaufanie. Chciałam osiągnąć zbyt wiele, i to natychmiast, a trzeba było uzbroić się w cierpliwość.

Czas okazał się zbawienny.

Emma, młodsza siostra Aarona, najstarszego z przebywających tu chłopców, podbiega do mnie i bez wahania wciska mi się na kolana. Zarzuca mi ręce na szyję i wtula się jak mała małpka. Uroczą pięciolatka. Ona polubiła mnie jako pierwsza. W porównaniu

z innymi jest zbyt ufna i przekupna. To mnie niepokoi i sprawia, że przed snem drzę ze strachu o nią. Jej brat, starszy od niej o całe sześć lat, jest bardziej wycofany i kryje się ze swoimi emocjami, ale jednocześnie ją kontroluje, pilnuje, żeby nie wpakowała się w kłopoty. Tylko dlatego jestem w stanie za każdym razem stąd odejść.

– Przestraszyłam się tego pana – wyznaje cichutko, tak żeby nikt inny poza mną tego nie usłyszał.

– Wiem, kochanie, ale on już sobie poszedł i nic ci nie zrobi – zapewniam, a ona ściska mnie z całej siły.

– To dobrze. A masz jeszcze cukierka albo coś?

Mała odsuwa się na wyciągnięcie chudziutkich ramion i spogląda mi prosto w oczy z olbrzymią nadzieją, jakbym miała zamiar ofiarować jej szansę na inne życie, a nie jedynie trochę cukru i czekolady. Nie ma dnia, żebym nie żałowała, że nie jest inaczej. Daję jej batonik, a ona piszczy radośnie i natychmiast zabiera się za odpakowywanie. Reszta dzieciaków patrzy na nią z zazdrością, ale kiedy tylko uświadamiam sobie swój błąd i otwieram usta, aby im to wytłumaczyć, natychmiast się rozbiegają i zajmują innymi sprawami, jakby nie chcąc zdradzać swoich słabości. Nie mam szans odpowiednio zareagować...

Wzdycham ciężko i głaszczę Emmę po jasnobrązowych włosach. Są nieznośnie przetłuszczone, pokryte szarym pyłem. To mnie nie obrzydza, choć już wielokrotnie chciałam zabrać ją do siebie i pozwolić porządnie się wykąpać, a potem najeść do syta. Wiem jednak, że wtedy okazałabym się kimś innym, niż sądzą. Pokazałabym prawdziwą twarz i straciła ich zaufanie, a tego potrzebuję, żeby móc pomagać tak jak do tej pory. Oni widzą we mnie przecież jedną ze swoich i dopuszczają bliżej niż wszystkich innych wolontariuszy. Odróżniają mnie od nich. Czasem przynoszę im fanty, ale mimo to przypominam ich wyglądem, a przede wszystkim jestem na ulicy. Tak samo jak oni. Liczę, że to wystarczy.

– Gdzie wasi rodzice, Aaron? – zwracam się do chłopca, który stoi na uboczu, przed wagonem, i namiętnie kopie wystającą spod śniegu kępę traw.

Ma na sobie brązowe, mocno wypłowiałe palto i dziurawe buty. Gorzej niż w ubiegłym roku. Muszę pomyśleć, co z tym zrobić, ale w tym momencie moje myśli zajęte są czymś innym. Coś go trapi. Widzę to po jego minie.

– Nie wiemy! – odzywa się Emma.

– Cicho, Em! Ty nie wiesz, ale ja wiem – przerywa jej brat i spogląda na nas nad wyraz dorosłym, surowym spojrzeniem. – Tatę wsadzili do paki.

– O tym słyszałam – wtrącam się, bo nie chcę, żeby czuł się zmuszony do spowiedzi za winy ojca. Wieści o napadzie na kantor, którego dokonał razem z kolegami, dotarły do mnie już wcześniej. Zazwyczaj staram się nie wydawać wyroków wcześniej, niż te faktycznie zapadają. W tym przypadku też nie zamierzam zagłębiać się w ten temat i dzielić się swoimi spostrzeżeniami, choć przyglądając się ponownie poobijanej twarzy chłopca, nie potrafię nie odetchnąć z ulgą, że jego koszmar choć na moment się skończył.

– To on cię pobił, prawda?

– Nie twój zakichany interes! – warczy rozgniewany. – Możesz sobie już iść? Wkurzasz mnie.

– Pójdę, ale powiedz jeszcze, gdzie wasza mama.

– Pewnie śpi. Odpoczywa. Ostatnio dużo pracuje.

Ściemnia, ale mimo wszystko wchodzę w jego grę i dopytuję:

– Znowu?

Krzywię się, bo szczerze łudziłam się, że matka jednak stanie na wysokości zadania i wreszcie się zajmie odpowiednio dziećmi. Właśnie teraz, szczególnie w takiej chwili. Tymczasem znowu dopada mnie rozczarowanie, bo wiem... Och, bardzo dobrze wiem, że ten sen nie wynika ze zmęczenia. Raczej ma swoje alkoholowe podłoże. Miałam przyjemność widzieć już ją w tym stanie, kiedy próbowałam samodzielnie coś zrobić, porozmawiać, jakoś pomóc, zanim przeszłam do konkretniejszych działań...

– To nic! – Emma posyła mi szczerbaty uśmiech, a buzię ma całą usmarowaną czekoladą. Odwzajemniam ten gest i szczerzej zakrywam jej szyję szalikiem, po czym zamykam w ramionach, żeby dodać jej trochę ciepła. – Aaron mówi, że kiedyś przyjedzie dobry pan i obudzi ją ze snu. Uszyje nam wszystkim nowe buty, a potem

zabierze nas do ładnego domku! Białego z płotkiem! I będzie tam piesek i taki mały kotek! Tak jak w twojej bajce! Poczytasz mi ją jeszcze raz?

Opieram podbródek na głowie małej i przyglądam się uważnie jej bratu, a on wzrusza ramionami i przybiera zaciętą minę. Mały wojownik. Nie wierzy w to, ale chce podtrzymywać wiarę w swojej siostrze. Jest zbyt dojrzały jak na swój wiek. Zbyt poważny i pozbawiony dziecięcej beztroski. Cholernie wcześniej został z tego ograbiony.

– Jasne, właśnie po to ją tutaj przyniosłam, kochanie. A może sama chcesz poczytać? – proponuję. – Poczujemy się literek? Zostawię ci wtedy książeczkę i będziesz mogła sama czytać ją sobie przed snem. Albo Aaronowi. – Nachyliłam się do jej ucha i zniżam głos do szeptu, choć nie na tyle cichego, żeby mógł zostać zignorowany: – On nigdy ci się do tego nie przyzna, ale lubi tę historię.

– Wcale nie! – protestuje Aaron, ale rumieniec pokrywający jego policzki jest najlepszym dowodem na to, że się nie pomyliłam.

– Widzisz? – Uśmiecham się do Emmy, a ona chichocze. – Mówiłam!

– Mogę spróbować!

Otwieram książkę, a mała natychmiast się na niej skupia. Jest zdeterminowana, żeby wszystkiego się nauczyć. Nie ma takiej szansy. Zanim zdążę zareagować, Aaron podbiega do siostry i zabiera jej prezent. Ucieka.

– Ej! – burzy się Emma i patrzy na mnie błagalnie.

– Spokojnie, zaraz ci ją odda – uspokajam.

Zostawiam Emmę samą i podążam w ślad za jej bratem. Już przestał uciekać. Nadal jest wzburzony i idzie szybko, ale nie na tyle, bym nie mogła go dogonić.

– Dlaczego się tak zachowujesz? – pytam, przytrzymując go za ramię. Natychmiast mi się wrywa.

– Ja nie chcę, żebyś tu przychodziła już nigdy więcej! W życiu!

– Ale dlaczego? Wytłumaczysz?

– Bo jesteś głupia i cały czas kłamiesz! Wcale tu nie mieszkasz! Tylko zadajesz się z nimi! To przez ciebie do mamy przyszła pani

i chciała nas zabrać! Słyszałem! I musieliśmy uciekać razem z Emmą, i musiałem ją chować! Ciągle muszę! A ona się boi w nocy i moczy koc! To twoja wina! – wrzeszczy, prawie się przy tym zapowietrzając i rzuca książkę przed siebie na mokrą od topniejącego śniegu trawę. W zamian chwyta się za blond włosy i mocno pociąga, jakby ta sytuacja już go przerastała.

– To dlatego ostatnio nie jadłeś zupy ze wszystkimi? Po prostu chciałeś zanieść ją siostrze? Żeby nikt was nie znalazł? Aaron – jęczę, bo dociera do mnie, jak przerażająco musiało to wyglądać w jego oczach i jak bardzo poczuł się zdradzony. Próbuję dotknąć jego ramienia, ale kiedy odskakuje jak oparzony, natychmiast rezygnuję z tego pomysłu. – Dobrze, masz rację, mieszkam gdzie indziej, ale ta pani naprawdę nie chciała nic złego. Ona by wam wreszcie pomogła. Musisz zrozumieć, że wasza mama ma pewne problemy, z którymi sama sobie nie poradzi, a dopóki się z nimi nie upora, nie jest w stanie opiekować się wami. Jesteś dużym chłopcem, przecież dobrze o tym wiesz. Chciałbyś, żeby Emmie stała się jakaś krzywda?

– Nic jej się nie stanie! Nigdy nic nie było! Pilnuję jej! A teraz przysłaś ty i... i... To ty robisz nam krzywdę! Wszystkim! – krzyczy histerycznie, a łzy pojawiają się w jego oczach, choć bardzo stara się, żebym tego nie zauważyła. Opuszcza głowę, mruga szybko, ale gdy te przejmują kontrolę, po prostu ucieka.

Wzdycham ciężko. Nie mam zamiaru go dalej gonić. Chcę, żeby się uspokoił i dopiero wtedy spróbuję z nim porozmawiać. Chociaż nie wiem, czy mi na to pozwoli. On już mnie skreślił. I tego się bałam. Jeden raz zrobiłam coś, czego nie powinnam i zbieram tego konsekwencje. To nie było trudne do przewidzenia. Czułam przecież, że ta dodatkowa pomoc im się nie spodoba, ale nie spodziewałam się, że tak szybko dowiedzą się, kto za tym stoi.

Podchodzę do porzuconej książki i schylam się, aby ją podnieść. W tym samym momencie czuję, jak telefon w mojej kieszeni wibruje. Wyjmuję go ukradkiem, a widok kolejnej wiadomości z zastrzeżonego numeru zapiera mi dech.

Tym razem to nie pogróżka, nie bezpośrednia, a link z przekierowaniem do filmu. Klikam odtwarzanie, choć doskonale

wiem, co ujrzę, jeszcze zanim obraz zdąży się załadować. Mimo to skupiam się na ekranie i rozpoznaję znajomą scenkę. Gabinet ojca. Adam siedzi na obrotowym fotelu i przegląda coś zawzięcie na firmowym komputerze. Jest tak skoncentrowany na swoim zadaniu, że nawet nie zwraca uwagi na to, jak łaszę się i ocieram o niego jak napalona nastolatka. W tamtym momencie nie obchodziło mnie, co tak właściwie robi. Że szkodzi. Liczyło się to, że jest. Cały mój. W końcu. Okoliczności też sprzyjały. Ekscytował nas nocny włam do biura i to, że jesteśmy tam sami, nikt nie mógł przeszkodzić nam w przekraczaniu kolejnych zasad. A ja chciałam je złamać. Wszystkie. Ale tylko z nim. W przeciwieństwie do Adama. Dziś wiem, że wtedy szczerze zależało mu tylko na jednym: na dotarciu do danych, których tak bardzo pilnował mój ojciec, i wykorzystaniu ich przy budowaniu własnego imperium. Pomogłam mu w tym, nie przeczę. Tak bardzo pragnęłam dostać od niego trochę czułości, której nie doświadczałam zbyt wiele w rodzinnym domu, że to mnie zaślepiło. Pozornie zgrywałam trudną do zdobycia twardzielkę, a tak naprawdę po prostu szukałam akceptacji w każdym, w nim też.

Podczas gdy on uważał mnie za balast. Potrzebny na chwilę. Dla dobrej sprawy.

Teraz, przyglądając się nagraniu, bez trudu zauważam zniecierpliwienie malujące się na jego twarzy i to, że zupełnie nie reaguje na moje zaczepki. W tamtym czasie to mi umknęło. Byłam zbyt pijana, zbyt zakochana. I chyba ten stan popchnął mnie wtedy do bardziej desperackich kroków. Na filmie właśnie odkładałam na bok wyjętą z szafki butelkę z whisky, z którą zdążyłam się już szczerze zaprzyjaźnić. Odsuwam się nieco, ale tylko po to, by szarpnąć suwak sukienki, powodując tym samym, że materiał opada na podłogę. Widok mnie nagiej i tak bardzo gotowej musiał zadziałać na niego odpowiednio. Adam przestaje grzebać w komputerze. Przygląda mi się wnikliwie i uśmiecha drapieżnie. Kiwa dłonią, chce, żebym się zbliżyła, a ja chętnie korzystam z tego zaproszenia. Śmiało wskakuje mu na kolana, a jego usta odnajdują moje z taką żarliwością i głodem, jakby nigdy wcześniej nie miał okazji ich skosztować. Pamiętam to jak przez mgłę. Jak również to, że chwilę później do gabinetu wpadł ojciec. Zrobił to po raz ostatni w swoim życiu.

Nie mam okazji tego zobaczyć, bo film się urywa w momencie, kiedy otwierają się drzwi. I dobrze. Nie chcę dalej oglądać, pragnę raczej raz na zawsze wyrzucić te obrazy ze swojej głowy. Mocno zaciskam powieki, ale to nic nie daje. Mam wrażenie, że przycisk stop nie działa, że zamiast niego przypadkiem wciąż wymuszam *replay*. Zasłużenie. Aaron ma rację. To ja robię wszystkim krzywdę. Nie od dziś. W życiu nie uda mi się za to odpokutować.

Nie mam już nic do stracenia.

Ponownie wybieram numer do Adama. Tym razem odbiera.

– Myślisz, że to jest śmieszne?! – atakuję go, gdy tylko akceptuje połączenie. Głos mi się łamie, przybiera płaczliwe nuty, a to jeszcze bardziej wyprowadza mnie z równowagi. Nie chcę pokazywać się od tej słabej strony. Szczególnie przed nim.

– Chciałbym powiedzieć, że miło cię słyszeć, ale to byłoby kłamstwo. – On z kolei jest wręcz irytująco spokojny. Jak zawsze. Początkowo to mnie w nim kręciło, to, że do wszystkiego podchodzi z opanowaniem i zimną krwią. Potem zaczęło mnie to coraz bardziej irytować. W tej chwili doprowadza do szaleństwa. – I cóż, łatwiej byłoby stwierdzić, gdybyś przywitała się jak człowiek i powiedziała, o co ci chodzi. Ale czego ja się spodziewam? Zawsze byłaś szurnięta.

– Przestań pieprzyć i powiedz, po co ci to wszystko?! Co chcesz tym osiągnąć?! – krzyczę, ani myśląc się uspokoić.

– O czym ty mówisz, dziewczyno? Przejdź w końcu do rzeczy, bo marnujesz mój czas – przerywa mi zniecierpliwiony.

– Nie udawaj pokrzywdzonego niewiniątka, bo i tak ci nie wierzę!
– warczę. – Jeszcze gdyby chodziło o same groźby, może bym to kupiła, ale ten film... Musi być od ciebie! Nie wmówisz mi, że ktoś obcy nas podglądał i odzywa się dopiero teraz! Po dwóch pieprzonych latach, Adam!

– Czekaj, mówisz, że ktoś szantażuje cię nagraniem z tamtej nocy?
– parska. – I co? Myślisz, że gdybym miał na ciebie dobrego haka, to nie wykorzystałbym go wcześniej? Och, kochanie, nie mam najmniejszych powodów, by chronić twój tyłek. Dbam tylko o własne interesy. I uwierz mi, gdyby o nie w tym wszystkim nie chodziło, doniósłbym na ciebie już dawno temu i z wielką satysfakcją obserwował, jak cię skuwają. W końcu tak postępuje się

z mordercami, prawda? – cedzi powoli i dobitnie, powodując, że się wzdrygam, jakby wymierzył mi siarczasty policzek. – Jeżeli to wszystko, to miłego dnia, Sky. Powodzenia albo i nie. Nie dzwoń do mnie więcej. Napatrz się lepiej na niebo, bo ewidentnie ktoś chce pozbawić cię tego widoku na najbliższe lata.

Rozdział 5

Samuel

Kieruję się do klubu i docieram tam szybciej niż zazwyczaj. Bardzo tego potrzebuję. Muzyka potrafi ogłupić. A ja dziś dla odmiany chcę poczuć się głupi. Głębokie basy atakują mnie już od wejścia, wdzierając się do umysłu równymi falami i wywołując ciary na całym ciele, a włos jeży mi się na karku. Są zbyt intensywne, zbyt mocne. Serce za ich sprawą prawie gubi swój rytm, wytrącone z równowagi kakofonią dźwięków. Od ich natężenia moje uszy krwawią i błagają o litość. Nie otrzymają jej.

Śmiało przechodzę z jednej sali do drugiej. Przeciskam się przez ciemny, zatłoczony do granic możliwości parkiet. Ciężkie powietrze utrudnia mi oddychanie. Zapach ciał, mieszanina różnych perfum, alkoholu oraz dymu składa się w jedno i atakuje moje nozdrza. Mdli mnie od tego natężenia. Nikt jednak nie zwraca na mnie uwagi. Ludzka masa nie przestaje się poruszać. Nieustannie faluje, posłusznie poddając się narzucanym rytmom. Nikomu nie przeszkadzają też lasery, które przemykają po tłumie, odznaczając się fioletowymi i zielonymi pręgami. Obierają trasę na chybił trafił. Zawadzają o czyjaś rozwichrzoną czuprynę, gładzą delikatnie po rozpalonych policzkach, znowu zmysłowo muskają kawałek odsłoniętego ramienia, biodra, brzucha. Pociągłe światła ustępują tylko na chwilę, gdy długie liźnięcia przeskakują w stroboskopowy efekt. Zamrażają ruch i po chwili znów go uwalniają. I tak w kółko, aż do znudzenia.

Ludzie szaleją w psychodelicznym transie. Ocierają się o siebie, przydeptują wzajemnie niczym stado bezwolnych baranów. Są tacy nieświadomi, tacy beztroscy i spragnieni, aby chłonąć jak najmocniej i więcej, niż są w stanie znieść... Mógłbym zapewnić, że tak się stanie, że zapamiętają tę noc do końca swojego życia. Mam

dar do dostarczania wrażeń tych bardziej i mniej pozytywnych. Posiadam do tego również odpowiednie narzędzia. Jestem przecież profesjonalistą, a oni są łatwymi celami, prostymi klientami. Tak, ale dzisiaj mnie nie interesują. Muszą radzić sobie sami. Ja przybyłem tu po coś zupełnie innego. Chcę w końcu uregulować własny rachunek, a przynajmniej odebrać pierwszą część spłaty. Druga będzie bardziej spektakularna i wymaga odpowiedniego przygotowania gruntu.

Docieram do baru i opieram się przedramionami o blat, bębnię o niego palcami. Odnajduję wzrokiem dawnego przyjaciela, kompana najciemniejszych zagrywek.

Anthony Madsen. Tony.

Kiedyś byliśmy ze sobą blisko. Z nim i jego bratem. Stanowiliśmy nierozłączne trio. Razem zostaliśmy zwerbowani i weszliśmy we właściwe kręgi praktycznie w tym samym czasie. Szybko złapaliśmy dobry kontakt, bo nadawaliśmy na podobnych falach. Wypracowaliśmy sobie pozycję i trzymaliśmy się jej mocno. Szefowie byli z nas dumni. Rządziliśmy rynkiem, inne grupy nie miały szans przebicia. Graliśmy z glinami, jak nam pasowało, a oni posłusznie tańczyli w rytm zagranej przez nas melodii. Z każdej akcji wychodziliśmy z podniesionymi głowami. Ludzie sukcesu. Powodziło nam się. W tamtym okresie nie istniał człowiek, który odważyłby się nam przeciwstawić. Byliśmy kimś. Najlepszymi w fachu.

Ale potem się posypało.

I świat pogrążył się w mroku, bo kogoś, o kim myślałem jak o najlepszym przyjacielu, zaczęło razić moje szczęście i postanowił pozbawić mnie światła, które rozpraszało ciemności. Jeden strzał, ale trafił celnie, bo w najśłabszy z punktów. Wyrwał płuca, rozszarpał bebechy. Nie moje, ale to mi zabrakło wtedy tchu. Za sprawą przyjacielskiej kulki. Podwójnie bolesnej.

To kurewsko przykre.

Podobnie jak prawda, która ponownie dała o sobie znać po latach i ujawniła, kto jest kim.

Teraz wiem.

Obserwuję Tony'ego. Krąży po drugiej stronie lady, starając się sprawnie obsłużyć kolejnych napływających klientów, zalać

procentami ich niespokojne dusze. Jest w tym dobry. *Dark Soul* to w końcu jego miejsce na ziemi. Wywalczył je tak jak wolność. Pozorną. Ironia goni ironię. Po prostu sprzedał duszę i wcale się z tym nie kryje. To on zasmucił mnie najbardziej. Długo zastanawiałem się, jak musi się czuć z tym, co zrobił i czy jest w stanie spojrzeć sobie w oczy w pieprzonym lustrze. On jednak wygląda, jakby nic mu nie dolegało. Jakby miał się naprawdę świetnie. Promienieje.

Jeszcze.

Jest tak bardzo pochłonięty sprawami klubu, że nic innego się nie liczy. To właśnie temu interesowi poświęca cały czas. Uwagę zresztą też. Nawet teraz. Nic innego do niego nie dociera, tak bardzo zaangażowany jest w prowadzenie tego swojego cudnego biznesu. Szkoda, że nie przyłożył się tak mocno do kreowania swojej iluzji. Może wtedy czekałaby go lepsza przyszłość. Dłuższa.

Z początku wcale mnie nie zauważa albo tylko udaje, ale w końcu usidlam go w miejscu spojrzeniem. Tony zatrzymuje się i patrzy prosto na mnie. Inni przestają mieć znaczenie. Mam wrażenie, że kiedy mnie rozpoznaje i dociera do niego, z kim ma do czynienia, nagle blednie. Jest świadomy swoich win. To one go wgniatają w ziemię.

Też się cieszę, że cię widzę.

Uśmiecham się pełną gębą, ale Anthony tego nie odwzajemnia. Hamuje gwałtowność swoich reakcji. Skryty koleś. Wcześniej nie znałem go od tej strony. Nieznacznie kiwa głową, wskazując na wyjście z klubu. Poklepuje po ramieniu swojego pracownika, by przejął obowiązki i sam opuszcza stanowisko. Zna mnie, a raczej jest świadomy tego, jaki potrafię być. Wtedy, kiedy mi to pasuje i kiedy emocje biorą górę nad rozsądkiem, taranując opanowanie. Nie chce, żebym robił sceny, a w każdym razie zabiera mi publiczność, bo na to pierwsze nie ma żadnego wpływu. Nie buntuję się, bo fakt, że budzę taki respekt, nadal przynosi mi wystarczająco dużo satysfakcji.

Tony wychodzi pierwszy, a ja podążam za nim. Przechodzimy przez zaplecze i korzystamy z drzwi prowadzących na tyły klubu. Wychodzimy na betonową rampę, pod którą zwykle podjeżdżają

samochody z zaopatrzeniem. Tutaj jest znacznie ciszej. Muzyka dalej bębni, ale już tylko w tle. Dociera do nas jej echo.

Anthony opiera się plecami o mur i odpala papierosa. Mocno zaciąga się dymem, jakby w tej mgiełce odnajdywał ulgę. Nie przeszkadzam mu w momencie rozkoszy. Przystaję obok i wciskam dłonie do kieszeni. Tony unika mojego wzroku. Nie jest już tym samym człowiekiem, którego znałem i do którego miałem szacunek. Szczałkowy, ale zawsze jakiś. Dziś nie budzi podziwu hartem ducha. Cuchnie od niego wyłącznie strachem. I słusznie, bo ma się czego bać.

– Zmieniłeś się – odzywa się niepewnie.

Taksuje mnie pobieżnie wzrokiem. Szybko, jakby sam mój widok zbyt wiele go kosztował. Mięśnie na jego bicepsach napinają się pod czarną koszulą, gdy otula się w pasie jedną ręką. Już się broni, a przecież jeszcze nie atakuję! Daję mu szansę, żeby się wypowiedział z dawnych przewinień i uzyskał rozgrzeszenie. To od niego zależy, jak potoczy się ta rozmowa.

– Prawie cię nie poznałem – dodaje, pocierając nerwowo łusy łeb.

– Z wzajemnością, Tony. – Śmieję się.

Przechodzę nad krawędzią rampy. W jedną stronę i drugą. Noga za nogą. Tracę równowagę. Łapię ją. Balansuję, ale nie spadam. Tę sztukę opanowałem do perfekcji.

– Tylko widzisz, u mnie to wyłącznie zewnętrzne zmiany, odświeżony wygląd i wymiana papierów, by dalej beztrudnie biegać sobie po świecie i nie ciągnąć za sobą ogona, choć niektórzy bardzo chcieli mi to utrudnić. – Patrząc na niego znacząco, a on odwraca wzrok. Ma winę wymalowaną na twarzy. Chociaż nigdy nie udało mu się mnie wkopać, to dobrze, że jest świadomy, że same próby były ciosem poniżej pasa i bardzo mi się nie podobały. Tony wojował dzielnie, ale na jego nieszczęście miecz okazał się obusieczny. – We wnętrzu jestem tym samym człowiekiem co zawsze. Przybieram maski, ale tylko po to, żeby przedstawienie mogło trwać. A ty? Bez obrazy, ale wyglądasz, jakby wypruto cię, zmielono i tę miazgę włożono z powrotem na stare miejsce. Starasz się udawać, że jest inaczej, ale to nie wychodzi. Słabo, stary. Słabiutko.

– Co ty pierdolisz?

– Wygrzeczniałeś i, cóż, miło się urządziłeś – rzucam z kpina. Zatrzymuję się i rozglądam z ciekawością, choć obskurny zaułek nie jest godny uwagi. – Może potrzebujesz rozluźnienia? Kiedyś to lubieś, a ja przerzuciłem się na drobnicę i mam łatwe dojścia – kłamię, bo tak naprawdę, odkąd odciąłem się od starego towarzystwa i podjąłem karierę solo, nigdy nie powodziło mi się tak dobrze jak kiedyś. Co gorsza, moje obecne źródelka wysychają jedno za drugim. Zbyt szybko, bym mógł zorganizować coś konkretnego i to w ilościach, jakich potrzebuję, żeby sensownie na tym zarobić. To już nie to, co kiedyś. Zwłaszcza w Detroit. Nawet przy posiadaniu kilku odpowiednich kontaktów nie jest łatwo wbić się w dawny rytm. To coraz trudniejsze, bo konkurencja się rozrosła i nie śpi, ale on nie musi wiedzieć o moich problemach, a ja sobie poradzę. Jak zawsze. – Mogę załatwić ci świetny towar.

– Zajebicie, ale lepiej będzie, jak zabierzesz go tam, gdzie go chcą.

– Jego? – Przekrzywiam głowę w bok, a z kieszeni wydaję torebeczkę ze skarbem. Białym złotem. Potrząsam nim przed nosem Tony’ego. – Czy może jednak siebie?

– Jest jakaś różnica? On niszczy, ty niszczysz. Nic dobrego z tego nie wynika. Nigdy. Każdy o tym wie.

– Prawdziwy poeta z ciebie wyrósł. Może powiedz jeszcze, że życie cię czegoś nauczyło?

– Każdy z nas ruszył do przodu. Ja i Dylan nie mieliśmy z tym problemu – mówi ostrożnie, a ja się śmieję na tę nedorzecznosc. Tym razem kreowanie rzeczywistości wychodzi mu słabo. Nie jest w stanie przykryć starych oszustw nowymi, zbyt dużo się ich napiętrzyło. Ale tego nie zauważa, usilnie udaje i nie chce przyznać, że niektórzy nie mieli szansy, by zrobić choćby jeden krok, odpadli w przedbiegach, a on im w tym pomógł. Miał w tym znaczący udział.

– Mówię poważnie, Sam. Chyba że mam używać innego imienia? Jak cię teraz nazywają?

– Wybierz sobie, przecież dobrze wiesz, jaki masz wybór.

– Nie wiem. – Dalej stara się udawać. Średnio mu to wychodzi. Zwłaszcza w starciu ze mną. – Różne wersje słyszałem przez lata.

– Cóż, a jednak coś słyszałeś. Więc to prawda?

– Ale co?

– Doszły mnie słuchy, że jesteś moim najwierniejszym fanem i pilnie śledzisz wszystkie moje ruchy. To jak to jest, Tony?

– Wolę mieć cię na oku, ale tylko ze względów bezpieczeństwa. Słyszałem, że żal po stracie siostry nieźle namieszał ci we łbie. – Wzdycha, a ja uśmiecham się cynicznie, ale milczę. Pozwalam mu samemu wejść w to bagno. – Czego tak właściwie oczekujesz? Wrócić do przeszłości? Cofnąć czas? Przecież dobrze wiesz, że tego, co było, już nie ma. Większość z tych, którzy nas w to wtedy wciągnęli i prowadzili, już dawno gryzie piach albo siedzi w pierdlu – tłumaczy spokojnie, jakby sam nie miał z tym nic wspólnego. Obłudny, sprzedajny skurwysyn. – Nie wmawiaj sobie, że jest inaczej. Nie łudź się. Ogarnij się, zacznij żyć normalnym życiem. Jeżeli nie potrafisz tu, wynieś się gdzieś daleko i nie oglądaj się za siebie. Nie wracaj. Odetchnij, człowieku!

– Och, czuję, że nie chcesz mnie tu widzieć, co?

– Nikt nie chce.

– Jest mi tak kurewsko przykro, drogi przyjacielu! – Chwytam się teatralnie za serce. – Ranisz mnie!

– Nie błaznuj.

Krzywi się. Też bym się krzywił, gdybym musiał tak bardzo wykrzywiać rzeczywistość, aby na siłę wepchnąć ją w ustalone ramy. Kłamstwo w jego przypadku nie jest elastyczne, a raczej sztywne i trudne do opanowania.

– To ty skończ te cyrki – warczę, porzucając pozorne wyluzowanie. Nie chce mi się dalej udawać. – Myślisz, że nie wiem, że to właśnie wy wystawiliście mi wtedy niewinnego faceta, żebym to na nim się odegrał? Wydawało wam się, że to nigdy nie wyjdzie?! Myślisz, że jestem tak głupi, kurwa?! Nic was nie obchodziło, co się z nim stanie. I co? Dalej będziesz udawać, że o niczym nie wiedziałeś? Że nie wiesz, kto naprawdę zabił Olivię? I dlaczego?

Przyglądam mu się i nie umyka mi, gdy pospiesznie odwraca wzrok. Nie ma w sobie za grosz odwagi, by udźwignąć konsekwencje swoich poczynań.

– Szkoda. To smutne. Żałosne wręcz. I nielojalne. Ale daję ci ostatnią szansę. Zawsze cię lubiłem. Wybaczam wszystkie kłamstwa,

złe wybory. Wybaczam, że zdradziłeś. Wybaczam nawet to, że nie wystarczyło ci, że przyczyniłeś się do śmierci Ollie, tylko zawzięcie chciałeś dorobić się moim kosztem i przy okazji starałeś się mnie unieszkodliwić, położyć na mnie, kurwa, krzyżyk – mówię jak gdyby nigdy nic, a on gwałtownie unosi głowę. Bawi mnie szok wymalowany na jego twarzy, choć jednocześnie drażni to, że mnie nie doceniał. – No co? Dziwi cię, że o tym wiem? Trochę mi to zajęło, ale potrafię dodać dwa do dwóch. Gliny zawsze stąpały mi po piętach, odkąd nasze drogi się rozeszły. I bardzo dokładnie sprawdzały miejsca, w których bywaliśmy. To wszystko, kurwa, jakieś dziwne. A przestaje takim być, gdy podpyta się w odpowiednich kręgach. Nie tylko ty masz swoich ludzi, ja również. I moi są mocni. Trwają przy mnie pomimo upływu czasu. – To też nie do końca prawda, ale nie chcę się przyznawać przed nim, jak wielu przyjaciół zostało zweryfikowanych przez los. Na szczęście kilku się ostało. – Mogłeś mi rzucać kłody pod nogi, a oni robili wszystko, żebym miękko wylądował, nawet gdy przez ciebie faktycznie się potykałem. Spisali się i wiesz? Ich nie da się ukruszyć tak łatwo jak ciebie.

Nie odpowiada. Gasi niedopałek o mur i odwraca się do mnie plecami. To błąd. Kolejny, którego będzie żałował. Może. A może, kurwa, nie. Tego nie da się już sprawdzić. Czasu nie można cofnąć, a szanse na ponowne spotkanie są zerowe. Życie jest jedno i trwa tu na ziemi. Po drugiej stronie nie ma już przecież nic. Pustka.

– Wierzysz w istnienie duszy, Tony? – zagaduję beztrosko, a on zatrzymuje się w pół kroku. Jest już tak blisko drzwi, że mógłby się za nimi skryć i być bezpieczny. Wróciłby do swojego królestwa, a ja więcej bym go nie nękał. Czasem życie w wiecznym strachu i niepewności jest większą karą. Niestety, ale paralizujący go strach trzyma go w miejscu, odbiera szansę. Nakazuje mi wykazać się miłosierdziem. – Musisz wierzyć. W końcu chowasz się w zakamarkach tej speluny. *Ciemna dusza*, co? Gdybym przestrzelił cię na wylot, twoja okazałaby się równie czarna? Bo wiesz... Dylana była. Czarna jak posoka, która z niego trysnęła i zaraz wchłonęła się w trawę. Brudna i ciężka. Zbyt ociążała od nadmiaru win, by wznieść się w powietrze.

– Co zrobiłeś z moim bratem?! – Spogląda na mnie przez ramię. Panika na jego twarzy to najlepsze, co mogłem od niego otrzymać na koniec.

– Nic. – Wzruszam ramionami. – Jeszcze. A może jednak coś? Spróbuj sam sobie odpowiedzieć. W końcu zawsze lubiliście się bawić w zgadywanki. Tasowaliście kartami, zarządziliście losem innych jak wam pasowało. Spróbuj choć raz zagrać o samego siebie.

– Spierdalaj stąd, Sam! – warczy, ale wciąż stoi odwrócony do mnie plecami. Ścisną w dłoni klamkę, ale nawet nie drgnie. Coś go paraliżuje. Nie korzysta z możliwości, którą mu daję. Nie dostrzega łaski. To dopiero smutne. – I nie wracaj! Dostajesz ode mnie ostatnią szansę, a potem skończę te podchody! Zrobię z tobą porządek, tak jak należało to zrobić już lata temu! Tak jak zrobił to Dylan z tą twoją smarkulą!

Wścieka się, rzuca bez sensu, zamiast po prostu odejść. To bezcelowe, ale niektórzy ludzie ugrzęźli zbyt głęboko i nie chcą się ruszyć, nawet gdy daje się im czas.

Uśmiecham się. Ręka sama odnajduje drogę do sprawiedliwości. Wymierza ją, a ona przychodzi w akompaniamencie pojedynczego wystrzału. Huk i nie ma już nic. Nie ma, bo tam nic na nikogo nie czeka. To oczywiste.

Choć może po prostu to jego dusza była zbyt ciężka...

Rozdział 6

Skyler

Rzucam na stół teczkę z dokumentami. Przez krótką chwilę mam ochotę rzucić w jej ślad też laptop, ale jego jest mi mimo wszystko trochę szkoda. To nie mój dzień. Siadam za stołem, po czym opieram się o blat łokciami i chowam twarz w dłoniach. Liczę do dziesięciu. Takie zagranie podobno pomaga się uspokoić, ale nie w tym przypadku. Mogłabym dojść do setki, jednej i drugiej, a krew dalej burzyłaby mi się w żyłach. Dziś nie jestem oazą spokoju, do głosu dochodzi moja druga natura, choć jeszcze trzymam ją za rękę i kontroluję. Jak długo? Nie wiem. Nadal mam ochotę coś uderzyć, zniszczyć albo zacząć szarpać za kudły, choćby te swoje. Świadomość, że nie znajduję się sama we własnym pokoju, w którym bez zahamowania mogłabym rozładować nagromadzone nerwy, bardziej je zwiększa. Ograniczam się tylko do potarcia palcami zaciśniętych powiek, po czym powoli otwieram oczy.

Oni dalej siedzą w tych samych miejscach i obserwują mnie jak wariatkę albo dziwaczne zwierzątko w cyrku. Państwo Harris, właściciele nowej siłowni. Nasi najnowsi kontrahenci. Niby mili i kontaktowi, bo po pierwszym spotkaniu sami zaproponowali rozluźnienie sztywnych, służbowych relacji, ale jednocześnie nikt wcześniej nie miał takiego daru wyprowadzania mnie z równowagi w tak krótkim czasie. Widocznie we wszystkim są tak szybcy. I niedomyślni, bo nadal czekają na przedstawienie. Jakby to moje zachowanie było irracjonalne. Jakbym to ja zepsuła wszystko!

– Załatwiłam wam kontrakt z Detroit Pistons. – Próbuję zabrzmieć spokojnie, ale wciąż słyszę te warkliwe tony w swoim głosie, których nie potrafię się do końca pozbyć. Ostatnio mam wrażenie, że jestem podpięta do prądu. Małe rzeczy wyprowadzają mnie z równowagi, wywołują tysiące iskier na mojej skórze, a te

poważniejsze... niemal powodują zwarcie i wybuch. – Mieli przyjechać do klubu w przyszłym tygodniu, nagrać spot i potem reklamować u siebie w mediach. Pokazać, że mistrzowie u was trenują. I nawet nie chcieli milionów! Stwierdzili, że lubią wspierać małe, rozwijające się firmy, poza tym byli mi winni przysługę. W zamian chcieli tylko darmowe karnety dla zawodników i ich najbliższych. To taki duży koszt? Co wam się nie podobało w tym projekcie?

– Nieszczególnie przypadły nam do gustu te darmowe karnety. – Sophie unosi wzrok i układa krwiste usta w dzióbek. Czerwonymi szponami przejeżdża po ramieniu swojego partnera, jakby rzucała na niego zaklęcie i widocznie skuteczne, bo facet siedzi niewzruszony, ze znudzoną miną, zamiast mnie poprzeć. – Uzgodniliśmy, że jesteśmy w stanie dać im zniżkę.

– Ty... – Gryzę się w język i biorę głęboki oddech. – Pani...

– Sophie. Mówiłam ci już, że wolę, jak zwracasz się do mnie po imieniu. – Uśmiecha się i poprawia wypłowiałe rude loki, zarzucając je na plecy, bo za bardzo przysłoniły wytapetowaną twarz.

– Dobrze więc, Sophie, wiesz może, co to jest barter?

– Owszem, ale ten akurat nas nie satysfakcjonuje. Barter powinien być korzystny dla obu stron, a tu coś się nie zgadza. – Marszczy nos, jakby te kalkulacje czynione w głowie znacznie ją przytłaczały. – Oni będą zużywać nasz sprzęt, a my co dostaniemy w zamian? Jedynie ich zarośnięte gęby na plakacie. – Chichocze. – Niektórzy zrobiliby to samo z pocałowaniem ręki i za darmo, a jeszcze cieszyliby się i dziękowali, że mogą być na naszych banerach. Nadal mnie to nie przekonuje.

– Ale to nie są pierwsi lepsi sportowcy! To czołowa drużyna Detroit. Są w pierwszej lidze. Na ich mecze przychodzą tysiące osób – powtarzam głucho, bo chyba już przestaję wierzyć w wartość tej dyskusji.

Nie wiem, dlaczego to z nią omawiam te kwestie. Nie mam również pojęcia, co podała swojemu mężowi, że ten mianował ją menadżerem i pozwolił decydować o wszystkim. Przecież ona nie ma o niczym pojęcia! Początkowe ustalenia, o których rozmawiałam wyłącznie ze Scottem, były prostsze, a zarazem chociaż wyglądały na

profesjonalne! Potem wtajemniczył ją i się skomplikowało. Przenoszę zrozpaczone spojrzenie z Sophie na jej mężczyznę. Mam nadzieję, że facet oprzytomnieje i trafią do niego moje argumenty.

– Panie Harris – zwracam się do niego błagalnie – niech pan przekona żonę.

– Scott? – Sophia niemal wchodzi mi w słowo, ściągając na siebie uwagę ukochanego. Przekrzywia uroczo głowę, a jej wzrok kipi namiętną obietnicą. Z takim argumentem na pewno nie mam szansy nic ugrać. Jestem tego pewna i nawet nie dziwi mnie, gdy mężczyzna wzdycha i przytakuje tej jędzy.

– Wymyślcie coś innego – decyduje Harris.

– Cokolwiek nie zaproponuję, to i tak będzie wiązać się z kosztami – uprzedzam. – Reklama tego wymaga. Nic nie spada ot tak z nieba. Zawsze trzeba coś od siebie dać, żeby przyszły zyski. Jak mamy dojść do porozumienia, skoro tego nie rozumiecie? Ba! Skoro robicie coś za moimi plecami i niweczycie wysiłki, a potem dziwicie się, że coś nie idzie! Za przeproszeniem, to po co wam agencja reklamowa?

– Wysiłki? Rozdawanie darmowych karnetów napakowanym koleśiom to taki wysiłek? – prycha Sophie, a ja gwałtownie nabieram powietrza. Mam ochotę ją zamordować!

– Myślę, że musimy wypracować jakiś kompromis – wtrąca się Scott, bo widocznie nawet on odczuwa tę nerwową atmosferę. – Skyler, jesteś profesjonalistką, byliśmy zadowoleni z kampanii na otwarcie, teraz po prostu potrzebujemy czegoś innego. Bardziej... spektakularnego. Wymyśl coś. Wierzę, że na pewno ci się uda. Damy ci więcej czasu, po prostu zadzwoń, kiedy już na coś wpadniesz. Możemy na ciebie liczyć? – pyta, a szczerść w jego spojrzeniu sprawia, że wzdycham, ale przytakuję. Po prostu nie chcę go rozczarować.

Nie chcę nikogo rozczarować.

Mam słabą wolę.

Wychodzą, a ja odprowadzam ich do drzwi. To, co gotowało się we mnie na początku rozmowy, już wygasło. Nie ma nerwów, nie ma wściekłości. I dobrze. Impulsywność zawsze była moją słabą stroną. Wydawało mi się, że ją opanowałam... to znaczy prawie. Czasami czuję, że mogłabym znowu wybuchnąć. Otworzyć się przed kimś

i wyrzucić z siebie to, co w sobie duszę. Może wtedy złapałabym głębszy oddech i w końcu poczuła się lepiej. Może. Na chwilę. Tak naprawdę wciąż boję się konsekwencji. Kłamstwa mnie zjadają od środka, ale nie pozwalam, by bezmyślność doszła do głosu, z całych sił zatykam jej usta, choć szarpie się mocno i desperacko walczy o swoje prawa. Wiem, że gdybym pozwoliła, żeby robiła, co zechce, ulga byłaby znikoma. Potem i tak przyszłyby wyrzuty sumienia.

I tak jest trudno.

Nie lubiłam dawnej siebie, tej sprzed kilku lat, która nie licząc się z nikim, szalała i żyła tak, jakby jutra miało nie być, ale ta obecna wersja jest jeszcze gorsza. Nie umiem jej zaakceptować. Kiedyś starałam się o tym wszystkim zapomnieć i odreagowywałam w każdy możliwy sposób. Używałam jeszcze większej ilości wspomagaczy, aby zagłuszyć palący głos sumienia. Wyciszył się, ale chyba po to, żeby następnie zacząć dudnić mi nad głową z większą mocą. Dziś już sobie z nim nie radzę, a to miejsce wcale nie pomaga. Brutalnie przywraca wspomnienia, od których chciałabym uciec, ale za każdym razem ktoś podkłada mi nogę. Czasem. A czasem nikt nie musi mnie w tym wspierać, bo potykam się o własne stopy.

Telefon.

Spoglądam na ekran. Ktoś z zastrzeżonego numeru próbuje nawiązać połączenie. Waham się, ale w końcu odbieram.

– Słucham?

Po drugiej stronie słyszę ciszę mąconą jedynie czyimś ciężkim oddechem. Wiem, że to nie pomyłka. Zimny dreszcz przemyka po moim karku, nieprzyjemnie wstrząsa całym ciałem. Zaciskam palce w pięści, mocno wbijając paznokcie w skórę wewnątrz dłoni. Sprawiam sobie ból, ale tylko on trzyma mnie w pionie i nie pozwala się posypać. Nie mogę czuć wyłącznie strachu, bo oszaleję.

– Halo? Kto mówi? Proszę się odezwać – dodaję płaczliwym tonem, kiedy wciąż nie doczekuję się reakcji. Resztki opanowania mnie opuszczają. – Czego ode mnie chcesz?!

Pyk. Połączenie zakończone.

Poruszam się niespokojnie. Robi mi się gorąco. Ostatniej nocy ta sytuacja powtórzyła się kilkukrotnie. Jakby same wiadomości nie

były wystarczające, teraz narzuca się jeszcze bardziej. A ja mam już dość. Ta sytuacja mnie przerasta.

Pieprzona marynarka drapie mnie w skórę, jej sztywny materiał sprawia, że czuję się, jakbym była skrępowana łańcuchem. Chciałabym zastąpić ją już swoim ulubionym swetrem. Otulić się i zniknąć, bo to w nim odnajduję bezpieczeństwo. On pomaga mi uciec przed samą sobą, przed całym światem, a teraz nie jest to możliwe. Muszę to rozchodzić, bo coś we mnie znowu wzrasta, a fala paniki lada moment mnie zaleje i już nic jej nie powstrzyma. Ręce zaczynają mi drżeć, na czoło wstępują pierwsze kropelki potu, a w płucach zaczyna brakować tchu. Jeszcze mam kontrolę, jeszcze potrafię się opanować, ale zastanawia mnie, jak długo.

Zbliżam się do okna i opieram dłoń na szklanej powierzchni. Patrzę w dół. Wysoko. Agencja mieści się na ostatnim piętrze wieżowca w centrum miasta. Paradoksalnie właśnie ten widok pozwala mi się wyciszyć. Cienka bariera dzieli mnie od niekończących się przestrzeni, ale działa asekuracyjnie. Mogę napawać się nimi bez przeszkód. Mam wtedy poczucie, że potrafię latać. Wznieść się ponad to wszystko, uwolnić od problemów i pofrunąć. Być wolną. Wystarczyłoby rozłożyć szeroko ręce i zrobić tylko jeden krok. Nic więcej.

To zapewnia spokój.

I kusi.

Ostatnio bardziej niż kiedykolwiek.

Słyszę, jak drzwi biura się otwierają i po chwili tuż przy mnie staje matka. Spoglądam na nią, ale ona nie patrzy na mnie. Wzrok utkwiony ma w sąsiadującym molochu, a w dłoni ściska plastikowy kubeczek z parującą kawą.

– Czemu mam wrażenie, że coś poszło nie tak? – odzywa się niby spokojnie, ale znam ją. Wiem, co ten ton u niej oznacza.

Kiedy ktoś spotyka nas po raz pierwszy, śmiało twierdzi, że jesteśmy do siebie niesamowicie podobne. Zmienia zdanie, kiedy tylko ma okazję porozmawiać z każdą z nas na osobności. Fizycznie mogę być młodszą, choć nieco nieudolną kopią swojej matki, odziedziczyłam w końcu po niej część urody: imponujące blond loki, błękitny kolor oczu i mocno zarysowane kości policzkowe, ale

psychicznie nie da się bardziej różnić. Ona przyciąga do siebie ludzi, sprawia, że chcą spędzać z nią czas i kupują wszystko, co im oferuje, a ja... To po prostu ja. Tylko.

Biorę głęboki oddech.

– Może dlatego, że tak było? – Wzruszam ramionami. Nie zamierzam dłużej udawać. – Nie potrafię dojść z nimi do porozumienia. Cokolwiek nie zaproponuję, im to nie pasuje. Choćbyśmy dali na tacy receptę na sukces, to i tak będą kręcić nosem, że taca jest za mało błyszcząca. Mam ich dość!

– Nikt nie powiedział, że z każdym zawsze łatwo się dogadasz. To praca z ludźmi, a oni bywają różni. Niektórzy są bardziej wymagający, a ty zbyt łatwo się poddajesz, dziecko. Co się z tobą ostatnio dzieje?

Ten ton, wieczne wyrzuty... To nic nowego, ale i tak czuję, że usilnie tłumiona wściekłość daje o sobie znać. Od jej nadmiaru aż szumi mi w uszach. Lada moment szalejący puls rozsadzi moje bębniaki od wewnątrz.

– Wiem, co to znaczy praca z ludźmi. Lubię ją... ale wtedy, gdy ma jakikolwiek sens i widać jej efekty. Ta nie ma – tłumaczę. – To gra niewarta świeczki. Nie będę się dalej z nimi użerać. Niech znajdą sobie inną agencję albo przekieruj ich do kogoś, skoro zależy ci na tym zleceniu. Ann albo Carol na pewno poradzą sobie lepiej. Ja się nie nadaję i nie mam do tego już więcej cierpliwości.

Do niej nie mam.

– Skyler, przecież nie tego cię uczyliśmy razem z ojcem. – Wzdycha, chcąc pokazać, jak bardzo ją zawiodłam. Przygląda mi się, jakby szukała we mnie powodów swojej klęski wychowawczej. – Kiedy odszedł, mówiłaś, że mogę na ciebie liczyć, a ty się poddajesz, gdy pojawiają się pierwsze problemy.

Zaciskam pięści, ale to wcale nie powoduje, że dłonie przestają mi drżeć. Jedynie markuję ten tik. Udaję. I robię to stale od dwóch lat. I po co? Nieważne, czy stawiam się otwarcie, czy udaję potulną, to nic nie daje. Do matki nie dociera, że nie planuję dalej z nią współpracować i razem prowadzić firmy ojca. Nie rozumie przyczyn mojej zmiany, a ja nie umiem jej tego wytłumaczyć.

Impas.

– Nie, mam, właśnie chodzi o to, że nie poddałam się od razu, i to był problem...

– Skyler...

– Nie! Nie przerywaj mi chociaż raz! Posłuchaj mnie w końcu! Zamiast od początku żyć tak, jak chciałam, to próbowałam się do ciebie dostosować, pomóc ci i prawie stawałam na głowie, żebyś była zadowolona, ale ty nigdy nie jesteś! Nigdy! W życiu! Ani razu nie usłyszałam od ciebie, że jesteś ze mnie dumna. I wiesz co? Wiesz?! Już mi nie zależy! I szczerze mam to w dupie! Tak, dokładnie tak. Pierdolę to! To wszystko – macham ręką, pokazując na siebie i biorę w drżące palce materiał swojego służbowego uniformu – to nie jestem ja! Rozumiesz?! To. Nie. Ja!

Uspiony wulkan właśnie wybuchł. Nastąpiła erupcja, ale jej to nadal nie rusza. Biorę spazmatyczny wdech, a ona patrzy na mnie ze spokojem i tym ciągłym opanowaniem. Tak jakby tylko czekała, aż skończę swoje przedstawienie. Jakby nie widziała tego, jak bardzo się sypię, że potrzebuję pomocy. Do niej to nie dociera.

– Jestem rozczarowana, nie spodziewałam się tego po tobie – rzuca chłodno, kiedy w końcu się wyciszam. – Nie sądziłam, że kiedyś usłyszę od ciebie takie słowa. Że będziesz robić sceny. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam! Ja tylko chciałam, żebyś miała spokojną, stabilną przyszłość! I tak mi się odwdzięczasz?

– A spytałaś, czy tego oczekuję? Czy chociaż raz spytałaś, czy sobie radzę? Jak sobie radzę? – pytam cicho, bo nie mam już siły na krzyk. – Nie, bo tobie wydaje się, że wiesz wszystko najlepiej. Nie interesuje cię, co ja mam do powiedzenia! Sama narzuciłaś mi marzenia i to nie moje, a raczej swoje. Z góry uznałaś, że tego chcę i nie liczyłaś się z moim zdaniem, choć próbowałam ci powiedzieć, że mam inny pomysł na życie. Nie słuchałaś, a ja chciałam być usłyszana. Po prostu. Tylko że najwyraźniej to wciąż za wiele.

– Co ty wygadujesz, dziecko? Większych bzdur dawno od ciebie nie słyszałam.

Nie wierzę.

Otwieram usta i je zamykam. Nie wiem, jak ubrać w słowa wszystko to, co rozbija mnie w tym momencie na kawałeczki.

Próbuję coś wykrztusić, ale drzwi otwierają się i do pomieszczenia wchodzi Philip.

– Drogie panie, po co te nerwy i krzyki? Słyszałam was aż na korytarzu – wtrąca się i spogląda czule na moją matkę. – Kochanie, Skyler chyba musi ochłonąć. Zajmę się nią, a ty zostaw nas na chwilę samych, dobrze?

Mama patrzy to na mnie, to na niego, ale w końcu unosi ręce w geście pełnym rezygnacji i wychodzi z pomieszczenia. Ona nigdy nie potrafi mu się oprzeć. Philip zbliża się do mnie, nerwowo pocierając sobie głowę i mierzwiąc przydługie blond włosy. Milczy. Zerkam na niego z ukosa, gdy opiera się o szybę tuż obok.

– Philip, to nie tak... – Chcę wytłumaczyć swoje zachowanie, bo mimo wszystko jest mi wstyd, że był świadkiem tej sprzeczki. Po raz kolejny miał okazję zobaczyć, jak kruche są moje nerwy i jak łatwo puszczają. – Trochę mnie poniosło. Zupełnie niepotrzebnie, ale przyznaję: może jednak wciąż nie do końca sobie radzę – nawiązuję do ostatniej wymiany zdań, jaką odbyliśmy w moim mieszkaniu – ostatnio jestem ciągle rozdrażniona. Słabszy czas, a dziś jeszcze doszła ta sprawa z projektem. Mama nie jest temu winna. Pogadam z nią i przeproszę.

– A może pogadasz ze mną? – proponuje niespodziewanie.

– Niby o czym? – Mrugam zaskoczona i marszczę brwi, zastanawiając się, do czego dąży. – Bez obrazy, ale nie chcę bawić się w pośredników. Sama muszę to zrobić.

– Wiadomo, wolisz załatwiać wszystko osobiście. I to nie od dziś, co nie? – rzuca bez troski, ale spod zawoalowanego spokoju wyraźnie przebijają się warkliwe nuty.

Po przyjacielskim tonie nie ma już śladu, a ja nie rozumiem tej zmiany. Zawsze był miły, sympatyczny, zapewniał mnie, że mogę przyjść do niego z każdym problemem. Teraz brzmi tak, jakbym to ja stanowiła największy problem. Jakbym, ujawniając swoją słabość, niechcący obudziła w nim coś niepokojącego.

– Powiesz w końcu, o co ci chodzi? Nie mam za bardzo czasu na ciągnięcie cię za język.

Niby nie mówi nic, co zdradzałoby, że poznał prawdę, ale wszystko we mnie krzyczy: *on wie!*

Mimowolnie się spinam, jakby grunt pod moimi stopami zaczął się bardziej kruszyć. Jeszcze staram się utrzymać pion, ale przychodzi mi to coraz trudniej. Krzyżuję ręce na piersi i czekam, ale on przez chwilę unika mojego spojrzenia. Milczymy, a każda z mijających sekund to katorga. Ciszę przerywają jedynie stukające wskazówki zegara zamieszczonego na ścianie naprzeciwko.

– Philip... – poganiam go, a kiedy w końcu doczekuję się uwagi, wstrząsa mną zimny dreszcz. Jeszcze nikt nigdy nie patrzył na mnie w ten sposób, czyli jak na nędzną mysz złapaną w potrzask.

Śmieje się, widząc moją minę, a ja w tej jednej chwili już zupełnie go nie poznaję. To nie jest ten sam mężczyzna, który starał się zapewnić mnie o swoim wsparciu w mieszkaniu. Patrzę na niego, ale widzę zupełnie kogoś innego, obcego.

I to mnie przeraża.

– Och, o nic. – Macha lekceważąco ręką, jakby odganiał się od natrętnej muchy. – Po prostu gdy oglądałem tamto nagranie, nie mogłem uwierzyć, że grzeczna córeczka tatusia potrafi wyprawiać takie rzeczy. Niezła jesteś i cholernie niepozorna. Obserwowałem cię każdego dnia, ale od takiej strony nie udało mi się ciebie poznać. Jestem pod wrażeniem. Żal marnować taki talent.

Głośno przełykam ślinę. To nie może być prawda.

– Jakie nagranie? – pytam głupio, choć dobrze znam odpowiedź. Nie potrzebuję potwierdzenia, podobne zbiegi okoliczności się nie zdarzają.

– Twój ojciec spędził tyle czasu, próbując dowiedzieć się, kto niszczy jego kochaną firmę od wewnątrz, że to go wykończyło. W sensie to TY go wykończyłaś! Gratuluję, Sky. On do samego końca niczego nie podejrzewał. Prześwietlał pracowników, a nie chciał uwierzyć, że za wszystkim może stać jego niewyżyta córeczka i jej facet. Trzeba wam przyznać, że byliście cwani, włamując się do biura! Zadbaliście nawet o wyłączenie kamer, ale z jednym małym wyjątkiem. Nie musisz się obwiniać. Tej ukrytej nikt nie jest w stanie zauważyć. Nawet twój staruszek nie był świadomy jej istnienia i tego, że jest pod moją pilną obserwacją.

– Nie. Ja w to nie wierzę... To ty? Te wszystkie wiadomości, głuche telefony... A ja cały ten czas oskarżałam Adama. – Łączę fakty, a gdy

układają się w spójną całość, chwytam się za głowę, wplatając palce między włosy. Mam nadzieję, że zaraz obudzę się z tego koszmaru. Chciałabym, ale Philip uśmiecha się jak rekin, który przymierza się, żeby zaraz połknąć swoją ofiarę. – Czego ode mnie chcesz? Pieniądzy? – To desperackie, jednak nie mam innego pomysłu. Nie wiem, jak zatrzymać to, co w tym momencie właśnie zaczęło się rozpędzać.

– Nie bądź śmieszna. Znam sytuację finansową firmy. – Sprowadza mnie na ziemię. – Sami powoli toniecie w długach. Gdybyście mogli sprostać, po prostu wziąłbym, co tylko bym chciał, gdy błąkałyście się z matką jak dzieci we mgle. Niestety, ta opcja nie wchodzi w grę. Nie da się wyczarować czegoś z niczego. Adam, kiedy do niego dzwoniłem, też nie był szczególnie chętny, żeby chronić twój tyłek. Ucieliśmy sobie przyjemną pogawędkę, ale niestety nie doszliśmy do porozumienia. Mam jednak inny pomysł.

– Do rzeczy – wyduszam przez zaciśnięte zęby.

Zamykam oczy i biorę głęboki oddech, ale to nie działa. Zbyt wiele informacji zalewa moją głowę. Philip, Adam. Czuję się podwójnie zdradzona. Nie wiem, kto jeszcze zdobędzie te informacje i co z nimi zrobi, ale ja mam już dość. Komu mogę ufać, komu nie? Moje serce nadal dudni w piersi z niepokojącą siłą. Kiedy rozchyłam powieki, Philip nadal stoi przede mną i przygląda mi się wyczekująco.

– Spokojnie. Wzajemnie sobie pomożemy – szepcze, pochylając się w moją stronę. – Musisz wiedzieć, że mam olbrzymią słabość do pięknych kobiet... One do mnie już niekoniecznie. Nie za darmo. Co ja cię będę oszukiwał? Dziwki to kosztowny wydatek, Sky. Za to ty możesz odciążyć moją kieszeń. Skoro tak bardzo zależy ci na tym, żeby twój brudny sekret pozostał sekretem, mogłabyś w pełni wykorzystać wszystkie swoje zdolności, które usilnie skrywasz przed światem. Po prostu pozwolisz się pieprzyć.

Chce mi się płakać, bo nie wierzę, że mogłam się tak bardzo pomylić w jego ocenie, że byłby w stanie zrobić coś złego mnie i zranić moją matkę, ale jednocześnie bardzo staram się udowodnić, że nie jestem tak słaba, jak myśli.

– Sam się pierdol.

Próbuję go minąć, a on łapie mnie za rękę.

– Poczekaj, kochanie!

Popycha mnie na okno i przygniata do niego całym ciałem. Biorę głęboki wdech, by wezwać pomoc, ale on jedną ręką zatyka mi usta, a drugą krępuje moje nadgarstki, prawie zgniatając je między naszymi ciałami. Napiera tak mocno, że nie mogę się nawet ruszyć. Próbuję się szarpnąć, ale jest zbyt ciężki, aby udało mi się coś osiągnąć. Spoglądam błagalnie na drzwi. Bardzo bym chciała, żeby właśnie teraz się otworzyły i do środka ktoś wszedł. Ktoś. Ktokolwiek.

– Popatrz na mnie – warczy, a ja posłusznie skupiam się na jego twarzy. – Mama cię nie uczyła, że takie przerywanie rozmowy jest niegrzeczne? Pewnie nie. Nie jest zbyt inteligentna, ale my to co innego. – Cieszy się jak skończony psychol. Jego wzrok ucieka w kierunku zamieszczonej w rogu pomieszczenia kamery. Też na nią patrzę. Niestety nie widzę charakterystycznego czerwonego punktu, który oznaczałoby, że trwa nagrywanie. Jestem pewna, że sam o to zadbał i dlatego pozwala sobie na tak wiele. Nic mu nie udowodnię, nawet jeżeli uda mi się teraz stąd uciec. – Chcę cię mieć dla siebie na wyłączność. Codziennie wieczorem aż do momentu, gdy stwierdzę, że już mi się znudziłaś. Potrzebuję tak młodej krwi, a podobało mi się to, co wyprawiałaś w biurze tatusia. Będiesz mogła powtarzać to tak długo, aż braknie nam sił, i zapewniam cię, że nikt nie będzie nam przerywał. Żaden nieboszczyk nie wypadnie z szafy. Nawet gdy go tam tak zawzięcie upchasz. Pomogę ci zadbać, żeby pozostał w ukryciu, a ty odwdzięczysz się za moje milczenie i odpokutujesz stare winy. W przeciwnym razie...

Nakręca się tak bardzo, że nieświadomie zmniejsza siłę uchwytu, w jakim trzyma moje nadgarstki. Wykorzystuję moment. Udaje mi się wyswobodzić jedną rękę i uderzam go w twarz. To go zaskakuje i powoduje, że całkiem mnie puszcza. Biorę zamach i mocno kopię go w krocze. Stęka głucho, zginając się wpół. Nie czekam, aż dojdzie do siebie.

W popłochu wybiegam z pomieszczenia i gnam jak na złamanie karku w dół. Prawie nic nie widzę, bo napływające do oczu łzy przysłaniają mi widok. Nie mam zamiaru z nikim rozmawiać. Przyzwyczaiałam się do radzenia sobie w pojedynkę ze wszystkimi

problemami. Teraz też dam radę. Jakoś to rozwiążę. Później. Teraz pragnę tylko uciec, i to jak najdalej stąd.

Matka mnie nawołuje. Słyszę jej głos, który odbija się od ścian, gdy zbiegam po schodach. Nie zatrzymuję się. Groźby Philipa są zbyt realne i wciąż brzęczą mi w uszach. Nie wiem, co mam z nimi zrobić. Jak sobie z tym wszystkim poradzić. Gram na czas.

Wybiegam z agencji, przedostaję się przez ulicę i docieram na most, na wąskie przejście kładką między rzeką a autostradą. To najkrótsza droga do mieszkania, w którym tak bardzo chcę się teraz znaleźć. Kiedy już do niego wejdem, będę miała szansę, by się uspokoić, pomyśleć. Znaleźć wyjście.

Jakieś musi istnieć.

Lodowaty wiatr szarpie moimi włosami, przeszywa mnie chłodem na wskroś. Obejmuję się ciasno ramionami, próbując otulić się materiałem marynarki, skoro płaszcz zostawiłam w agencji, ale to nie przynosi efektów. Jedynym pocieszeniem jest to, że niedługo się rozgrzeję.

Szybko przemierzam chodnik, ale w połowie trasy zatrzymuję się raptownie, gdy tuż przede mną wyrasta ustawiona w poprzek płyty metalowa zaporą. Zupełnie jakby cała zła energia wszechświata skumulowała się w jednym punkcie, by utrudniać mi dziś życie. Próbuję dojrzeć, co jest za nią i czy dam radę to przeskoczyć, żeby nie musieć się wracać, ale rozmiar dziury w ziemi studzi mój zapał. Nie wiem, jak bardzo jest głęboka, ale nie chcę tego sprawdzać. Patrzę na znak umieszczony na zaporze, który informuje o konieczności przejścia na drugą stronę jezdni. Nie zrobię tego w tym miejscu. Tutaj od ulicy odgradza mnie betonowa ściana rozpoczynającego się tunelu, a po prawej stronie od znajdującej się w dole rzeki dzieli jedynie wązka barierka.

Odwracam się, aby wrócić na otwartą przestrzeń i wybrać inną drogę, ale nie mam już na to szansy. Kilka kroków ode mnie stoi Philip. Dogonił mnie. Zapędził w kozi róg. Nie wiem, czy głośniejsze bije moje serce, czy szumi przepływająca niedaleko woda. Słyszę tylko te dwa dźwięki. Nic więcej. Nawet przejeżdżające tuż za ścianą auta stają się nieważne.

– Myślałaś, że ucieczka cokolwiek rozwiąże? To błąd, kochanie. Znam cię już trochę i znajdę, gdziekolwiek się ukryjesz, a nie masz wielu możliwości. Żadnych przyjaciół, żadnego wsparcia. To trochę smutne, prawda?

– Odejdź! Nigdy nie zrobię tego, czego chcesz! – Robię krok do tyłu i wyczuwam przeszkodę za sobą. Metalowa zaporą brzęczy, gdy na nią wpadam, ale nie udaje mi się jej przesunąć.

– Jak możesz podejmować decyzję, skoro nie znasz nawet innych możliwości? Nie dałaś szansy mi ich przedstawić w biurze, ale może i lepiej. Po co o nich rozmawiać, skoro mogę ci je zademonstrować. – Podchodzi do mnie spacerowym tempem. Nie spieszy się, jakby był pewny, że już mu nie zwieję. Cóż, wcale mu się nie dziwię. – Zrobię to teraz. Wypróbuję twoje słodkie ciało bardzo dokładnie. Chyba że chcesz, by to nagranie znalazło się jutro na stronie głównej agencji?

– Nie zbliżaj się! – wrzeszczę, ile sił w płucach, bo mam nadzieję, że ktoś jednak zwróci na nas uwagę i mi pomoże. Niestety, na moście o tej porze nie ma nikogo. – Sama powiem o wszystkim mamie!

– Tak! Doskonały pomysł! Starucha padnie na miejscu. Chcesz złamać jej serce, Sky? – Zatrzymuje się i przygląda mi się wnikliwie, świdruje oszalałym spojrzeniem. – Naprawdę chcesz mieć jeszcze ją na sumieniu? Po tym wszystkim? Mało ci? Najpierw zabiłaś jej męża, a teraz będziesz oskarżać ukochanego o coś tak okropnego? O, mam pomysł! A może od razu zgłoś to na policję? – Śmieje się, dostrzegając niepewność w moich oczach. – Śmiało, zrób to! Mogę nawet podesłać im dowód. Zostaniemy sąsiadami zza krat! Chociaż przez chwilę.

– Ja... Ja wcale tego nie chciałam! – krzyczę, próbując zagłuszyć ten pieprzony głos wewnątrz mnie, który radośnie mu przytakuje. Świątuje, bo wreszcie ktoś się z nim zgadza.

– A jednak zrobiłaś i ukrywałaś prawdę tak długo. Strach? A może jednak premedytacja? Kto wie, co tobą kierowało. Prawda może mieć różne oblicza, ta dzisiejsza również. – Niecierpliwi się. – Podejdź bliżej, nikt nas nie widzi. Pokażę ci, jak może być nam miło, a gdy z tobą skończę, sama będziesz skamleć i prosić o więcej. Przekonasz się. No już, przecież nie skoczysz do wody. – Wychyla się poza barierki i ocenia wysokość. Zaciskam dłonie na jej przęśle, gdy

ponownie skupia na mnie wzrok. – Wiesz, że o tej porze roku prądy Detroit są wyjątkowo zdradliwe? Ciała topielców znajdowane są dopiero wczesną wiosną. Albo nigdy. Naprawdę chciałabyś tak skończyć?

Panicznie rozglądam się wokół, ale nie widzę dla siebie ratunku. Nie tylko teraz. Od lat już go nie dostrzegam. Coś zjada mnie każdego dnia kawałek po kawałeczku. Na kolejne dni może nie wystarczyć. I może paradoksalnie właśnie brak wyjścia jest moim jedynym wyjściem. Jest ryzykiem, które mogę, a nawet muszę podjąć, by ostatecznie zyskać wolność.

Ulotna myśl rozłożyła skrzydła już dawno temu, jakiś czas temu zaczęła szeptać coraz głośniej, a teraz wrzeszczy mi prosto do ucha: „Fruń!”. A ja nie chcę dłużej z nią walczyć i wyciszać. Wygrać, przegrać. Obojętne. Byle na własnych warunkach.

– Nie będziesz musiał więcej kłamać – szepczę.

Perspektywa śmierci powinna przerażać. Mnie nie straszy. Już nie. Abstrakcyjna, nierealna, a mimo wszystko właśnie w tym momencie jest cholernie blisko. Jest lepsza niż obrazy, które serwuje mi wymęczony mózg każdej nocy w ramach niekończącej się pokuty. Lepsza niż to, do czego mógłby zmusić mnie Philip. Czuję ją i jednocześnie tak wielki spokój, jakiego nie doświadczyłam przez wszystkie te lata. I wiem. To nie ja powinnam się bać. Panika odbija się ode mnie, nie będąc w stanie przedrzeć się głębiej, i przeskakuje na tych, którzy wciąż będą musieli tu zostać. Widzę ją w oczach Philipa, gdy dociera do niego, co zamierzam właśnie zrobić. Że zamierzam go posłuchać. A on nie jest w stanie nic z tym zrobić.

Rzuca się w moją stronę, próbując mnie powstrzymać. Nie ma szans zareagować na czas. Wyciąga ku mnie rękę, jego palce muskają materiał marynarki, ale ja już jestem za barierką. Skaczę, oddając się w lodowate odmęty Detroit.

Decyduję o sobie.

Ostatni raz.

Frunę.

Rozdział 7

Samuel

– To on go zabił!

Dylan miota się jak oszalały. Krąży po ogrodzie w jedną i drugą stronę. Bez przerwy. Nie widzę go zbyt dobrze, ale słyszę jego podniesiony głos. Wysoki drewniany płot nie jest w stanie całkiem odciąć ich od świata, za to sprawdza się doskonale jako idealny kamuflaż dla mnie.

– Nie wiesz tego. – Emily stara się go uspokoić. Mówi spokojnym, niezbyt głośnym tonem. Nieskutecznym.

Znam Dylana zbyt dobrze. Jeżeli coś miałyby na niego podzielać i zmobilizować do wzięcia się w garść, to prędzej byłby to prawy sierpowy na otrzeźwienie niż powtarzanie pieprzonych hasełek i mizianie po głowie. Brak zrozumienia jest mi jednak na rękę. Czuję satysfakcję, gdy bije od niego tak wielkie rozbicie. Do tego dążyłem.

– Kto inny byłby na tyle popierdolony, żeby strzelać do człowieka na tyłach jego własnego klubu, i to w momencie trwania imprezy?

– Może Tony miał problemy, o których ci nie mówił? Wiesz dobrze, jak się prowadził i ilu ludziom ten jego biznes się nie podobał, a szczególnie jego finansowanie. Poza tym on sam od lat spoufalał się z policją. Granie w dwóch drużynach naraz nie mogło wyjść mu na dobre.

– Gdyby ktoś chciał go wyeliminować z takich powodów, zrobiłby to po cichu! A to znak! Sygnał dla mnie, że on wrócił! I będę następny! Albo wy... Nie, nie mogę do tego dopuścić. Musicie się natychmiast spakować. Wyjeżdżacie jeszcze dzisiaj.

– Nie nakręcaj się. To żaden dowód.

Wiarołomcy. Ludzie małej wiary. Nie uwierzą, dopóki nie zobaczą. Szkoda. A może nie? Przecież właśnie dzięki temu ta zabawa może trwać.

– Nie potrzebuję lepszych! Chcę, żebyście z Maddison opuściły na jakiś czas miasto. Ja zostanę, ale dołączę do was, gdy tylko będę mógł.

– Pewnie! – Emily prycha z rozdrażnienia. – Zostawię pracę, znajomych, całe moje dotychczasowe życie i wyjedziemy w głąbą puszczy, bo ty masz jakieś urojenia.

– Nie mam żadnych urojeń, kurwa!

– Nie wrzeszcz na mnie! – strofuje go. – Ochłoń, bo zaraz Maddie wszystko usłyszy i się przestraszy. To zbędne, bo nie dzieje się nic złego. Zrób sobie już dzisiaj wolne. Ja zaprowadzę małą do pani Buffer, żebyś miał spokój, i wracam do biura. Chciałabym zostać, ale nie mogę przełożyć tego spotkania na jutro. Postaraj się uspokoić i zajmij czymś głowę... – Milknie. – Naprawdę, kochanie, cokolwiek stało się w przeszłości, tam zostało. Uwierz mi. Ja wybaczyłam ci dawne grzechy, pora, żebyś również sam sobie odpuścił. Odpokutowałeś za wszystko i się zmieniłeś – mówi z takim przekonaniem, że gdybym był bardziej naiwny, może sam bym jej uwierzył. – Teraz jesteś wspaniałym ojcem i mężem.

Patrzę przez szczylinę w ogrodzeniu w samą porę, by zauważyć, jak Emily podchodzi do męża i składa na jego ustach delikatny pocałunek. Pożegnany... Wiele bym dał, żeby właśnie nim był, ale nie mogę się spieszyć. Chcę dobrze to rozegrać. Zadać cios, który zabolę go najbardziej.

Emily z Maddie wychodzą z domu. Nie ruszam od razu za nimi. Wiem, gdzie zmierzają. Znam adres, długość trasy, wiem, ile czasu potrzebuję, by pokonać ją pieszo i autem. Wyliczyłem, ile kroków dzieli mnie od celu i w których lokalach umieszczony jest monitoring. Wiem, kurwa, wszystko. Ale chcę wiedzieć jeszcze więcej.

Szkoda, że kiedyś nie byłem taki mądry.

To miała być normalna, szybka robota. Sobotnia impreza, klub wypełniony po brzegi i mnóstwo spragnionych wrażeń klientów na głodzie. I ona. Ollie. Ta, której nie powinno tam nigdy, kurwa, być. Kazałem jej zostać w mieszkaniu, nie posłuchała. Nigdy nie nadawałem się na niańkę, ale musiałem się nią zajmować, skoro starzy zwinęli się z tego świata przed czasem. Nie chciałem oddać jej

do bidula. Za punkt honoru obrałem sobie opiekę nad nią i pokierowanie jej tak, żeby stała się lepszym człowiekiem ode mnie. Urojony pomysł, ale wtedy myślałem, że sprostam.

Problem polegał na tym, że ona od zawsze była upartym dzieckiem. Wtedy też postawiła na swoim. Mimo zakazu przyszła za mną, a kiedy ją na tym przyłapałem, natychmiast wyprowadziłem z lokalu, posadziłem na schodkach i kazałem czekać. Chciałem znaleźć Dylana i Tony'ego, dać im znać, że pora się zbierać. Nigdzie ich nie było. A to, że zostawiłem Olivię samą, było pierdolonym błędem. Największym w całym moim życiu. Szybko go zrozumiałem i wróciłem, ale jej już tam nie było. Szukałem wszędzie, a dudniąca muzyka nie ułatwiała mi zadania. Wewnątrz nie miałem szans, więc udałem się na dwór. Szukałem przejścia na tyły i wtedy to się stało.

Usłyszałem ją. Krzyk. Pełen przerażenia, ostateczny. I wystrzał. Stłumiony, ale miałem wrażenie, że padł tuż obok mnie. Że trafił we mnie i wypruł flaki.

Rzuciłem się na ratunek, ale zanim udało mi się dostać we właściwe miejsce, było za późno. Wybiegając na zewnętrzną rampę, zobaczyłem tylko, że ktoś pochyla się nad jej drobnym ciałem. Nie zastanawiałem się zbyt długo. Nie dokonywałem w głowie złożonych analiz. Wnioski same ułożyły się w całość, a ja nie zadbałem, by sprawdzić ich trafność. Impuls. Zadziałałem zbyt szybko, choć błysk dezorientacji, który przemknął przez twarz starego dozorca moment przed jego śmiercią, zmylił mnie samego. Nie powstrzymał jednak nacisku palca na spust, raczej skutecznie przyciągnął kulę. Dziś wiem, że facet został o wszystkim poinformowany zaledwie chwilę przede mną i tak bardzo spieszył się pomóc napadniętej na tyłach klubu dziewczynce, że sam stał się ofiarą. Moją pierwszą, ale nie ostatnią. Był jedyną niewinną duszą, a raczej taką, której win nie zdążyłem poznać, żeby nakarmić nimi własne sumienie.

Komórka w mojej kieszeni zaczyna wibrować, sprowadzając mnie na ziemię. Wyciszyłem dzwonek, bo przecież to też przewidziałem. Od czterech lat nie popełniam błędów. Wyciągam ją i spoglądam na ekran, a potem odsuwam się od ogrodzenia, wzdycham i odbieram.

– Mogę zgadnąć, co robisz? – słyszę głos Liliann, zanim mam szansę się odezwać.

– Nie – warczę, a ona się śmieje. – Czego chcesz? Jestem obecnie zajęty.

– Idę o zakład, że znowu śledzisz ich jak maniak. I po co? Po co ci te podchody, Sammy? Bawisz się nimi, robisz jakieś teatralne pokazówki, a już dawno mógłbyś to zakończyć. – Poważnieje. – Z Tonym poszło ci zadziwiająco łatwo.

Ona nigdy tego nie zrozumie. Nie zamierzam go tak po prostu ukatrupić. Tu nie chodzi o sam fakt eliminacji. To byłoby zbyt proste. Ja chcę, żeby się bał. Żeby powoli umierał z przerażenia.

Tak jak ona wtedy.

I żeby ostateczny cios wgniótł go w glebę.

Tak jak wtedy mnie.

– Ja dobrze wiem, co robię. Czemu się tak piekiesz, Lily? Czyżby twojemu psu kończyły się pomysły? Może musisz go lepiej nakarmić? – prowokuję. – Albo wręcz odwrotnie, przegłodzić? Nie zastanawiałaś się nad tym? Jestem pewien, że post dobrze zadziała na jego kreatywność.

– Przy twoim tempie każdemu by się skończyły i wiesz... – rzuca niby bez troski, ale słyszę w jej głosie, że jest zirytowana. Nieumiejętnie stara się to ukryć. – Gdybyś nie bawił się z takim rozmachem, mniej kosztowałoby tuszowanie twoich wpadek. Niedługo nie będę w stanie przekonać Shane'a, żeby dalej próbował. To się staje za bardzo ryzykowne, a on ma do mnie coraz więcej pretensji. Dziś znowu pokłóciliśmy się o ciebie.

– I to może moja wina? Przecież jesteśmy przyjaciółmi, a przyjaciele sobie pomagają, nieprawda? Ja podałem rękę tobie, a teraz twoja kolej. Powinnaś mu to rozjaśnić, jeżeli nie skumał od razu.

– Jasne, ale nie dociera do ciebie, że w końcu sam pozbawisz się możliwości? Nie wiem, czy wtedy nawet ponowna ucieczka na drugi koniec świata ci pomoże. – Wzdycha. – Gorzej, że inni biorą z ciebie przykład.

– Co masz na myśli?

– Vicky zniknęła.

Ta wiadomość nie powinna robić na mnie wrażenia, a jednak powoduje, że na moment tracę wątek. Mimowolnie zaczynam się

zastanawiać, czy właśnie takimi planami nie chciała się ze mną ostatnio podzielić. *Numer roku*. Oczywiście.

– Dlaczego uważasz, że mnie to zainteresuje? Może sądzisz, że pomogłem jej wyparować? – pytam jak gdyby nigdy nic.

– Nie. Wiem, że akurat tego nie zrobiłeś, masz do niej zbyt wielki sentyment. To nie jest rozmowa na telefon. Przyjdź do klubu.

Rozłącza się. To nie moja sprawa. Ta moja wciąż zmierza chodnikiem w stronę najstarszej z kamienic. Jeszcze przez chwilę obserwuję oddalającą się kobietę z córką. Kiedy znikają za rogiem, odpuszczam. Dziś i tak nie chcę tego kończyć. Następnym razem.

Zrobię to następnym razem.

Rozglądam się na boki, ale intuicyjnie wybieram kierunek w lewo. Zbliżam się do zabiedzonej dzielnicy. Dochodzę do granicy, gdzie zderzają się dwa światy. Zderzają i przenikają dogłębnie. Złączenie biedy i bogactwa. Tu, pośród migoczących neonów, status społeczny traci swoje znaczenie. Każdy może być, kim chce na kilka nic nieznaczących chwil, i to nawet, gdy portfel świeci pustkami. Bo tu walutą bywa nie tylko forsa, ale to, co kto może dać od siebie.

One mogą wiele. Sprzedać nie tylko ciało, ale i duszę.

Przed wejściem do klubu stoi słup z ogłoszeniami. Karteczki z numerami do chętnych pracodawców wiszą nietknięte. Nie mają prawa bytu, kiedy za rogiem czeka szansa na lepszy i łatwiejszy zarobek. Mimo to ktoś postanowił je rozwiesić. Nie potrafię się oprzeć pokusie i zrywam kilka, a potem wbiegam do zatłoczonego wnętrza. Koleś stojący przy wejściu ledwie na mnie zerka i macha dłonią, przepuszczając bez słowa. Zna mnie. Znają mnie tu wszyscy, od których chcę takiej wiedzy. Nikt poza tym.

Przechodzę z jednej sali na drugą. Balansuję między ludźmi, nie poświęcając nikomu większej uwagi, choć niektórzy szarpią mnie za rękaw i wysyłają tajemne znaki. Wiedzą, co mogę im zaproponować, ale dziś nie zamierzam nic nikomu dawać.

Opieram się o jeden z filarów naprzeciwko głównej sceny. Na wyraźnie zaznaczonych podwyższeniach zamontowane zostały srebrne rury sięgające od ziemi do kilku stóp wzwyż. Ich połyskująca powierzchnia odbija kolorowe światła, które raz po raz przemykają w tę stronę. Chłodna powierzchnia jest nimi niewzruszona,

pochłania jedynie ciepło obejmujących je rąk. Przyglądam się, jak skąpo ubrane laski prężą swoje apetyczne ciała, starając się zaimponować śliniącym się pod sceną koleśiom. Wykonują przepracowaną choreografię, z każdym obrotem wokół rurki przybierając odpowiednie pozy i pozbywając się kolejnych części garderoby. Spektakularne. Ciężki dym wydostaje się gdzieś zza masywnych, atłasowych kurtyn, sunie niespiesznie po podłodze, podkreślając lekkość i zmysłowość występu. Bure kłęby próbują sięgnąć do tancerek, zlizać krople potu powoli spływające z rozgrzanych skór, ale zostają rozwiane przy gwałtowniejszych ruchach dziewczyn i zmuszane do wycofania się, spróbowania ponownie.

Moją uwagę zwraca niewysoka blondynka, którą jakiś łaskawca ustawił całkowicie na uboczu, przez co nie zwraca na siebie tak wielkiej uwagi, jak robią to dziewczyny z przodu sceny. Doskonale wiem dlaczego. Dziewczyna kręci się i łasi, ale pomimo tego, że bardzo się stara, nie potrafi nadążyć za swoimi bardziej doświadczonymi koleżankami. Jej samej wciąż brakuje wprawy i poczucia rytmu. Trafiła tu niedawno. Widziałem jej pierwszy występ, w drugim nie widać znaczących postępów. Po prostu się do tego nie nadaje.

Ściągam z głowy kaptur, a jej wzrok wędruje w moją stronę, gdy podchodzę bliżej i staję praktycznie tuż przed nią. Potyka się, gdy mnie rozpoznaje, ale po chwili znów wraca do gry. Jednak jej skupienie gdzieś się ulotniło. Z każdym obrotem wraca spojrzeniem do mnie. Usidla. Muzyka stopniowo cichnie, przechodzi w inne brzmienie, a dziewczyny na scenie wymieniają się ze swoimi koleżankami. Te, które skończyły swoją turę, wchodzą w tłum i szukają dodatkowego zarobku, dotrzymując towarzystwa napalonym facetom. Jak rasowe kocice łaszczą się i pozwalają na pieszczoty w akompaniamencie brzęku monet. Uśmiecham się i odwracam, a Patricia po chwili zbiega ze sceny i mnie dogadania, zanim zdążę wyjść z sali. Mocno ściska mnie za ramię. Zatrzymuję się, ale patrzę na nią beznamiętnie, choć w jej oczach widzę błaganie.

Nadzieja, desperacja. Cała tym cuchnie. Wcale nie potem i tanimi perfumami.

– Masz coś dla mnie? – pyta zdyszana. Zbyt głośno.

Cmokam z niezadowoleniem i kręcę głową. Bez trudu wyrywam się z jej uścisku i popycham ją w stronę wąskiego przejścia prowadzącego do kibli i dalej, do wyjścia ewakuacyjnego.

– To zależy, kotku, czy ty masz coś dla mnie – szepczę, nachylając się nad jej uchem.

Testuję ją i sprawdzam. Zamykam w ciasnej przestrzeni między sobą a odrapaną ścianą, powodując, że szoruje o nią odsłoniętymi plecami. Bierze głęboki wdech, a jej jędrne piersi otulone jedynie cienkim skrawkiem kiczowatego, brokatowego materiału gwałtownie unoszą się i opadają. Sięgam ku niej i łapię w palce pukiel jej włosów.

Patricia patrzy na mnie jak zahipnotyzowana i powoli oblizuje usta. Jedną rękę opiera na mojej kłacie, a potem przesuwa niżej, sunie nią w dół, aż dociera do rozporka. Pociera nią, manipulując w poszukiwaniu suwaka. Nawet tak niedoświadczone dłonie mogłyby okazać się wystarczające. Mogłyby, ale nie są. Po co czarować rzeczywistość? Niezdarna tancerczka uśmiecha się z zadowoleniem, jakby już wygrała. Mistrzyni, zwyciężczyni złotego kutasa za rolę jednej z najcięższych dusz. Zniża się powoli, chce przyklęknąć, ale zanim to się jej udaje, przytrzymuję ją pod ramieniem i sięgam do kieszeni bluzy.

– Co to? – fuka, gdy macham jej przed oczami kawałkiem papieru zapisanym cyferkami.

– Numer z ogłoszenia – informuję, bo najwyraźniej jest nie tylko kiepska w tańcu, ale również i czytaniu. – Szukają kelnerki do kawiarni dwie ulice dalej. Weź to i zrób coś ze swoim życiem. Tutaj nie pasujesz, i to tak bardzo, że aż żal na ciebie patrzeć. Tyle ci mogę dziś dać. Tylko tyle.

Próbowałem tego numeru już z wieloma tutejszymi dziewczynami, chcąc sprawdzić, czy którąś stać na coś więcej. Robię to samo zawsze, gdy pojawia się jakaś nowa, jednak jej najwyraźniej żadna z obecnych nie uprzedziła. Żadna też nie zdała tego testu. No może z jednym wyjątkiem. Vicky. Ona wzięła karteczkę. Nic to nie

zmieniło, szczerze zdziwiłbym się, gdyby tak się stało, ale zaimponowała mi tym, że przynajmniej wyciągnęła rękę. Reszta tego nie powtórzyła. Patricia nie jest wyjątkiem, co wcale mnie nie zaskakuje.

– Pojebało cię, koleś? Gównno o mnie wiesz! I tego też nie chcę! – syczy wściekle i odtrąca niecierpliwie moją dłoń sprzed twarzy. Szarpie się, próbując się wyrwać, ale trzymam mocno. – Odłot za odłot. Zasady są stałe. Czego ty nie rozumiesz?

– Rozumiem. Och, kurwa, ja wszystko rozumiem. Proste potrzeby, prosty rozumek. – Postukuję ją palcem w czoło. – Mało skomplikowana duszyczka, lekka, ale i tak zbyt tępa, żeby zrobić użytek ze skrzydełek i odfrunąć, gdy zawieje dobry wiatr. – Prycham i puszczam, a ona zatacza się i upada na kolana. Patrzy na mnie z tak wielką nienawiścią, jakbym już ją skrzywdził, a przecież jeszcze nic nie zrobiłem, choć mam na to coraz większą ochotę.

Ta zabawa jednak nie jest tak zabawna, jak mi się wydawało na początku. Moja władza nad krnąbrnymi istotami jednak nie jest nieograniczona. Do niektórych tępot nie da się dotrzeć, choćby świeciło im się w oczy latarką, a mi zdrętwiała już ręka, żeby w tym przypadku dłużej ją przytrzymywać.

Słyszę śmiech za plecami. Ostry jak brzytwa i męczący uszy, szyszający.

Liliann Russell.

Rudowłosa piękność zbliża się do nas powolnym krokiem, kręcąc zmysłowo idealnie zaokrąglonymi biodrami, które tylko podkreśla obcisła czarna kiecka. Patricia korzysta z okazji, że przestałem się nią interesować, i ucieka, zostawiając nas samych.

– Wciąż te same zagrywki. – Śmieje się, po czym chwyta mnie pod ramię, a ja podążam za nią bez słowa.

Prowadzi mnie na piętro, gdzie znajdują się biuro i pokój dla dziewczyn. Tu się przebierają i przygotowują do występów. Teraz nie ma w środku nikogo. Ledwo zamykają się za nami drzwi, a mocno popycham Liliann na ścianę. Rude, proste włosy spływają gładką taflą i sięgają jej niemal do wąziutkiej talii. Patrzy na mnie wyzywająco zielonymi oczami, które przez sporą warstwę ciemnego makijażu wyglądają jeszcze bardziej dziko, drapieżniej.

W połączeniu z ostrymi rysami twarzy sprawiają, że cała kojarzy mi się z elfką. W chuj niebezpieczną, która potrafi pożreć człowieka w całości. Nie ma w niej strachu. Chociaż to ona znalazła się pod ścianą, to nadal stara się dominować i trzymać kontrolę, choć wie, że w tym starciu nie ma szans. Jest mocna, ale silniejszym graczem jestem ja.

– Po co nadal je testujesz? – dopytuje.

– Z przekory i dla zabawy – rzucam pewnie.

– A może jednak szukasz złota w błocie? – Lily uśmiecha się pobłaźliwie. – Przecież wiesz, jakiej odpowiedzi udzieli ci każda z nich. Myślisz, że są ślepe i nie widzą ogłoszeń? Nie musisz im podtykać ich pod nos. Gdyby chciały innego życia, to by o nie zawalczyły. Nikt ich do tego wszystkiego nie zmusza, nikt nie trzyma ich na ulicy. One po prostu nie szukają zbawienia. Chcą raczej zapomnienia. Tak jak każdy – kontynuuje, uciekając wzrokiem w bok. Ona niczego nie rozumie, a raczej odbiera to po prostu na swój sposób. – A tutaj mają to na wyciągnięcie ręki. Po co starać się bardziej?

– Słodka Lily – mrużę. Łapię ją mocno za podbródek i nakierowuję jej spojrzenie na siebie. Wciąż czytam ją bezbłędnie. Fizycznie znamy się dogłębnie, choć łączy nas tylko kilka spontanicznych numerków. Psychicznie nie sięga bardziej niż wszyscy inni. Nie działa to jednak po równo w obie strony. Sam rozpracowałem ją znacznie lepiej. – Masz rację, przecież wiesz o tym najlepiej. Byłaś w końcu na ich miejscu.

Pamiętam dzień, w którym ją poznałem. Spotykaliśmy się tutaj, w tym klubie, całą ekipą, ale wtedy należał on do jednego z naszych najważniejszych klientów. Stary John McColin lubił się zabawić. Jego największymi słabościami były piękne kobiety oraz narkotyki. Jedno zapewniał sobie sam, a drugie dostarczaliśmy właśnie my. To połączenie coraz bardziej odbierało mu rozum. Byłem głupi, młody, a w dodatku świeży w branży i obserwowałem to ze zdziwieniem. Moje oczy wciąż przyzwyczajały się do pewnych widoków, mózg starał się uznawać je za zwyczajne, a szczątki moralności ryczały w kącie coraz bardziej tłamszone i niszczone. W tamtym okresie uważałem Johna za największego skurwysyna, którego spotkałem na

swojej drodze. Potem przewinęło się ich jeszcze kilku i do tego większych, ale wtedy było to dla mnie coś niewyobrażalnego. Jeszcze większy niesmak pozostawiało to, jak traktował swoje kobiety. To, jak potrafił bez zawahania obnażyć je i wykorzystać przy wszystkich, a potem upodlić jeszcze bardziej, zachęcając innych, by się przyłączyli. Nigdy tego nie zrobiłem. Byłem tylko widzem. Wydawało mi się, że biernym, ale z perspektywy czasu wiem, że już wtedy mrok otaczał mnie coraz bardziej, wślizgiwał się do mojego wnętrza, a ja wcale nie protestowałem. Prześmierdnąłem nim cały. Obecnie wcale nie jestem lepszy od Johna, ale wtedy to, co on wyrabiał, daleko przekraczało moje własne, młodzieńcze doświadczenia seksualne. Było złe, brudne... A Liliann wyjątkowo sobie przypodobał, co wcale nie znaczyło, że miała u niego taryfę ulgową. Wręcz przeciwnie. Żadna z dziewczyn nie była katowana tak bardzo jak ona.

Przez kolejne lata wpadaliśmy do klubu regularnie i dostarczaliśmy dodatkowych wrażeń zgromadzonemu. Po każdej imprezie, gdy ostatni klienci zostawali wyproszeni na zewnątrz, zasiadaliśmy przy jednym ze stolików. Dzieliliśmy się zarobkiem, część wciskając Johnowi w łapę za to, że udostępniał nam swoje rewiry. Kiedy dostawał swoją dolę, stawał się wyjątkowo rozrywkowy, gościnny i w zamian chętnie dzielił się z chłopakami swoimi skarbami. Liliann najczęściej zajmował się osobiście. Przywoływał ją do siebie i zaczynał cały spektakl, który kończyła z policzkiem brutalnie przyciśniętym do blatu. Zwykle siedziałem niedaleko i mogłem bez przeszkód patrzeć jej w oczy, gdy posłuszenie trwała w tej pozycji, będąc brutalnie posuwana przez swojego pana od tyłu. W niektóre dni widziałem, jak przemykała korytarzami, starając się upodobnić do cienia: koszmarnie skatowana, zapłakana. Kilka razy całkiem przypadkiem wpadła mi w ramiona. Nie mówiła nic, a ja też nie pocieszałem jej na siłę. Nie czułem się w obowiązku. Przytrzymałem ją, czekałem, aż się pozbiera i puszczałem, bo tak było prościej. Do czasu. Raz przyłapałem ją, jak próbowała ze sobą skończyć. To ja wytrąciłem jej z ręki broń, zanim miała szansę oddać ostatni strzał.

Chyba w tamtym momencie zabrakło mi cierpliwości. Coraz bardziej chciałem coś z tym zrobić i nie wiem, jakby się to skończyło, gdyby moja chęć odegrania się na tym sukinsynie fatalnie nie zbiegła z wydarzeniami, które doprowadziły do śmierci Olivii. Być może to właśnie on byłby moją pierwszą ofiarą, a tak musiał ustąpić w kolejce niewinnemu człowiekowi. Wcale jednak o nim nie zapominałem. Zanim postanowiłem się ulotnić, by w spokoju wylizać swoje rany, postanowiłem zrobić jeden dobry uczynek i nakarmić głodnego. Przed wyjazdem odwiedziłem jeszcze raz klub i zapewniłem Johnowi obfitą ucztę pożegnalną. Zamknąłem go w kiblu, by nic go nie rozpraszało, przystawiłem spluwę do jego skroni i na desce ułożyłem mu całe menu. Zachęcałem do jedzenia tak długo, aż odpadł. Oficjalny werdykt? Przedawkowanie. Ludzie gadali, że przerosła go presja. Częste zjawisko w tej branży. Nikt nie szukał głębiej. Liliann wiedziała jako jedyna i przyjęła to bez mrugnienia okiem.

Byłem ciekaw, czy wykorzysta swoją szansę, ale nie naciskałem. Dałem jej w ten sposób karteczkę, reszta należała do niej. Chcąc ją zmotywować, przy naszej ostatniej rozmowie obiecałem, że wrócę po zapłatę za zmarnowany towar i zniknąłem, a kiedy moja noga ponownie stanęła na starych terenach, zdziwiłem się, że poradziła sobie aż tak dobrze. Równie mocno zaskoczył mnie fakt, że wcale nie ucieszyła się na mój widok, choć akurat tego nie dałem po sobie poznać.

– Jakbyś nie zauważył, wiele rzeczy się zmieniło. – Liliann sprowadza mnie na ziemię, powodując tym samym, że cała moja uwaga ponownie zostaje skupiona na niej.

– No tak. Przecież potrafisz urządzić się w życiu, nie? Wystarczyło pomóc ci się odbić, żebyś rozłożyła skrzydełka i zostawiła w dole całe zło tego świata. – Śmieję się gorzko i cofam rękę, a Lily mruży oczy.

Nie jest zadowolona, że do tego wracam. To taki typ, który bardzo stara się odciąć od tego, co było. Udaje, że urodziła się na nowo, a to, co działo się wcześniej, wcale nie miało miejsca. Na przestrzeni lat umiejętnie pozbyła się każdego, kto mógł wiedzieć o tym, jak kiedyś wyglądało jej życie. Zostałem tylko ja i chociaż zapewniałem, że

nikomu nie zdradzę nic, co mogłoby jej zaszkodzić, a ona bardzo dba o to, żebym nie zmienił zdania i żeby było mi dobrze, to najwyraźniej i tak stresuje ją, że znam tyle niewygodnych faktów z przeszłości. Czasami widzę to w jej oczach. Wtedy, gdy opuszcza ją opanowanie. No ale to przecież ona nas buduje. Przeszłość. Nie da się od niej odciąć, udawać, że pewne wydarzenia nie miały miejsca. Można zagrać z losem w karty, przetasować je, aby przyszłość zaczęła wyglądać tak, jakby poukładano ją dla kogoś innego. Można, ale nie zmienia to faktu, że to, co było, miało miejsce! O co te pretensje?

– Nie narzekam. Już nie. – Uśmiecha się, tuszując złośliwym grymasem wyraz niezadowolenia.

Pokerowa twarz to jej specjalność. W końcu jest kimś, choć startowała z poziomu minus jeden. Niżej ode mnie. Przejęła władzę, gdy tylko jej to umożliwiłem, i teraz cały klub tańczy tak, jak ona tego chce i jak im zagra. Była pierwszą kobietą w Detroit, która osiągnęła tak wiele. To ona tu rządzi. I robi, co chce. Mógłbym się dziwić, że nie postanowiła odciąć się od tego wszystkiego i woli dalej traktować dziewczyny tak, jak sama była traktowana, ale zbyt dobrze wiem, że czasem chęć odreagowania za własne krzywdy jest zbyt silna. Rozumiem to. Jesteśmy tacy sami. Oboje źli i pozbawieni skrupułów. Chociaż czasami wydaje mi się, że to ona umiejętniej gra w tę grę i zgarnia fajniejsze fanty. Cóż, momentami ma lepsze argumenty.

– Miałem wrażenie, że chcesz o czymś porozmawiać – zmieniam temat.

Lily przewraca oczami, ale odwraca się i podchodzi do kanapy, na którą opada.

– Chodzi o Vicky. Zapadła się jak kamień w wodę. Wiem, że prawdopodobnie jako ostatni się z nią widziałeś. Shane sprawdzał jej telefon, zanim się go nie pozbyła. Logował się w twojej okolicy.

– Czemu jej szukasz? – pytam. – Mówiłaś, że nie trzymasz tu dziewczyn na siłę, a z nią miałaś same problemy. Teraz chyba się rozwiały, nie? Nie cieszy cię to?

– Nie cieszy mnie, że razem z nią zniknęło sporo forsy i pewne dokumenty, które suka postanowiła pożyczyć – syczy. – Kretynka

myślała, że nikt tego nie zauważy i nie będzie musiała odpowiadać za swoją głupotę. Gdyby nie to, miałabym w dupie, co się z nią dzieje. A tak? Chcę ją mieć z powrotem. Dla zasady.

– Co mi do tego? Masz na prywatnych usługach posłusznego gliniarza. Niech ją znajdzie, skuje w kajdanki i dostarczy pod drzwi.

– Próbował, ale ona jest cwana – mówi, nie pozwalając się sprowokować. – Zbyt dobrze zna nasze metody i wie, jak się schować i przed kim. Jeżeli nie dostanie dobrej motywacji, to nie wypłynie.

– Czyli mam ją znaleźć? – upewniam się. – Po to jestem ci potrzebny?

– Ona cię lubi bardziej, niż powinna, i w jakiś dziwny, popierdolony sposób cały czas ci ufa, nieważne, jak ją traktujesz. – Patrzy na mnie sugestywnie, jakby była świadoma tego, co ostatnio między nami zaszło. – Jeżeli ma dla kogoś znowu stać się widzialna, to tylko dla ciebie. Nie będziesz robił tego za darmo, dobrze ci zapłacę. Lepiej niż za jakikolwiek inny towar.

– Jasne. A co jej zrobisz, gdy ją tu przyprowadzę?

– Wiesz, gdybym nie wiedziała, jaki się stałeś... – zaczyna niespiesznie. – Pomyślałabym, że się o nią martwisz i jednak znowu odzywa się w tobie coś, co przypomina sumienie. Tak jak wtedy.

Podchodzę do niej bliżej.

– Sumienie... Miałem je, gdy byłem dzieciakiem. Zapewniam cię, że skorzystałaś z niego jako ostatnia. Od tamtego czasu trochę rzeczy się zmieniło. Chyba po tych wszystkich latach w moim towarzystwie dostrzegasz, kurwa, różnicę?

Patrzy mi prosto w oczy. Zwierciadła duszy. Ktokolwiek je tak kiedyś określił, miał kurewską rację. A dusza Lily najchętniej spierdoliłaby stąd jak najdalej. Teraz, właśnie w tym momencie. Mimo że ona trzyma ją usilnie i ciągnie ten teatrzyk, nakazując zgrywać niezłomną.

– Tak. Oczywiście, że tak – oznajmia w końcu.

I słusznie.

Rozdział 8

Skyler

Umarłam.

Umarłam, bo widzę tylko ciemność.

Umarłam, bo nie mogę oddychać.

A jednak żyję.

Żyję, bo płuca wciąż palą mnie żywym ogniem, nie pozwalając o sobie zapomnieć.

I cholernie mnie to cieszy.

Biorę gwałtowny wdech i krztuszę się mroźnym powietrzem, które mocno zasysam przez usta. To zbyt wiele. Za dużo. Pozbywam się go wraz z nadmiarem wody. Moim ciałem wstrząsają torsje. Przez moment tracę wiarę w to, że sobie poradzę. To się nie uda. Nie odzyskam kontroli nad własnym ciałem. Nie mam siły nawet dźwignąć głowy, ledwo udaje mi się przekręcić ją lekko w bok, by nie udusić się własnymi wymiocinami.

Po omacku próbuję rozpoznać, gdzie jestem. Sunę dłońmi wokół siebie i zaciskam palce na mokrych źdźbłach trawy. Ściskam je najmocniej, jak tylko potrafię, wyrywając przy tym z korzeniami. Chcę się upewnić, że są prawdziwe. Rozmazuję glebę, babram się w błocie, ale tylko to pozwala mi uwierzyć, że naprawdę znalazłam się na brzegu. Nie wiem, jak do tego doszło.

Nieważne.

Z trudem przekręcam się na plecy i powoli mrugam opuchniętymi powiekami, starając się usilnie utrzymać je w górze, choć mam wrażenie, że nigdy wcześniej tyle nie ważyły.

Jestem coraz bardziej świadoma, coraz łatwiej mi oddychać. Potrafię już skupić się na tym, co przede mną, a widzę ciemne niebo i gwiazdy. Skacząc do wody, nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek będę mogła je ujrzeć. Nie liczyłam się z tym. Pogodziłam się z myślą,

że to już koniec. Zbyt wczesny, ale wybór był żaden. Wolałam zginąć, niż zrobić to, czego żądał ode mnie Philip. Myślałam, że innych opcji nie ma. Własna pomyłka powoduje, że oczy ponownie zaczynają mnie szczypać, tym razem od łez.

Jednak nie chciałam umierać.

Pomimo załamania i trudności pragnęłam żyć. Pragnę. Nadal. Cały czas. Uświadomiłam to sobie tuż przed zderzeniem z taflą lodowatej wody. Kiedy mnie pochłonęła, desperacko starałam się natychmiast wydostać. Toczyłam zawzięty bój z silnymi prądami i uparcie walczyłam o wypłynięcie na powierzchnię, by zaczerpnąć choć jeszcze jeden haust powietrza. Nieudolnie. Straciłam orientację, gdzie znajduje się góra, a gdzie dno. Zbyt szybko zabrakło mi sił. Wpadłam w panikę. Tonęłam. Chociaż wyciągałam przed siebie rękę, brzeg pozostawał odległy.

Ale się udało.

Żyję.

Nie wiem, jakim cudem dotarłam na ląd, czy ktoś mi w tym pomógł, czy rzeka sama zrezygnowała z tak miernej ofiary. Nie jestem pewna, jednak muszę tu być sama, bo wciąż leżę w tej samej pozycji i nikt się nie zbliża. Nie potrafię nawet określić, ile czasu już upłynęło. Przemoczone ubranie wciska mnie w glebę i jeżeli czegoś nie zrobię, to pochłonie mnie żywcem. Robi mi się coraz zimniej, sennie. Moje powieki ponownie opadają, ale walczę z nimi. Nie mogę tu usnąć. Jeżeli do tego dopuszczę, to będzie mój koniec, a inaczej planowałam wykorzystać otrzymaną szansę.

Z trudem dźwigam się na kolana, podpierając się dłońmi o ziemię. Błoto wciąż wciąga mnie w swoje odmęty. Przedostaje się między palcami, zatapia. Nie jest stabilną podporą, którą mogłabym wykorzystać. Próbuję ruszyć, ale ręce mi drżą i zanim mam szansę wykonać choćby najmniejszy ruch, załamują się pod ciężarem ciała. Uderzam brodą o glebę z taką siłą, że aż przez moment przed oczami migotają mi jasne plamy. Nie mam siły, ale czuję, że zsuwam się z powrotem w kierunku rzeki, a do tego nie mogę dopuścić. Nie wydostałabym się z niej ponownie. Bolesne ukłucie paniki na nowo mnie otrzeźwia.

Biorę głębszy oddech i zmuszam się, żeby podjąć kolejną próbę. Dźwigam się z trudem i na czworaka powoli oddalam od linii wody, by przypadkiem znowu się w niej nie znaleźć. Niezdarnie się ślizgam i upadam. Próbuję jeszcze raz. W końcu docieram do najbliższego drzewa i podpierając się o nie, staram się wstać. Obraz przed oczami mi faluje, a szalejący puls niemal rozsadza bębenki od środka. Daję sobie chwilę, żeby złapać oddech. Staram się wyciszyć i spróbować usłyszeć coś więcej. Określić kierunek, w którym powinnam się udać. I jest! Niewyraźny, ale rozpoznałam go! Dźwięk przejeżdżającego auta, i to całkiem niedaleko.

Odpycham się od pnia i robię niepewny krok, ale ta próba kończy się zderzeniem z ziemią. Mimo to nie poddaję się. Wstaję i upadam, ale kiedy tylko zyskuję chwilową stabilność, posuwam się naprzód. Cały czas. Krocze po kroczku. Szczękając zębami z zimna, przedzieram się przez zarośla w żółwym tempie. Przytrzymuję się niższych gałęzi, by utrzymać równowagę i zwalczyć zawroty głowy. W końcu docieram do pierwszych zabudowań. Zataczając się na boki, cudem wydostaję się na chodnik.

Chociaż okolica wygląda podejrzanie znajomo, to nie potrafię jednoznacznie określić, gdzie jestem, a co gorsza, gdzie powinnam iść. W ciemności wszystko wygląda tak samo. Głowa nie współpracuje ze mną wzorowo, ale nawet ona podpowiada mi, że powrót do domu, gdybym w końcu znalazła odpowiednią drogę, nie wchodzi w rachubę. Nie chcę narazić się na spotkanie z Philipem.

Muszę zniknąć, przeczekać, wymyślić plan działania.

A przede wszystkim się ogrzać. To priorytet.

Kilka kroków przed sobą zauważam kontener z ubraniami dla potrzebujących. Nie mam zamiaru nikogo okradać, dlatego najpierw wrzucam do środka własną marynarkę, a w zamian zabieram pierwszą rzecz, jaka wpada mi w ręce. Sweter. Męski, o kilka rozmiarów za duży, cuchnący starością i papierosowym dymem, ale suchy i ciepły. To mi wystarczy. Jest namiastką tego, co znam, co zawsze mi pomagało. Ruszam dalej, jednocześnie wkładając go przez głowę. Tracę ostrożność, a to błąd. Cholerny. Krótki moment nieuwagi i nagle całą sobą wpadam na coś. Na kogoś.

– Patrz, gdzie leziesz!

Silne dłonie chwytają mnie za ramiona i przytrzymują w miejscu, choć próbuję słabo zaprotestować. To na nic. Długie, żółknięte paznokcie wbijają się w materiał swetra i dosięgają mojej skóry, boleśnie się w nią wczepiając. Unoszę głowę i patrzę prosto w oczy starca, który mnie dopadł. Ma koszmarnie zarośniętą twarz. Siwe włosy i broda go przytłaczają, okalają zmętniałe upływem czasu błękitne oczy. Mógłby wyglądać jak dobry, poczciwy dziadziuś albo Święty Mikołaj, gdyby nie to wściekłe, mordercze spojrzenie. To raczej jego zły brat bliźniak. W prezencie mogę dostać co najwyżej dorodną śliwę pod okiem.

Serce dudni mi głucho w piersi i tak obija się o żebra, że nie potrafię nad nim zapanować. Panika coraz mocniej daje o sobie znać.

– Proszę... – szlocham, a on mruży oczy, jakby zastanawiając się, czy rzeczywiście mnie wypuścić, czy raczej zgnieść jak nędznego robaka. Waha się. – Niech mnie pan puści. Niech mi pan nie robi krzywdy. Błagam! Ja sobie zaraz pójdę. Zniknę.

– Won! – wrzeszczy mi prosto do ucha.

Nie musi dwa razy powtarzać. Kiedy tylko odpycha mnie od siebie, rzucam się do ucieczki i zostawiam go daleko za sobą. Napędza mnie zastrzyk adrenaliny. Chociaż chwilę wcześniej ledwo utrzymywałam się w pionie, teraz mam wrażenie, że mogłabym wystartować w maratonie. To tylko złudzenie i pewnie szybko pożałuję tego ruchu, ale nie umiem się powstrzymać. Biegnę, ile sił w nogach, a gdy docieram do końca ulicy, kolana drżą mi potwornie i załamują się pode mną. Potykam się. Próbuję utrzymać równowagę, ale nie starcza mi sił. W pełnym pędzie wpadam ramieniem na ścianę. Przytrzymuję się jej kurczowo, wczepiam się w kamienny mur paznokciami, szukam punktu zaczepienia, za wszelką cenę nie dopuszczając do upadku. Nie podniosłabym się ponownie. Tego wszystkiego jest za dużo.

Muszę się gdzieś ukryć. Przed ciemnością, przed ludźmi.

Przed samą sobą.

Nie znam osoby mogącej mi w tym pomóc. Gotowej stanąć w mojej obronie. Otworzyć przede mną opiekuńcze ramiona, w których bym się schroniła.

Takiej osoby nie ma.

Nigdy nie było.

Podpierając się o ścianę, docieram do najbliższych uchylonych drzwi. Brakuje mi czasu, aby zastanawiać się, co może mnie czekać wewnątrz. Po prostu biorę głęboki oddech i nurkuję do środka. Zatrzymuję się zaraz za progiem, starając się przystosować do nowych warunków. Mrużę oczy i rozszerzam je jak najbardziej, chcąc dopatrzeć się czegokolwiek wśród nicości. To na nic. Rozróżniam kontury przedmiotów, ale niewiele więcej. Ledwo udaje mi się zlokalizować schody. Docieram do nich po omacku i desperacko chwytam się metalowej poręczy. Z trudem pokonuję jedno piętro i drugie. Na trzecie nie mam siły się wdrapać.

Zatrzymuję się i opierając się plecami o ścianę, powoli osuwam się po niej do siadu. Tłumię w sobie narastający w gardle szloch, przyciskam zaciśniętą pięść do ust i kulę się w kącie, bo bardzo chcę stać się niewidzialna. Ochronić się przed zimnem i ciemnością. Ona potrafi sięgnąć po mnie nawet tutaj, a ja wciąż boję się jej tak samo mocno, a nawet bardziej. Tu nie włączę światła na życzenie i nie rozproszę mroku. To on dyktuje warunki.

Dorośnij, Sky.

Chowam twarz w dłoniach. Wypuszczam z ust drżący oddech i ciasno otulam się ramionami, pocierając je zdrętwiałymi od chłodu palcami. Próbuję się rozgrzać, ale to nic nie daje. Chwilowa ulga po zmianie przemoczonych ubrań odeszła w zapomnienie. Adrenalina na dobre mnie opuszcza. Zostawia mnie samą, a ja dopiero teraz uświadamiam sobie, co się wydarzyło i jak naprawdę się czuję. Jestem niemal nieprzytomna ze zmęczenia. Wychłodzona. Przerazona. Zagubiona.

I wciąż nie potrafię się uspokoić.

Pomimo ciszy dociera do mnie zbyt wiele bodźców. Najdrobniejszy dźwięk wydaje mi się rozbrzmiewać niczym wystrzał z armaty i powoduje, że natychmiast nabieram czujności i prostuję się jak struna. Koncentruję wzrok na schodach. Nie potrafię pozbyć się wrażenia, że ktoś mnie cały czas obserwuje, choć sama nie widzę nikogo. Zastanawiam się, czy za moment ktoś tutaj nie wejdzie i nie odkryje mojej kryjówki. Czy nie będzie to Philip. Popadam w paranoję. On myśli, że zginęłam. Nie będzie mnie szukał. Chyba...

Nie wiem, czy jestem bezpieczna, czy w ogóle mogę myśleć o bezpieczeństwie. Ostatnie dni dobitnie pokazały, że nie powinnam. Moje myśli to niekończące się pole bitwy.

To obłąd.

Zamiast się uspokoić, tylko się nakręcam.

Boję się. Cały czas. Jest tak cicho... Zbyt cicho, bo niemal słyszę, jak myszy skrobią pazurami, przebiegając gdzieś niedaleko w ciemności. Nawet mój własny oddech wydaje mi się zbyt głośny i niewłaściwy, jakby zdradzał moje położenie.

Wyteżam wzrok, jeszcze raz próbuję oswoić się z ciemnością. Nie chcę dać się jej zaskoczyć, ale to ona zaskakuje mnie. Im dłużej z nią walczę, tym bardziej jestem zmęczona. Z coraz większym trudem przychodzi mi utrzymanie otwartych oczu. Nie mogę odpuścić, muszę się pilnować. Po prostu muszę.

Mrok jednak zmienia taktykę, dziś mnie już nie straszy. Niemal czuję, jak delikatnie gładzi mnie po policzku i sypie sennym piachem w oczy. Mówi: „śpij”, a ja nie umiem się sprzeciwić. Głowa staje się coraz cięższa i opada mi na bok.

Rozdział 9

Samuel

W życiu można spodziewać się tylko niespodziewanego. Czasem najlepszy przyjaciel ukatrupi ci siostrę, chcąc osłabić i przejąć prym w interesach, a czasem pieprzony anioł postanowi przemocować pod twoimi drzwiami, żeby wysuszyć przemoknięte na wskroś piórka. Norma. Totalna norma w tym nienormalnym, popierdolonym świecie. Staram się do tego przywyknąć. I nawet mi wychodzi.

W końcu nie bez przyczyny leżę na plecach na starym kocu zamiast na swoim materacu. Ustąpiłem go jej, bo przecież jestem taki, kurwa, uczynny. Niby stawiam warunki i pogrywam z innymi jak mi pasuje, a jednak pasywność coraz mocniej wchodzi mi w krew. Przedłużam to, co nieuniknione, godzę się szukać zaginionych złodziejek i zarywam przez to noce, a gdyby tego było mało, to na dodatek przygarniam przemoknięte sieroty. Miłosierdzie zaraz rozsadzi moją duszę swoim nadmiarem. Zrobiłoby to.

Gdybym ją miał...

Bawię się zapalniczką. Ogień pojawia się i znika. Gaśnie. Świeci. Gaśnie. Świeci. To tak jak ja. Dokładnie tak samo. Pewne wydarzenia i ludzie przynoszą pieprzoną jasność. Rozjaśniają mrok i wskazują dobrą ścieżkę. Mówią: „Idź po niej, Sam! Wszystko będzie dobrze!”. Są tacy zajebiście szczęśliwi, że mogą to zrobić. Pieprzeni altruści. Iluzjoniści. Wierzą, że mnie zmieniają. Że wróci ten mały, dobry, pierdolony Sammy, który cieszył się z byle gówna, choć życie go przerastało. Ale tamtego Sama już nie ma. Wydoroślał i przyzwyczyił się do życia w mroku. Nauczyłem się tego samodzielnie, bo gdy była jeszcze pora, żeby chwycić za rękę, ludzie ze światłem sami pobłądzili. A teraz? Pierdołę ich blask. Jasność razi mnie w oczy i wkurwia. Dmucham i gaszę ją za każdym razem, a oni czasami wracają, jakby byli przekonani, że wszystko da się jeszcze naprawić.

Że odpokutują swoje winy i zaniedbania. Nie. Nie dostaną ode mnie rozgrzeszenia. Nawet na to trzeba sobie zapracować. A oni? Są ślepi. Nie dociera do nich, że ten ogień nie zapłonie na dłużej. Nie ma na świecie takiej podpałki, która by go we mnie podtrzymała dostatecznie długo, bym cały się zajął. Tym płomieniem. Światłem dobroci.

Kurwa.

Zamykam oczy, ale to na nic. Tej nocy już nie zasnę.

Przez siebie, przez swoje rozszalałe myśli, które dawno wyrwały mi się spod kontroli, a przede wszystkim przez nią. To ona tym razem wytrąciła mnie z równowagi.

Przekręcam głowę w bok i spoglądam na skuloną na materacu dziewczynę. Ma lekko rozchylone usta, opuchnięte powieki, a blond loki zbiły się w jeden kołtun. Daleko jej do tego obrazka, który zapamiętałem ostatnio. Nie oszukujmy się, wygląda nędznie. I pewnie też się tak czuje, bo nie obudziła się nawet na chwilę, gdy wziąłem ją na rękę i przenieśliem do środka mieszkania. Była bezwładna, bezwolna, a przy tym koszmarnie mokra i cała zziębnięta. Bładość jej skóry spowodowała, że w pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem, zamarłem, uznając, że to znowu się dzieje. Że znowu ktoś w „przyjacielskim prezencie” ofiarował mi trupa. Iskra dawnych wspomnień i emocji rozżarzyła się boleśnie. Zdmuchnął ją chrapliwy oddech, wydobywający się z posiniałych warg anielicy. Nie potrafiłem przejść nad nią obojętnie i zamknąć za sobą drzwi jak gdyby nigdy nic. Odciać się od tego. Od niej. I mam teraz upierdliwego lokatora.

I jeszcze gorsze łupanie we łbie.

Odkąd wróciłem do Detroit, nie rozumiem swoich decyzji. Nie mogę pojąć własnych motywów w ostatnim czasie. Za to coraz częściej mam wrażenie, że stepuję na bombie. Robię to dobrowolnie, nikt nie stoi nade mną z batem. Wykonuję mnóstwo nierozważnych kroków. Chuj wie, który będzie ostatnim, zanim to wszystko nie eksploduje. Ryzykuję. I to coraz więcej, coraz odważniej. Albo głupiej. Gdybym patrzył na to z boku, zdecydowanie nazwałbym się kretynem.

Potrzebuję powietrza.

Jednym ruchem podrywam się z ziemi, pokonuję niewielką przestrzeń pokoju i podchodzę do okna. Otwieram je na oścież mocnym szarpnięciem i wystawiam na zewnątrz rozgorączkowany łeb. Przymykam na moment powieki, napawając się jebaną chwilą spokoju, a gdy je otwieram, widzę, że nie jestem jedynym, który cierpi na bezsenność.

Po drugiej stronie ulicy, w świetle rzucanym przez jedną z nielicznych działających jeszcze lamp, ustawiała się niewielka grupa. Znam ich, rozpoznaję każdego z osobna. Benny i jego kumple. Żyją tu już dłuższy czas, a droga każdego z nich była podobna. Wielcy wygrani, ale tylko na chwilę. Reki biznesu, które straciły czujność i pozwoliły, by zeżarły ich płotki, a królestwa przynoszące mamonę, niby trwałe i ze stali, rozsypały się jak zamki z piasku. Jeden po drugim. Cwaniacy, a tak naprawdę pozerzy, którym wydaje się, że chociaż sięgnęli dna, to nadal mogą być panami swojego losu. Naiwniacy. Nawet nie zauważają, że sami są podwładnymi. Białego prochu, kolorowych złudzeń. Własnego nałogu. Mimo wszystko są użyteczni. To łątni klienci, niewymagający, bo biorą, cokolwiek im podrzucę. Tylko że tym razem to nie ja jestem źródłem ich dostaw.

Do grupy podpierającej mur naprzeciwko ktoś się zbliża sprężystym krokiem. Przeskakuje nad wyrwą w jezdni, a wtedy kaptur zsuwa mu się z głowy, odsłaniając ognistorude kudły postawione na irokeza. I, kurwa, to niemożliwe. Znam go. Tego łba nie da się pomylić z nikim innym. Max. Max Bader. Niby silna osobowość, która jednak nie chce porównywać swojej siły z tą moją. Robi uniki, jakby to, że nie stanie do konkurencji, uczyniło go zwycięzcą. Widocznie ma problem nie tylko ze snem, ale również z postrzeganiem rzeczywistości. Za każdym razem, gdy się pojawia, wywalam go stąd na zbity pysk. Udowadniam, że to moja dzielnica, ale on nie uczy się na błędach i wraca, gdy tylko znikam. Być może nie dotarło do niego jeszcze, że znów przejąłem pałeczkę. Być może wcale go to nie rusza. Tańczy z ogniem, jakby wcale się nie bał, że go spopieli. Niestety, samo zafarbowanie kudłów nie zapewni mu ochrony. Wystarczy jeden błąd, a żar wyrwie się spod kontroli. On nie wydaje się tego świadomy. I chuj. Niech tańczy, ale to nie

zmienia faktu, że robi mi konkurencję. Na terenie, który pierwszy sobie przywłaszczyłem. Chce go przejąć?

Po moim, kurwa, trupie!

Wymykam się z mieszkania. Nie zależy mi, żeby nie obudzić śpiącej dziewczyny. Niech śpi albo i nie. Może okazać się nawet kolejną złodziejką. Powodzenia. Fortuny na mnie nie zbije. Wyprzedziłem ją. Z tego mieszkania nie ma już czego wynosić.

Wybiegam z kamienicy i obserwuję to, co dzieje się po drugiej stronie ulicy. Grupa Benny'ego właśnie dzieli między sobą łupy, dosiada się do wieczerzy. Patrzą na mnie, uśmiechają się zachęcająco, ale ignoruję ich. Jestem głodny, ale wyłącznie informacji.

Rozglądam się uważnie i spostrzegam oddalającą się wzdłuż głównej ulicy zakapturzoną postać. Idę za nim. Chcę spojrzeć mu w twarz i usłyszeć, że się nie boi. Chcę, żeby wypowiedział to drżącym tonem. A przy okazji mam zamiar odkryć to jego źródło, sprawdzić, co mogę zrobić, by ostatecznie wyschło albo wybiło wyłącznie dla mnie.

Max kieruje się w stronę centrum. Szybko mija ostatnie rozsypujące się kamienice i kieruje się do podziemnego przejścia, schodzi po schodach. Odczekuję moment, a po chwili zbiegam tą samą trasą. Skupiam się wyłącznie na nim, zapominając, że powinienem pamiętać o wszystkim innym. Przez to tracę koncentrację. Nie uważam. To błąd. Czuję to całym sobą, ale jest już za późno na refleksje. Do moich uszu dociera brzdęk butelki, którą przypadkiem trącam czubkiem buta, a ta spada ze schodów.

On też to słyszy. Zamiera, spogląda przez ramię, a kiedy mnie zauważa, w jego oczach miga panika. Rzuca się do tchórzliwej ucieczki. Sięgam po broń, ale moja dłoń natrafia na pustkę. Nigdy nie rozstaję się z ukochanym gnatem, a dziś, właśnie, kurwa, teraz, gdy jest tak bardzo potrzebna, nadeszła ta wiekopomna chwila. Przeklinam się w myślach, ale nie rozpaczam zbyt długo. Oddalający się Max budzi we mnie instynkt łowcy, przełącza na ten właściwy tryb. Koleś spierdala zawodowo, całym sobą pokazuje, jak bardzo chciałby przede mną zwiać, może nawet naiwnie wydaje mu się, że jest w stanie, ale chyba zdołał zapomnieć, z kim ma do czynienia.

Jest szczurem, ale kocurem nadal jestem ja. Bilans szans jest jasny, dlatego zdumiewa mnie zdziwienie na jego twarzy, gdy na krótkim odcinku doganiam go i powalam na glebę, aż zgrzyta zębami. Odwracam go na plecy i blokuję, zanim ma szansę ponownie poderwać się na nogi.

– Pojebało cię?! – syczy, próbując mnie z siebie zrzucić.

Nic z tego. Siedzę na nim okrakiem, a te jego wątłe ramiona są niczym w porównaniu z moją siłą. Chociaż nie mogę mu odmówić debilnego uporu. Prycha, furczy, ale jedynie traci tym energię. Nie puszczam go, za to uciszam jednym ciosem. Teraz tylko bulgocze, zalewając się krwią płynącą z przestawionego nosa. To znacznie przyjemniejszy dźwięk niż wcześniejsze darcie pyska.

– Nie uczysz się na błędach, nie? – warczę, zaciskając pięść na jego kudłach. Ciągnę ten kurewsko durny łeb ku sobie i odpycham, aż uderza z powrotem o ziemię. Raz po raz. – Ile razy powtarzałem ci, że Morningside jest moje? Ile. Kurwa. Razy? I co? Nie dotarło?!

– Nie było cię przecież! – jęczy. – To miało się marnować?!

– No zobacz. A teraz po ryju leje cię duch czy jednak ja? – Biorę zamach i uderzam ponownie, a on jęczy głucho. – Jestem czy nadal mnie nie ma? Jak to jest, Max? Zastanów się, dobrze to przemyśl, bo każda błędna odpowiedź to kolejny... cios w nos. – Uśmiecham się, a on próbuje wypluć z ust nadmiar krwi, ale przytrzymuję go w jednej pozycji.

– To ludzie potrzebowali! Szukali dojść, a ciebie nie było, ja tylko chciałem im je zapewnić!

– Jakiś ty szlachetny – cedzę i mocniej dociskam przedramię do jego gardła. Słyszę, jak się dławi, ale nie zwalniam nacisku. – Ale zapamiętaj sobie, że potrzebujący zawsze znajdzie drogę, a ja, nawet gdy mnie nie widać, to zawsze jestem. Stale. Nadal czuwam i patrzę ci na ręce. A teraz chcę zobaczyć, jak te brudne łapska oddają mi to, co zabrały. I od dziś aż do odwołania dzielisz się ze mną fantami. Rozumiesz?

– Spierdalaj, nic nie dostaniesz – bełkocze, ale niewyraźnie. Z trudem przychodzi mi zrozumienie tego, co próbuje mi przekazać.

– Co? Co mówisz? – Przykładam rękę do ucha, udając, że niedosłyszę. – Chcesz oddawać mi wszystkie swoje fanty z całego

tygodnia? Zajebicie! – Śmieję się i przetrzepuję jego rzeczy, zabieram resztki towaru i całą forszę, jaką ma przy sobie, a on warczy jak dzika bestia. Dzika, ale ugłaskana, bo to ja trzymam za drugi koniec smyczy.

I kiedy wydaje mi się już, że jestem wygranym i nic mnie nie pokona, okolicę rozświetlają policyjne światła. Wpadają do tunelu, odbijając się od ścian i drażniąc moje oczy. Chwilę po nich pojawia się też odgłos syren.

– Kurwa, gliny! Puszczaj mnie! – Max charczy i szamocze się pode mną jeszcze mocniej niż przed chwilą. Wstępują w niego nowe siły, tak bardzo jest zdeterminowany.

Nie musi mi dwa razy powtarzać. Ostatnie, czego chcę, to miłe pogaduszki z kolesiami w mundurach. Podrywam się na równe nogi. Nie czekając, aż ta ślamazara się pozbiera, sam rzucam się do ucieczki. Biznesy muszą poczekać. I pewnie poczekają znacznie dłużej, bo słyszę, że Maxowi się nie udało. Do moich uszu docierają odgłosy szamotaniny i jego wrzaski. Patrząc przez ramię i widzę, że jeden z gliniarzy wciska mu kolano między łopatki i krępuje rękę. Drugi, młodzik, stoi obok z otwartą gębą. Patrzy to na mnie, to na swojego kolegę. I nic. Trwa w tej pozycji, dopóki nie zostaje wrzaskiem upomniany, żeby za mną biegł. To go otrzeźwia.

Wyciąga broń, krzyczy wyuczone formułki, ale nie czekam na finał. Wbiegam po schodach, wydostaję się na świeże powietrze, a on gna za mną. Wrzeszczy i wrzeszczy, ostrzeżenia sypią się jak z rękawa, ale mnie nie spowalniają. Raczej jeszcze bardziej napędzają. Czuję, że mógłbym pobić światowy rekord na krótkie dystanse. Przyspieszam, bo już widzę zarośla po prawej stronie. Kiedy tam wpadnę, ukryję się i przeczekać. Będę bezpieczny. Byłbym, ale młody nie odpuszcza. Dalej wrzeszczy spanikowanym tonem, jakbym to ja wymachiwał splotką. Chce, bym się zatrzymał, a kiedy i tym razem nie reaguję, a jedynie przeskakuję przez murek oddzielający chodnik od roślin, naciska spust... i chybia. Wpadam między gęsto usiane gałęzie, a te otaczają mnie szczelnym płaszczem. Szczęście wciąż dotrzymuje mi kroku, ale zastanawiam się, jak długo wytrzyma.

Rozdział 10

Skyler

– Wracaj tu! Jak tak dalej pójdzie, skończysz jako pomywaczka kibli! Mogłabyś bardziej się starać. – Ojciec wygłasza swoje kazanie, ale mam już dość. Zanim ma szansę dokończyć, odwracam się na pięcie i wybiegam z jego gabinetu. On i tak nie przestaje wołać: – Po co opłacałem ci te wszystkie studia i kursy? Wiesz, ile to wszystko kosztowało? Zero wdzięczności!

Padnij w końcu trupem i zabierz sobie te swoje pieniądze do grobu!, warczę w myślach. Nie wiem, który to już raz. Wykrzykuję w sobie słowa, których nigdy nie byłabym w stanie wypowiedzieć na głos. Cały czas. Nie potrafię wypuścić wściekłości, choć ona namiętnie szuka ujścia, obija się o ścianki wewnątrz mojej głowy, próbując rozsadzić mózg na kawałeczki. Chciałabym dać jej wolność, ale cokolwiek zrobię, to i tak nie złamię klatki, w której sama pozwałam się więzić. Utknęłam. Nie potrafię pokazać światu, jak wielką suką jestem tam w środku. Na pozór grzeczna i poukładana, a bunt we mnie rośnie. Krok po kroku. Narasta. Wybuchnie? Może. Może nie. Wiem, że nie. I tego też się obawiam. W końcu ten, kto dusi w sobie zbyt wiele, w końcu sam się udusi. I prawda. Czasem już brakuje mi oddechu. Co będzie potem?

Nie chcę tego sprawdzać.

Zatrząskuję za sobą drzwi i w tym samym momencie światło na korytarzu gaśnie. Mrok pochłania wszystko bez reszty, napędza moje serce, które zaczyna boleśnie tłuc się w piersi, jakby szukając drogi ucieczki. Wrzask. Nie wiem, skąd dobiega, ale sprawia, że wszystkie włoski na ciele stają mi dęba. Tracę orientację, ale to on zmusza mnie do biegu. Rzucam się przed siebie, a odgłos kroków i panicznego, urywanego oddechu odbija się od ścian. Nie zważam, czy należą do mnie, czy wydaje je ktoś, kto niemal stąpa mi po

piętach. Uciekam. Panicznie, chaotycznie. Przed kim? Nie mam pojęcia. Chciałabym spojrzeć przez ramię, ale nie znajduję w sobie takiej siły. Nie mogę zwolnić ani się zatrzymać. Jeżeli to zrobię, on mnie dopadnie. On. To coś. Muszę biec. Nogi mi się płaczą. Spoglądam w dół i wtedy z całym rozpędem zderzam się z przeszkodą. Odbijam się, upadam na podłogę. Patrzę przed siebie, pocierając obolałe czoło.

W połowie korytarza stoi ojciec. Na niego wpadłam. Rozpoznaję go błyskawicznie, choć odwrócony jest do mnie plecami. Stoi dumnie wyprostowany, z rękami w kieszeniach i patrzy gdzieś w dal.

– Tato! Tatusiu! Przepraszam, ja tak bardzo przepraszam! – wołam, wyciągając błagalnie dłoń w jego stronę. Mam nadzieję, że tym razem mi pomoże.

Odwraca się powoli w moją stronę.

Puste oczodoły zieją czernią.

Krzyk zamiera mi w gardle. Przez moment jestem niczym sparaliżowana. Trzeźwość myślenia? Bzdura! Ja nie wiem, jak się zachować. Chcę uciec, zniknąć. Nie potrafię nawet drgnąć. On za to nie ma z tym problemu. Idzie powoli w moją stronę. Krok po kroku. Wyciąga rękę. Na czworaka staram się wycofać, ale on pochyła się i chwyta mnie za kostkę.

– Idziesz ze mną – charczy niewyraźnie, bo jego słowa są zagłuszone przez bulgot, jakby usta były właśnie napełniane krwią. Nie są. To ja nie mogę oddychać. Szarpię się z umarlakiem i dławię. Otwieram usta niczym ryba wyjęta z wody, a i tak czuję się zatopiona. Zatopiona w czerwieni i ciemności.

Wrzeszczę, ile mam siły.

Próbuję poderwać się do siadu, ale bez efektu. Ledwo udaje mi się podnieść nieco głowę, lecz zaraz znowu opada. Coś mnie blokuje, jestem przyszpilona do materaca. Panikuję, gdy czyjaś dłoń zaciska się na moich ustach i nosie, tłumiąc krzyk, ale również ucinając mi dopływ powietrza. Nie mogę oddychać! Szarpię się i szamoczę, wierzgam nogami niczym furiatka, ale to na nic. Jedynie szybciej pozbawiam się tchu. Na moim przeciwniku nie robi to wrażenia. Wszystkie ruchy są ograniczone, niegroźne. Jestem przygnieciona ciężarem jego ciała, bo siedzi na mnie okrakiem i krępuje mi ręce

nad głową. Serce zamiast uspokoić się, bo wyrwałam się z koszmaru, jeszcze bardziej przyspiesza, bo płynnie wskoczyłam w kolejny. Bardziej realny.

Tym razem finałem nie będzie przebudzenie.

Skołtunionie włosy przysłaniają mi oczy, nic nie widzę. Nie wiem, z której strony nadejdzie ostateczny cios, i to wyczula wszystkie moje zmysły do granic możliwości. Słyszę każdy szmer, ciężki oddech gdzieś nade mną, swój paniczny puls i łopotanie serca. Obce dłonie mocno zaciskają się na moich nadgarstkach. Ponawiam walkę, ale nieumiejętnie, poruszam się coraz bardziej ślamazarnie. W końcu opadam z sił i odpuszczam, rozluźniam napięte mięśnie. Liczę, że to chwilowe poddanie okaże się skuteczniejsze.

I rzeczywiście, to działa!

Ręka uwalnia moje usta. Zniża się nieco, jakby czekając, czy znowu nie zacznę wrzeszczeć, ale nie mam takiego zamiaru. Biorę głębszy oddech i wypuszczam go w drżący sposób. Wdech i wydech. Raz. Więcej nie jestem w stanie, bo powietrze zastyga mi w tchawicy, gdy obce palce przesuwają się na moje gardło. Czekam na moment, kiedy zacisną się na nim i całkiem odetną dopływ tlenu. Już na zawsze.

Mijają długie sekundy i nic. Zatrzymują się na moment, a potem suną ponownie wyżej, by móc odsłonić włosy z mojej twarzy. Muskają mój rozpalony policzek, po czym zaciskają się na podbródku, siłą nakierowując go we właściwym kierunku.

Patrzę do góry i widzę go. Rozpoznaję.

To on!

Góruje nade mną para ciemnych oczu. Wszędzie bym je poznała, bo prześladowały mnie noc w noc od czasu naszego pierwszego spotkania. Teraz widzę je jeszcze lepiej, jeszcze bliżej, choć nadal nie potrafię z nich nic wyczytać. Powinnam zachować dystans, powinnam nie chcieć tu być! Takie myśli kołaczą się gdzieś z tyłu głowy, ale nie przerywam tego kontaktu. Czuję się jak zahipnotyzowana. To on włada magią, która pęta mój umysł.

Przygląda mi się w zamyśleniu. Nie jestem pewna, co zamierza, ale nie mam zamiaru dłużej czekać na jego reakcję. Zdrowy rozsądek dochodzi wreszcie do głosu. Jest jak chlup lodowatej wody na

rozgrzany, bezmyślny łeb. Postanawiam go posłuchać. Choćby ten jeden raz.

Zbieram się w sobie, wyrywam się ze stanu odrętwienia i ponawiam walkę. Szarpię dziko i desperacko jak jeszcze nigdy wcześniej. Wkładam w to wszelkie pokłady siły, ale na nieznanym nie robi to wrażenia.

– Wypuść mnie! Puszczaj – warczę wściekle przez zaciśnięte zęby, bo po raz kolejny wzmacnia swój uścisk. Jego uda niemal miażdżą moje biodra. Blokuje mnie i choć nie przestaję się ruszać, on nawet nie myśli posłuchać żadnego polecenia.

– Nie zrobię tego...

Wzdłuż kręgosłupa przemyka mi dreszcz, gdy dociera do mnie ten głos. Głęboki i niski, przyjemnie ochrypły. Taki, który samym swoim brzmieniem może uwodzić i powalać na kolana. Każdego. To on powoduje, że natychmiast nieruchomieję.

– Nie puszczę cię, dopóki się nie uspokoisz – dodaje i się nachyla, a ja ponownie skupiam na nim wzrok. Z tak bliska wygląda jeszcze bardziej przerażająco. I mimo wszystko kusząco.

– Co ja tu robię? Kim ty w ogóle jesteś? – pytam szeptem. Nie chcę odezwać się głośniej, żeby nie wyłapał, że cokolwiek jest w stanie mnie przestraszyć, a już na pewno nie chcę dawać mu satysfakcji, że to właśnie on budzi we mnie takie uczucia. Mieszanie paniki z olbrzymim, irracjonalnym zainteresowaniem.

– Kimś, kto postanowił cię ugościć w swoich skromnych progach.

– Uprowadziłeś mnie?!

Patrzy, jakbym postradała rozum. Oceniając sytuację, w jakiej się znalazłam, mogę śmiało przyznać mu rację. Oszalałam. Oszalałam, że jeszcze do tej pory nie wzięłam nóg za pas.

Jasne. Gdybym w ogóle miała taką możliwość...

– Nie bądź śmieszna – prychna i przysuwa usta do mojego ucha, by wyszeptać: – Gdybym to zrobił, byłabyś teraz związana, zdana wyłącznie na mnie. Na moją łaskę albo i nie. Jutowy sznur wbijałby ci się w rękę. Obcierał skórę. Im bardziej byś się szarpała, tym mocniej by się zaciskał. Zostałby ślad, aniołku. Dokładnie w tym miejscu... – mamrocze, mocno zaciskając przy tym palce na przegubie mojej dłoni. Jego kciuk pociera pulsującą w szaleńczym

tempie żyłkę pod cienką skórą na nadgarstku. – Odrobinę żałuję, że tak nie jest, ale cóż, tym razem po prostu zgarnąłem cię z wycieraczki, żeby samemu móc dostać się do mieszkania. Blokowałaś mi przejście. Przysługa wyniknęła przy okazji.

– Zasnęłam na twojej wycieraczce?

– Taa... – Potwierdza i się odsuwa. – Ewentualnie zaraz obok. Szczegóły.

Znowu widzę przed sobą jego twarz. To lepsze, bo już tak bardzo mnie nie osacza. I gorsze, bo ten kpiący uśmiech zapamiętam już na zawsze. Chyba że zrobię coś, co zmieni mój obraz w jego oczach...

– I co? Dziwi cię to niby? A może bawi? – Przybieram wyzywającą minę, unosząc dzielnie podbródek, choć pewnie nie wygląda to tak dobrze, jakby mogło, gdybym stała dumnie wyprostowana. Leżąc pod nim trudno mi udawać, że to ja jestem tu górą. W najmniejszym stopniu nie czuję się pewnie, ale udawana brawura może być moim jedynym ratunkiem. Zwłaszcza w tej sytuacji. Nie mogę pokazać, jak słaba jestem. Muszę chociaż spróbować wyjść z pozycji ofiary. Ta rola w niczym mi nie pomaga. – Czasami się tak zdarza. Wiesz, jak mieszkasz na ulicy. Ja mieszkam, i to już bardzo długo! A ty co? Niby zwracasz uwagę na każdego potrzebującego? Każdą pierwszą lepszą zgarniasz do mieszkania z ulicy i dzielisz się z nią łóżkiem? Za darmo? Nie wyglądasz na takiego i... I puszczaj, no! – Wierzgam nogami, próbując go ostatecznie zrzucić.

Wzdycha, ale jednocześnie schodzi ze mnie, tak jak chciałam. Siada naprzeciwko, pozwalając, żebym sama usiadła. Natychmiast oddalam się na drugi brzeg materaca i kulę się w sobie. Przyciągam kolana do piersi, ciasno obejmując je ramionami. No tak, tyle zostało z mojej odwagi.

– A ty nie wyglądasz na wybitnie dzielną.

– Nic o mnie nie wiesz. – Opieram podbródek o kolano i patrzę na mężczyznę wilkiem. – Gdybym nie była, nie dałabym sobie rady, a jak widzisz, mam się całkiem nieźle.

Przynajmniej wciąż żyję.

– Tak? To czemu się trzęsiesz? – pyta wyraźnie rozbawiony, a to, że moje ciało mnie zdradza i zgodnie z jego słowami zaczyna znowu drżeć, tylko dostarcza mu powodów do zadowolenia.

– Bo jest mi zimno! – burczę cicho i pocieram dłońmi ramiona.

– A nie dlatego, że się mnie boisz?

Milczę przez chwilę, zastanawiając się, jakiej udzielić mu odpowiedzi. Nie chcę go prowokować, ale wątpię, czy otwarcie przyznanie się, że umieram ze strachu, byłoby dużo lepszym posunięciem. Nie widzę tutaj dobrego rozwiązania, ale zbieram się w sobie i w końcu wyduszam:

– Nie znam cię.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Można się bać tylko tego, czego się nie zna.

Parska śmiechem, ale nie komentuje tego w żaden sposób, jedynie przeciera twarz rękami, jakby nie mógł uwierzyć w moją głupotę i naiwność. Nie potrafię oderwać od nich wzroku. Ma długie, smukłe palce niczym u artysty, a nie ulicznika. Mógłby być pianistą albo rzeźbiarzem. Wyobrażam sobie, jak przesuwa nimi po zimnym kamieniu, wodzi powolutku, szukając miejsca, które należy jeszcze opracować i ociosać, by uzyskać lepszy efekt. Albo jak zaciska je podczas ugniatania gliny. Ugniata, pieści nieznośnie wolno i dokładnie, dogłębnie, a ona poddaje się ciepłu i jego dotykowi.

Wzdrygam się, gdy nagle opuszcza dłonie i ponownie skupia na mnie wzrok. Czuję, że policzki mi płoną. Musiałam mocno uderzyć się w głowę, skoro w takim momencie dopuszczam do siebie podobne myśli. Coś ewidentnie nie działa tak, jak należy. Przyciąga, choć nie powinno.

– Czyli jednak się boisz, ale uważasz, że jakbyś mnie poznała, to lęk byłby mniejszy. – Bardziej stwierdza, niż pyta, ale i tak mam przeczucie, że powinnam mu odpowiedzieć.

– Prawdopodobnie.

Mruży oczy. Rumieniec nie znika z mojej twarzy, a raczej jeszcze bardziej się nasila, kiedy ciemne tęczęwki łapią mnie w swoje objęcia i na nowo paraliżują. Sądzę, że on doskonale wie, co kłębi się w mojej niespokojnej głowie. Co się w niej dzieje, odkąd tylko zobaczyłam go po raz pierwszy. Nie zdradza się z tym, ale wie.

– Rozumiem – rzuca krótko, a ja niemal podskakuję w miejscu, gdy gwałtownie podrywa się z siadu.

Niczego mi nie tłumacząc, przechodzi w stronę kuchennych szafek znajdujących się po drugiej stronie pomieszczenia. Otwiera jedną z nich i przykuca. Wokół jest zbyt ciemno, nie widzę dokładnie, co tam robi, ale słyszę, że czegoś w niej szuka.

Powinnam stąd uciec.

– Skoro tak dzielnie radzisz sobie na ulicy, to pewnie też zdajesz sobie sprawę, że przebywanie sam na sam z nieznanym w obcym mieszkaniu może być potencjalnie niebezpieczne – zagaduje, nie przerywając swoich poszukiwań. – Taki ktoś może zrobić cokolwiek, na co najdzie go ochota, i czuć się bezkarny, bo przecież nikt nie będzie cię szukał. A nawet gdyby, to nigdy ten ktoś nie zostanie połączony z twoim zniknięciem, bo domyślam się, że nikogo nie poinformowałaś, że kiedykolwiek się spotkaliście...

Muszę uciec. Teraz. Natychmiast.

Chcę podnieść się z materaca, ale zanim mam szansę wykonać chociaż jeden ruch, nieznanemu odsuwa się od szafki i odwraca w moją stronę. Wraca do mnie, niosąc jakieś pudełko.

Za późno...

Nie chcę wiedzieć, co w nich trzyma. Czuję jedynie, jak zasycha mi w gardle, gdy ponownie zajmuje swoje miejsce.

– Takie spotkanie może być cholernie niebezpieczne, ale tylko z nieznanymi. Zgodzisz się ze mną?

Przytakuję oniemiała.

– No, ale myślę, że możemy to jakoś zmienić. – Wyciąga przed siebie dłoń, a ja ściskam ją niepewnie, bo nie wiem, czego jeszcze się po nim spodziewać. – Samuel Ward.

– Skyler Ayres – mówię pewnie, zanim w mojej głowie kształtuje się myśl, że może jednak lepiej byłoby skłamać.

– Sky – powtarza.

Mam wrażenie, że robi to tylko po to, żeby sprawdzić, jak moje imię brzmi w jego ustach. Nie wiem, czy mu się podoba, ale sposób, w jaki artykułuje kolejne litery, sam tembr jego głosu, robią ze mną coś niedobrego. Bardzo, bardzo złego. Sprawiają, że mój mózg zmienia się w papkę, choć już wcześniej może nie działał prawidłowo. Ale działał! Jakkolwiek! A teraz czuję, że się zawiesiłam.

Potrafę tylko się gapić. To na pewno dalsze skutki tej niespodziewanej kąpieli w rzece. I szoku. To drugie zdecydowanie.

– Nie mogło być lepiej – dodaje.

Przesuwam wzrokiem po jego twarzy, starając się nie skupiać już wyłącznie na oczach, żeby znowu mnie nie sparaliżowały. To wcale nie jest lepsze. Cała reszta jest równie interesująca. Intrygująca. Na prawym policzku ma świeże ślady zadrapań, jakby niedawno stoczył bój z dzikim zwierzem. Nie wiem, kto wygrał ten pojedynek, ale Samuel dzięki temu zdecydowanie zyskał na drapieżności. *Jakby wcześniej mu jej brakowało...* Kilka zaczerwienionych kresk rozciąga się od zewnętrznego kącika oka i mknie w dół, w poprzek policzka. Nie jestem pewna, jak daleko sięgają, bo maskuje je kilkudniowy ciemny zarost okalających jego szeroką szczękę. Zatrzymuję się dłużej na ustach, a on rozciąga je w diabolicznym uśmiechu.

– To dla ciebie. – Wskazuje na pudełko, na które zerkam ukradkiem i zaraz ponownie wracam wzrokiem do niego. Nic nie rozumiem. – Paczka sucharów. Zakładam, że dla kogoś, kto żyje na ulicy, to luksus, nie?

– Ja... – próbuję się odezwać, w jakiś sposób zareagować na ten prześmiewczy ton, ale on mi na to nie pozwala i natychmiast wchodzi w słowo.

– Skoro już uprzejmości mamy za sobą i jest tak miło i fajnie, to możemy to na tym etapie zakończyć, zanim zrobi się jednak zbyt przyjemnie. Wieczorek zapoznawczy dobiegł końca. – Wstaje, ale ja nie ruszam się z miejsca. Każdy jego ruch jest nieprzewidywalny, tak jak nieprzewidywalny był ten podarek. – Na co czekasz? Jak tylko jesteś już w stanie, bierz to i spadaj. A raczej leć. Wracaj tam, gdzie radzisz sobie najlepiej, aniołku. Do tego swojego wymarzonego nieba.

– Ale... Do nieba? – Patrząc na niego osłupiała, a on się śmieje, ale w sposób pozbawiony radości. Bardziej kpiący niż rozbawiony. Cóż, wcale mu się nie dziwię. To zabrzmiało kretyńsko. Sama mam ochotę wydrapać sobie mózg i zakneblować usta. Nie wierzę, że takie słowa mogły kiedykolwiek je opuścić.

– Do nieba, do nieba, gotowa do startu? – szydzi. – Przecież ja nikomu nie obiecuję bezpieczeństwa. Paczka sucharów jeszcze nigdy

nie okazała się poduszką bezpieczeństwa. Nie wylądujesz na niej mięciutko. Choć, jeżeli tak bardzo pragniesz zapewnień, to mogę jedynie zagwarantować, że doświadczysz wielu złych rzeczy z mojej strony, gdy tu zostaniesz. – Nie musi mnie zabijać. Jego wzrok już to zrobił. Mentalnie jestem trupem. – Wciąż się wahasz? Faktycznie, tam u góry pewnie nie znają zbyt wielu rozrywek. Ale może wolisz je poznać wbrew wszelkim zasadom? Tylko wiesz, musiałybyś zboczyć z drogi, a do tego jakoś nie jest ci spieszno. A może jest, tylko sama o tym nie wiesz?

On jest obłąkany.

A ty niby jesteś normalna? Od kiedy?

– Wychodzę – rzucam przez zaciśnięte zęby i podrywam się na równe nogi. Kieruję się do wyjścia, a za sobą ponownie słyszę jego śmiech.

Rozdział 11

Samuel

Detroit mimo licznych wad ma też swoje zalety. Kilka. Jedną z nich jest to, że można w nim zgubić samego siebie. Ktoś, kto nie chce zostać odnaleziony, przy odrobinie szczęścia spełni tutaj swoje marzenie. Pod warunkiem, że nie popełni błędu i stale będzie zachowywać czujność. W końcu najwięksi tajniacy w pewnym momencie wypływają na powierzchnię. Bo muszą. Sami stają się poszukującymi, gdy ich potrzeby wymykają się spod kontroli i narastają. W końcu okazują się tak olbrzymie, że nie ma dobrego kamuflażu, by je zakryć. Można się wtedy poddać albo wręcz przeciwnie, spełnić je jak najprędzej i znowu ukryć się w oparach codzienności, zanim ktokolwiek się zorientuje.

Można, ale do tego trzeba mieć rozum, kurwa. Vicky ewidentnie go zgubiła. Zachowuje się tak, jakby tylko w nocy mogło spotkać ją coś złego. Jakby dzień, a przede wszystkim słońce, były jej tarczą obronną, przez którą nic nie przeniknie. Nie wie, że jasne promienie mogą porazić ją samą, oślepić równie dobrze jak wroga. A może już to zrobiły, skoro pozwala sobie na takie akcje.

Ułatwiła mi to zadanie. Nie żeby od początku sprawiało jakieś trudności. Poszukiwania zajęły mi dwie noce. Niewiele, ale przez to musiałem odsunąć w czasie własne plany. Znowu. To mnie wkurwia. Zwłaszcza że wyznaczone zadanie nie było wyjątkowo trudne i ktoś inny z powodzeniem mógłby się tym zająć. Wystarczyło popytać w odpowiednich kręgach, przekupić kilka znaczących osób, a potem już tylko podążać ścieżką utworzoną z usłyszanych półprawd, i zabawa w chowanego została brutalnie przerwana. A raczej zostanie. Za moment. Lily sama mogłaby do tego doprowadzić. Gdyby tylko chciała, gdyby zależało jej choć odrobinę bardziej

i włożyłaby w to więcej wysiłku... Ona poszła na łatwiznę. Nie dociekam dlaczego.

To nie moja sprawa.

Dopóki czerpię z tego korzyści, mogę odwalać brudną robotę, nie zadając przy tym zbędnych pytań i nie doszukując się ukrytych motywów.

Udaję pieprzoną oazę spokoju, ze znużeniem obserwując znajdujący się w centralnej części placu wagon, przy którym bawią się dzieci. Są beztroskie, radosne, ale ta wielka radość nie jest zaraźliwa. I nie jest też trwała. Wystarczy, że jedno z nich mnie zauważy, a cała banda natychmiast się rozprasza. Boją się. Wyłapuję ich wystraszone spojrzenia, gdy po kolei wskakują do wnętrza wagonu, by się schować.

Kurwa. Największy respekt budzę wśród dzieci... Nie wiem, kiedy tak bardzo się stoczyłem, ale to nieistotne. Chwilowe. Minie.

Opieram się o mur, tuż przy wejściu do zaułka. Ślepa uliczka, nie ma z niej ucieczki. Vicky po wszystkim będzie musiała przejść obok mnie. Pierwszy błąd. Sama pozbawiła się możliwości, pozwoliła zamknąć się w klatce, a gdy dostarczę ją Liliann, znajdzie się w jeszcze mniejszej. Czekam tylko, aż skończy obsługiwać kolesia. Głośny typ, nie wie, co to dyskrecja. Błąd numer dwa, dowód na to, że komuś tutaj zaczynają się mylić kroki. Gleba jest nieunikniona. Vicky grzotnie o nią, aż zabębni. Ale po to tutaj jestem. Podniosę ją z kolan. Nawet gdy będzie się zapierać.

Odcinam się od docierających do mnie dźwięków, które zwiastują nieunikniony finał tych wątpliwych atrakcji. Nie jest mi żal. Każdy pracuje na swój los, a Vicky... To tylko kolejna naiwniara. Wielka. Może nie aż tak jak Sky, ale trudno z nią konkurować, drugiej takiej na świecie nie ma.

Zamykam oczy, wystawiając twarz do słońca, które na chwilę wydostało się spomiędzy deszczowych chmur. Wracam myślami do chwili, gdy Skyler opuszczała moje mieszkanie. Niepewnie, spoglądając przez ramię kilkakrotnie, jakby nie wierząc we własny fart albo spodziewając się, że jednak postanowię ją zatrzymać lub ukatrupić, gdy tylko odwróci się plecami. Rozważała taką możliwość, a mimo to właśnie do tego dopuściła. Straciła mnie z pola widzenia.

I niby ktoś z tak niskim instynktem samozachowawczym żyje na ulicy już dłuższy czas? Kogo ona chciała oszukać? Mnie nie nabrała. Ściemniała tak, jakby wydawało jej się, że może beztrąsko paplać, co ślina przyniesie na język, i okłamywać wszystkich wokół, i że, co lepsze, ta sztuka skończy się powodzeniem, a nikomu nie uda się odsłonić kart przed czasem. *Akurat*. Nie miała szans w starciu z zawodowym łgarzem. Wiele rzeczy ją zdradzało już na starcie. To, że była zbyt ufna, zbyt delikatna i strachliwa. Zbyt dobra.

Zero charakteru.

Gdyby miała szansę pobyc tu dłużej, ulica by ją zeżarła i wypluła. Wielokrotnie. Nie podchodziłaby do wszystkiego w ten sposób. Gdyby była choć odrobinę bardziej świadoma mechanizmów, jakie rządzą światem, nie wrzeszczałaby jak dzika, ściągając na siebie uwagę, a nawet jeśli by to zrobiła wbrew sobie, to prędzej odgryzłaby mi ręce i wydrapała ściany, by się uwolnić, kiedy tylko poznałaby, że ja to ja. Nie gapiłaby się na mnie jak urzeczona, raczej spierdalałaby jak najdalej. Zrobiłaby to, bo wiedziałaby, że tak trzeba. A ona nie wiedziała.

Wciąż nie wie.

Do moich uszu na nowo docierają dziecięce piski, choć wydawało mi się, że stłumiłem je dostatecznie samą swoją obecnością. Otwieram oczy i lokalizuję nowe źródło dźwięku. Ktoś wywabił dzieciaki z wagonu. Szaleją radośnie, jakby to, co wydarzyło się chwilę wcześniej, nie miało nigdy miejsca. Są wszystkie, nawet te najbardziej strachliwe.

I wśród nich ona.

Anielica zaprzyjaźniła się z bandą kretynów. Zgrzytam zębami, ale nie reaguję. Nie chcę, bo i bez tego czuję, jakby ktoś właśnie wsadził mnie do ciasnego pudełka. Gdziekolwiek się nie ruszę, w którąkolwiek stronę się nie obrócę, zawsze to samo. *Jeb*, wpadam na ścianę. Moja interwencja jest tutaj zbędna. Sky też w końcu tego doświadczy. Samo pozerstwo to za mało, żeby przetrwać w takich warunkach. Udawanie siłacza nigdy nikomu nie wyszło na dobre na dłuższą metę. Wywalczona pozycja staje się zbyt chybota. Niepewna. Ostatecznie okazuje się iluzją.

Nie wiem, czemu ona tego nie rozumie. Wystawiłem ją na próbę i dałem szansę, z której nie skorzystała. Zamiast wrócić do swojego świata, z którego ewidentnie się urwała na chwilę, i skończyć tę szopkę, dalej bawi się w niańkę małych obdartusów i udaje, że to jej pasuje, że wszystko gra. Mogę udowodnić, że jest w wielkim błędzie.

Później.

Słyszę odgłos zbliżających się kroków, więc wyrzucam z głowy niepotrzebne myśli. Z zaułka wychodzi ubrany w najtańszy garniak podstarzały koleś. Obrzuca mnie krótkim spojrzeniem, ale widocznie nie stanowią dla niego zagrożenia, bo jedynie poprawia marynarkę i pośpiesznie się oddala. Po chwili znika za rogiem. W jego ślad chce udać się Vicky, ale na to jej nie pozwalam. Kiedy tylko zauważam, że się wychyla, chwytam ją za rękę, zasłaniam dłonią jej usta, zanim ma szansę krzyknąć, i wciągam z powrotem.

– Standardy ci się pogorszyły.

Trzymam ją mocno, choć szarpie się i próbuje wyswobodzić. Umożliwiam jej tylko zaczerpnięcie głębszego oddechu, ale nadal miażdżę ją w swoich objęciach.

– Niby cię to interesuje? – prychna wściekle. – Ostatnio nie chciałeś mnie słuchać! Nie pamiętasz?

– A ty pamiętasz, jak mówiłem, żebyś nie gryzła ręki, która ci pomaga? Ostrzegałem, co się stanie, jeżeli do tego dojdzie – szepczę tuż przy jej uchu. – A ty znowu to zrobiłaś. Pogryzłaś ją, Vicky. Będziesz musiała ponieść konsekwencje.

– Co? Nie! – Ponawia próbę uwolnienia się, ale nieudolnie. Jedynie sama pozbawia się sił. – Ty niczego nie rozumiesz! Musiałam to zrobić! Ja chciałam odejść!

– Mogłaś to zrobić na normalnych warunkach i grzecznie podziękować za współpracę, ale wolałaś uciec jak szczur, a przy okazji ruszyć to, co nie było twoje. Tak się zachowują porządni ludzie?

– Porządni? A ona niby taka jest? Nie bądź śmieszny! Naprawdę uwierzyłeś, że każda może wycofać się, kiedy chce? Jesteś w nią taki zapatrzony czy głupi? – warczy wściekle, ale odpuściła sobie szamotaninę. – To Liliann pilnuje wszystkiego i decyduje, kto jest jej potrzebny, a kto nagle tajemniczo znika. Za dużo kasy w nas

inwestuje, żeby pozwolić nam na samowolkę. Na każdą ma haka. Czasem jest to nagranie z pracy, ale tym, którym nie zależy na dyskrecji, grozi czymś więcej.

– Chcesz mi powiedzieć, że dokumenty, które zabrałaś, należały do ciebie?

– Zabrała mi na samym początku. Bez nich nie przekroczę granicy, a muszę. Chcę wrócić do domu, do siostry – mówi szybko, prawie dławiąc się słowami. – Robiłam to tylko dla niej. Ona... ona umiera, Sam. Pieniądze, które tu zarabiałam, przesyłałam na jej konto, miały pokryć koszty leczenia. Tylko że po tym, jak opowiedziałam ci, kto zabił Ollie, po całej tamtej akcji, Lily się wściekła i przestała mi płacić tyle, co dawniej. Ledwo wystarczało mi na jedzenie, na utrzymanie samej siebie, a co dopiero mówić o dzieleniu się z kimś jeszcze.

Zastanawiam się nad tymi słowami. Szukam w nich prawdy. Wiem, do czego zdolna jest Liliann, ale wiem też, że Vicky potrafi mieszać.

Nie ufam żadnej z nich.

– Coś mi tu nie gra, kotku – szepczę jej do ucha. – Niby dlaczego uważasz, że Liliann nie chciała, żebym dowiedział się prawdy? Dlaczego miałyby cię za to karać, skoro sama obiecywała, że postara się dowiedzieć i dostarczyć mi te informacje?

– Nie wiem! Może to jednak nie chodziło o ciebie. Może to zbieg okoliczności, a rozwścieczył ją tylko tamten nalot. Gdyby nie interwencja Shane'a, byłoby bardzo źle. I to przeze mnie. Przecież wiesz. Sam twierdziłeś, że za dużo wtedy wygadałam. Lily się to nie spodobało...

– Pamiętam – ucinam, bo nie chcę słuchać, jak bardzo tego wszystkiego żałuje. Prawda jest taka, że zaważyła. Liliann sporo kosztowało, by wymazać pamięć tym, którzy dowiedzieli się zbyt wiele. – To co tu robisz do tej pory? Masz, co chciałaś, powinno cię już dawno nie być w Detroit.

– Ironia. Spóźniłam się na ostatni autobus i musiałam gdzieś się zatrzymać. Pierwszą noc spędziłam w noclegowni. Myślałam, że ona nie będzie mnie tam szukać. Rozumiesz... Że skupi się bardziej na motelach, hotelach, skoro wyciągnęłam zaległe pensje. I Lily faktycznie się nie pojawiła, ale tamci ludzie, bezdomni... Oni mnie

okradli, kiedy tylko usnęłam. Znowu zostałam z niczym, a potrzebuję pieniędzy na bilet. Staram się je odpracować na własną rękę, ale póki ich nie załatwię, muszę się ukrywać. Niewiele mi brakuje. Nie zdradzaj mnie, proszę!

– Sama się zdradzasz. Wystawiasz się tutaj jak na tacy. Myślisz, że jak ścięłaś kłaki i zafarbowałaś je na odwal się, to jesteś nie do rozpoznania? – Chwytam w garść krótkie blond włosy, ściskam je mocno przez chwilę i puszczam. – Kamuflaż, kurwa, pierwsza klasa. Jesteś tak bardzo zdesperowana, że nawet tego nie zauważasz.

– Daj mi szansę. Puść mnie, udawaj, że wcale mnie nie znalazłeś, a będę ostrożniejsza. Nikt więcej się o tym już nie dowie.

Mój wzrok ucieka w stronę centralnej części placu. Skupiam się wyłącznie na Sky. Dzieciaki szaleją wokół, a ona stoi pośród nich z uniesioną głową. Spogląda do góry z rozmarzeniem, a ja po chwili rozumiem już dlaczego. Chwilowy przebłysk słońca minął, a nad nami zawisła właśnie najciemniejsza z chmur, i to z niej powoli spadają na nas coraz większe krople deszczu. Skyler nie wydaje się zniechęcona. Szybko się otrząsa, przymyka powieki. Wyciąga szeroko ręce, jakby szykowała się do lotu. Luźne rękawy jej swetra niemal imitują skrzydła. Przydymione, pokryte wszechobecnym brudem, ale wciąż gotowe, by pomóc jej wznieść się ponad ograniczenia, jeżeli tylko będzie tego potrzebować.

Pieprzony anioł...

Choć, kurwa, nie jestem przekonany, czy Sky ma tak naprawdę cokolwiek wspólnego z rajem.

Może i tak wygląda. Może i stwarza pozory. Tylko że wygląd to nie wszystko. Liczy się coś więcej, a ten, kto powiedział, że anioły są ciche i spokojne, nigdy nie słyszał diabelskich wrzasków wydobywających się z jej ust poprzedniej nocy. Jakby była spalana żywcem. I to spojrzenie, gdy w końcu przestała się pode mną szamotać! Wszystkie te obrazy stają mi przed oczami. Rzeczywiście wyglądała anielsko. Prawdziwy anioł zemsty. Upadły, ale wciąż mający w sobie iskrę, której wystarczy niewielki zapalnik, żeby znowu się wzniecić z całą mocą. Sprawiała wrażenie, jakby mogła mnie zetrzeć z powierzchni ziemi. Jakby to był dla niej pikuś. To mi się podobało. Do czasu, bo i nie trwało wiecznie. Patrzyła tak,

dopóki jeszcze nie rozpoznała, z kim ma do czynienia. Potem wszystko szlag jasny trafił. Zmiażdżyła mnie swoją łagodnością.

Ona nie przetrwa tutaj zbyt długo.

– Sam, błagam...

Przenoszę wzrok na Vicky. Jeszcze nigdy nie widziałem, aby patrzyła na kogoś z tak wielką desperacją. Ważę w rękach prawdę, dokładam możliwe korzyści i szacuję straty. Szalka się wyrównuje, ale ostatecznie intuicja dociska ją na swoją korzyść brudnym paluchem. Oszukuje, ale kto by się z nią kłócił.

– Ostatnia szansa. Wyrównuję nasze dawne rachunki i dam ci jeden dzień na opuszczenie miasta. Jeżeli jeszcze raz wpadniesz mi w łapy, lądujesz u Liliann. Nie będę miał więcej skrupułów, rozumiesz?

Przymykam oczy i rozluźniam chwyt, a Vicky wykorzystuje moment. Wyrywa się z moich objęć. Ucieka, gna przed siebie jakby na złamanie karku. Mógłbym ją dogonić, gdybym tylko zmienił zdanie. Wybieram jednak inny cel.

Rozdział 12

Skyler

Jestem wolna.

Przynajmniej byłam. Przez całe dwie minuty. Do momentu, aż nie opuściłam tamtego mieszkania i na nowo nie dopadły mnie wątpliwości. Cóż, fakty pozostają faktami, a te obecnie przedstawiają się tak, że nawet porywacze, z pozoru sadystyczni i nieprzewidywalni, nie mają najmniejszych oporów, aby wystawić mnie za drzwi, gdy odkrywają, z jak zwichrowaną, niespokojną duszą mam do czynienia. Wcale nie czuję już ulgi. Wręcz przeciwnie. Chociaż, budząc się w obcym miejscu, uznałam, że wpadłam z deszczu pod rynnę, to aktualnie, będąc pozbawiona jakiegokolwiek punktu zaczepienia, śmiało mogę uznać, że dopiero teraz prawdziwie tonę. Ponownie. Tym razem przychylne prądy nie wyrzucą mnie na brzeg.

Przyznaję, punkt widzenia zależy od punktu... leżenia. Okupując całkiem miękki i wygodny materac w mieszkaniu Sama, źle oceniłam sytuację. Przeanalizowałam ją jeszcze tego samego dnia, kiedy wieczorem otulałam się brudnymi kocami, kładąc się na drewnianej podłodze wewnątrz opustoszałego wagonu i zaciskając mocno powieki w niemej modlitwie o szybki sen. Było to jedyne miejsce, które przyszło mi do głowy, gdy desperacko próbowałam znaleźć jakieś schronienie, nie będąc jednocześnie zmuszoną do powrotu do mieszkania. Spędziłam tam kolejne dwa dni. Aż do teraz. Nie mogłam postąpić inaczej. Uznałam, że póki Philip myśli, że zginęłam, jestem względnie bezpieczna. Przynajmniej jeżeli chodzi o zagrożenie z jego strony.

Cała reszta to jakiś koszmar.

Powinnam wrócić i wziąć się za barki ze wszystkimi konsekwencjami, przed którymi uciekałam przez lata. Nie potrafię,

ale bezczynność boli równie mocno. Najbardziej martwi mnie to, jak moje zniknięcie musi przeżywać matka. Nie rozstałyśmy się w zgodzie, ale mimo wszystko jednej straty już doświadczyła i nie chciałam, by musiała mierzyć się z kolejną. Teraz pewnie jest jeszcze gorzej. Mogę tylko domyślać się, jaką historię przedstawił jej Philip i jak bardzo stara się ją właśnie pocieszyć. To obrzydliwe, ale wciąż niewystarczające, żeby zmusić mnie do powrotu. *Tchórzliwa egoistka*. Wiem, że on tak szybko nie odpuści i gdy tylko dostarczę mu okazji, na nowo zacznie prowadzić swoją grę. Dlatego tkwię na ulicy, choć nie potrafię się tu odnaleźć.

Najgorsze są noce.

W porównaniu z nimi obecność Samuela i jego zachowanie nie wydają mi się już takie przerażające. Wręcz przeciwnie. Ulotna myśl, ale przez chwilę miałam nawet wrażenie, że to właśnie on i tylko on jest w stanie przeświecić moją duszę na wylot i poznać wszystko to, co w niej skrywam. Zobaczyć, co jest ze mną nie tak. Cholernie bardzo sama chciałabym się tego dowiedzieć. Nie wiem, czy dałby radę to naprawić, ale prawdopodobnie by się tego nie przestraszył. Może, bo nie wyglądał na lękliwego. Niepoczytalnego? Może. Pewnie, że tak. Ale na pewno nie strachliwego. Mógłby równać się z moją nienormalnością. Chyba. Pragnęłam go o to zapytać. Poznać odpowiedź chociaż tylko na to jedno pytanie, ale on odwrócił wzrok i wszystko minęło, a ja bardziej niż nieznanego przestraszyłam się swoich myśli. Tej pieprzonej desperacji w dążeniu do poznania. Kogoś. Kogokolwiek, kto potrafiłby mnie zrozumieć. Ocalić przed samą sobą. Szczególnie w takiej sytuacji.

Nie, on nie mógł tego zrobić.

Mimo wszystko zdecydowałabym się na to towarzystwo ponownie, by umknąć samotności. Dobry wybór? Raczej wątpliwy. Jednak w tej sytuacji nie ma mowy o podejmowaniu racjonalnych decyzji.

Fizycznie już mi lepiej, wciąż męczy mnie osłabienie, ale powoli dochodzę do siebie. To psychicznie rozsypuję się coraz bardziej. Nie wiem, czy komuś udałoby się odwrócić jeszcze ten proces. Ja sama tego nie potrafię. Czuję się, jakbym bujała się na huśtawce, a co gorsza, nie mogła z niej zejść. Mechanizm poszedł w ruch, ostatnie dni popchnęły mnie zbyt mocno w plecy, sprawiły, że tego już nie da

się zatrzymać, choć ze wszystkich sił staram się coś zmienić, nogami zaprzeć się o ziemię i zaburzyć narzucony rytm. Bez efektów. Nadal zaliczam wzloty, nagle przypląwy dzikiej odwagi i niepoprawnego optymizmu, ale trwają tyle, co nic. Opadanie trwa dłużej i jest bardziej wyczerpujące.

Właśnie dlatego wariuję. W sensie wiruję. Chodzi mi o to drugie. Oczywiście. Chciałam odreagować i mam za swoje. Kręci mi się w głowie, choć sama nie wiem, czy od nieprzerwanego obracania się wokół własnej osi, czy niekończącej się batalii myśli. Postanawiam przerwać jedno i drugie.

Przysiadam na progu wagonu, by schronić się przed zacinającym deszczem, który zaczął zdecydowanie zbyt mocno chłostać mnie po twarzy. Zamiast mnie otrzeźwić i postawić do pionu, jak tego oczekiwałam, boleśnie dał mi nauczkę, że nie powinnam się tak wystawiać.

Nigdy więcej.

Obok mnie miejsca zajmują dwaj chłopcy. Ben wraz z Mikim. Jeden wysoki i szczupły jak tyczka, drugi sięga mu zaledwie brody i ma krągłe jak pączki policzki. Obaj pochodzą z rodzin zamieszkujących kamienice na obrzeżach Morningside. Nie są do końca wykluczeni, ale nie są też ustawieni ani bezpieczni. Jeżeli nie będą uważać, stoczą się, a centrum ich wciągnie i nie wypuści. To oni ostatnio pobili się o podarowaną im zabawkę, ale widać, że drewniany samochodzik nie podzielił ich na długo. Nie wiem, kto w tym momencie jest w jego posiadaniu, bo nigdzie go nie widzę, ale między tą dwójką najwyraźniej panują już dawne, kumpelskie stosunki.

– Gdzie Aaron i Emma? – zagaduję i rozglądam się wokół, mając nadzieję, że zaraz się zjawią. Ich nieobecność budzi we mnie same najgorsze uczucia, bo do tej pory nie znikali na dłużej. Tymczasem, odkąd Aaron dosadnie dał mi do zrozumienia, że nie powinnam tu już przychodzić, sami nie pokazali się ani razu na placu.

– Nie ma. – Ben wzrusza ramionami. – Przyszedł do nich pan policjant i zabrał ich. Zepsuł nam całą zabawkę!

– Aaron nie chciał jechać i uderzył go w nos! A policjant zrobił się taaaki czerwony! Jak pomidor! Ale było! – ekscytuje się Miki.

– No. Tyle brakło, żeby wybuchnął! Tyle! – krzyczy jego kolega, pokazując między palcami, jak niewiele dzieliło od eksplozji. – Ale zabrał go i tak. Tak pod pachę złapał, a potem wsadził do auta. Jego i małą Em. Ona krzyczała tak, że szyby prawie pękły! Mama ich goniła, ale gdzie tam dogonić auto, i to takie na sygnale!

– Trzeba mieć supermoce!

– Tak! A ona nawet biegać nie umie. Jedynie super buja się na boki. – Chichra się Ben.

– A teraz gdzie jest? – pytam, czując, jak stalowa obręcz coraz mocniej zaciska się na moim sercu. To ja do tego doprowadziłam. Kolejna rzecz, którą skomplikowałam swoim bezmyślnym zachowaniem. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak Aaron bardzo mnie w tym momencie nienawidzi. – No wiecie, mama Aarona i Em. Wiecie, gdzie jest w tej chwili? – dodaję pośpiesznie, bo przyglądają mi się niepewnie, jakby nie rozumieli, o co ich pytam. Albo po co to robię. Sama się nad tym zastanawiam. Powinnam skupić się na własnej, niepewnej sytuacji, ale nie umiem całkowicie odciąć się od tych dzieciaków.

– No nie wiadomo. Poszła gdzieś i znikła. O, i deszcz już nie pada! To my też już idziemy, cześć, Sky!

Zostaję sama ze swoimi myślami, a i one nie chcą stać w jednym miejscu, już zdążyły wskoczyć na wyższy bieg i zacierają w wyznaczonym kierunku. Ledwo udaje mi się je faktycznie dogonić. Ale idę. Zmierzam prosto w stronę mieszkania Campbellów. Mieszkania... Dobrze sobie. Z trudem przychodzi mi nazwanie tak rozlatującego się budynku, w którym nocują. Dzieciaki nie chcą przebywać tam zbyt długo, wolą włóczyć się całymi dniami po ulicach. Wcale mnie to nie dziwi. To w końcu samo centrum Morningside, najuboższej dzielnicy Detroit. Z niej niewielu udaje się wydostać. Tej rodzinie to nie wyszło.

Byłam u nich kilka razy. Ostatnio tuż po tym, jak mała Emma, siedząc mi na kolanach, wyznała cichutko, że ojciec mocno sprzał Aarona, i to za to, co sama zrobiła. Przypadkiem szturchnęła stół i wylała stojące na nim otwarte piwo. Ojciec wpadł w szal, a brat stanął w jej obronie. Dostał więc podwójnie, również za nią, żeby sama nie oberwała. Zagotowałam się tak bardzo, że nie mogłam tego

zignorować. Zwłaszcza kiedy zobaczyłam, jak chłopiec wygląda. Starłam się im pomóc, podsunąć ich matce gotowe rozwiązanie pod nos, ale nie chciała słuchać. Wyręczyłam ją. I właśnie mogę obserwować tego efekty. Trudne. Ale może pozytywne? Czas pokaże, choć chcę zacząć sprawdzać już dziś.

Pukam do drzwi, raz i drugi, ale nikt nie otwiera. Podchodzę z przodu budynku i zaglądam przez zakurzone okno. Krzywo zawieszona, pożółkła od dymu papierosowego zasłonka przysłania mi widok, chociaż nie na tyle, żebym nie mogła stwierdzić, że wewnątrz nie ma nikogo.

Nic tu nie ugram. Nie tym razem.

Odsuwam się nieco. Szyba jest zbita, pokryta pajęczyną pęknięć, ale i tak mogę dojrzeć w nim swoje odbicie. Ledwo poznaję samą siebie. Twarz pociemniała mi od unoszących się w powietrzu pyłów, podobnie jak ubrania. A włosy! Staram się przeczesać je palcami, ale te grzęzną w plątaninie kołtunów, które jeszcze nie tak dawno układały się w blond sprężynki. Nie tylko zewnętrznie wyglądam potwornie, wewnętrznie czuję się zmielona na papkę. Jestem zmęczona, koszmarne obolała i głodna.

Głodna...

Przez chwilę losy innych przestają mieć znaczenie. Mam wrażenie, że ktoś uderzył mnie właśnie w brzuch. Mimowolnie przyciskam do niego rękę, żeby stłumić bolesny skurcz. Pracując w agencji, przyzwyczaiałam się do tego, że kiedy wpadałam w wir pracy, mogłam funkcjonować o tlenie i wodzie. Na krótko. Dopiero teraz uświadamiam sobie, co to znaczy głód i jak słabo się przez to czuję. Wirowanie w głowie i mdłości, które dokuczały mi już wcześniej, to nie tylko efekt wrażeń i stresu.

Muszę znaleźć coś do jedzenia.

Nigdy tak naprawdę nie zastanawiałam się, skąd ludzie, którzy są zmuszeni mieszkać na ulicy, zdobywają posiłki. Zwykle to ja im je dostarczałam prosto z Fundacji. Raz na kilka dni... A co robili w chwilach, gdy nie mogli liczyć na wolontariuszy?

Odpowiedź sama nasuwa mi się na myśl, gdy spoglądam w stronę kontenera ustawionego po przeciwnej stronie ulicy. Zdesperowana zbliżam się do niego. Nie sądziłam, że upodlę się tak bardzo, ale

nigdy też nie spodziewałam się, że moje życie może odwrócić się do góry nogami. Zaciskam zęby i zaglądam do środka, a smród rozkładających się śmieci niemal uderza mnie w twarz. Cofam się gwałtownie, zamykając oczy i starając się opanować gorzką falę, która w jednej chwili napłynęła mi do gardła.

– Ej, zjeżdżaj stąd, kurwa! Czego tam szukasz?

Odwracam się w kierunku, skąd dobiega znajomy głos. Niedaleko za mną stoi kobieta, a raczej wisi na ramieniu towarzyszącego jej mężczyzny. Obok nich, choć bardziej na uboczu, zatrzymał się jeszcze jeden facet. Ona sama nie wygląda najlepiej. Ma wychudzoną twarz przeoraną okropnymi bliznami, jakby po niedoleczonej ospie. Brudne ubranie wisi na niej luźno, a ciemnobrązowe, podkrążone sinymi cieniami oczy wpatrują się we mnie z mieszaniną zaciekawienia i olbrzymiej niechęci, która z każdą upływającą chwilą zdaje się coraz bardziej dominować. Już wiem, z kim mam do czynienia.

Matka Aarona i Emmy.

– To ty! – woła, kiedy i jej w końcu udaje się dojrzeć we mnie osobę, która ściągnęła na nią ostatnio dodatkowe problemy. Ciekawość ucieka z jej spojrzenia, teraz obrywam tylko palącą nienawiścią. – Przez ciebie mi je zabrali! Aaron ostrzegął...

Nie mam szans zapobiec temu, co dzieje się chwilę później. Moment nieuwagi i Hannah rzuca się na mnie z tak wielką wściekłością, że kiedy popycha mnie na ścianę, uderzam czołem o mur, nawet nie starając się zamortyzować zderzenia. Boli i oszałamia mnie to na tyle, że nawet się nie przeciwstawiam, kiedy ona niespodziewanie zamyka mnie w mocnym uchwycie, przyciskając swoje przedramię do mojej szyi. Nie wiem, skąd u niej tyle siły, ale ściska tak mocno, że aż przed oczami rozbłyskują mi jasne plamy. Powtórka z rozrywki. Już raz czułam, jak to jest, gdy nie można złapać tchu, mimo że desperacko się próbuje. Teraz jest jeszcze gorzej. Panika wzrasta, a serce chaotycznie obija mi się o żebra. Szarpię się szaleńczo i na moment tracę orientację. Słyszę, że faceci rechoczą, ale nawet nie jestem pewna, z której strony dochodzi ten dźwięk. Sięgam po omacku do jej rąk, próbując je

odsunąć, by móc zaczerpnąć powietrza, ale równie dobrze mogłabym siłować się ze skałą. Efekt byłby podobny.

Rozdział 13

Samuel

W swoim życiu kieruję się zasadami. Kilkoma. Najważniejsza z nich brzmi górnolotnie, ale w gruncie rzeczy jest banalnie prosta: „nie ufaj, podchodź do każdego z dystansem”. Przyswoiłem ją już za dzieciaka. Kolejna? Wiąże się z poprzednią i weszła mi w krew zaraz po śmierci Olivii. „Nie powierzaj nikomu czegoś, co ma w sobie wartość”. Jakąkolwiek. „Dbaj o to sam”. W tym konkretnym przypadku wycena jest trudna, ale ryzyko straty potencjalnie wysokie. Patrząc na ostatnie zdarzenia z boku, może wydawać się, że złamałem własne reguły, ale to tylko pozory. Nie zostawiłbym wszystkiego w rękach losu, bo akurat z tym skurwysynem nigdy nie miałem dobrych kontaktów i na własnej skórze zdążyłem się przekonać, że jego łapy bywają dziurawe. Jestem ostrożny, a patrząc na to, co się dzieje, mogę jedynie pogratulować samemu sobie zdrowego rozsądku. I tyle. Obserwując jej niezdarne próby zadbania o samą siebie, wiedziałem, że prędzej czy później doprowadzi do sytuacji, która ją zgniecie. Zero zaskoczenia, zero przyspieszonej akcji serca. Totalna przewidywalność.

Nie spodziewałem się jedynie, że stanie się to tak szybko. Trudno. Skoro już tu jestem, to idę. Idę prosto w ich stronę.

Anielica nie radzi sobie zbyt dobrze. Została przyparta do muru przez kobietę, ku uciesze dwóch facetów. Próbuje się uwolnić, ale bezskutecznie. Im mocniej się szarpie, tym bardziej opada z sił. Obserwuję tych typów, zastanawiając się, czym Sky mogła im w tym przypadku podpaść. Nie wykluczam opcji, że chodzi o to, że po prostu stanęła na ich drodze. Nie znam jej zbyt dobrze, ale sama obserwacja wystarcza. Ona już tak ma. Pojawia się i wszystko trafia szlag.

– Zaraz odechce ci się mieszać w sprawy, które cię nie dotyczą. Chłopcy, chcecie się trochę zabawić, póki ma jeszcze taką ładną buźkę?! – docierają do mnie coraz bardziej pobudzone okrzyki. – To bierzcie śmiało, bo zaraz tak ją załatwię, że własna matka jej nie pozna! – wrzeszczy atakująca i wypuszcza Sky. Ta ucieka, ale udaje jej się zrobić tylko kilka chwiejnych kroków, bo niemal natychmiast zostaje przechwycona przez jednego ze stojących z boku mężczyzn.

Ten łapie ją za łokieć i przyciąga do siebie, zamykając w uścisku. Skyler piszczy przeraźliwie, ale jego tylko to nakręca. Wciska łapska pod jej sweter, ignorując desperackie błagania i łkanie wyrrywające się spazmatycznie z ust dziewczyny. Zachowuje się, jakby już należała do niego i sprzeciw nic nie znaczył, a raczej przegrywał w przedbiegach z tak brutalnymi roszczeniami do posiadania.

Nie mam ochoty dłużej obserwować tego cyrku.

– Moja kolej – odzywam się spokojnie, a wszystko wokół milknie.

Zdezorientowane, mało bystre spojrzenia koncentrują się na mnie. Nawet Skyler patrzy, choć nie wiem, czy cokolwiek w ogóle widzi, bo jej oczy szklą się od napływających nieprzerwanie łez.

Podchodzę i wyszarpuję ją jednym ruchem, jakbym miał do czynienia ze szmacianą lalką, a nie żywą istotą. To nie sprawia trudności, bo typ puszcza ją bez sprzeciwu. Nie kłóci się. Przez chwilę.

Potem ich szok mija.

Kobieta, która wszczęła tę sytuację, ucieka, wrzeszcząc coś o grze niewartej świeczki i o tym, że i tak miała już dość tych małych, śmierdzących darmozjadów. To jedyna mądra rzecz, na którą się skusiła w swojej obezwładniającej wręcz głupocie. Dwóch jej przyjaciół nie ma jednak zamiaru odpuścić tak łatwo jak ona i rzuca się w moją stronę. Nie zraża mnie to, że mają przewagę. Nakręca mnie buzująca w żyłach adrenalina. Odpycham od siebie Skyler, by nie znalazła się w centrum zamieszania. Potyka się i upada, po czym wycofuje na czworakach pod ścianę, ale jednocześnie jest bezpieczniejsza, niż gdyby stała obok mnie.

Odwracam się, biorąc zamach, gdy pierwszy z mężczyzn dobiega bliżej, a moja pięść zderza się z jego mordą. Facet jest tak bardzo zaskoczony nagłą odpowiedzią, że nie daje rady natychmiast się

wycofać. Szybko jednak się otrząsa. Uderza, a ja oddaję. Raz po raz. Biję na oślep, nie kontratakuję, nawet gdy w jatkę włącza się drugi z mężczyzn. Obrywam więcej, mocniej, mimo to wciąż stoję wyprostowany. Nadal gotowy do walki.

Nie wiem, w którym momencie w dłoni jednego z napastników pojawia się nóż. Zauważam go, a raczej wyczuwam dopiero, gdy przecina rękaw mojej bluzy. Krzywię się, ale to mnie nie spowalnia. Odtrącam jego dłoń, ostrze upada z brzękiem na chodnik. Kopniakiem odsuwam je jeszcze dalej, żeby nie mógł po nie sięgnąć, a w tym momencie drugi zachodzi mnie od tyłu i zakłada chwyt na moim gardle, odcinając dopływ tlenu. Duszę się. Mimo to biorę zamach i na oślep wymierzam mu cios łokciem. Trafiam celnie, bo jęczy głucho, rozluźniając uścisk. Wykorzystuję chwilę jego dekoncentracji i odskakuję, jednocześnie wyciągając zza paska spluwę. *Dość tej zabawy, kurwa.* Chciałem załatwić to uczciwie, ale to oni pierwsi zaczęli grać nieczysto. Mierzę raz w jednego kolesia, raz w drugiego, a oni jak na komendę bledną na widok wycelowanej w nich broni i unoszą ręce w poddańczym geście. Są tacy kurewsko przewidywalni. Wycofują się krok za krokiem, ale nie mam zamiaru pozwolić im się oddalić. Kładę palec na spuście. Naciskam.

– Nie! – słyszę rozhisteryzowany głos Skyler na moment przed tym, jak rzuca mi się na rękę, siłą zmieniając kierunek wystrzału, ale go nie powstrzymując. Za późno.

Huk odbija się echem od ścian, ale pocisk jednak nie dosięga celu, a jedynie z brzękiem uderza o rynnę. Faceci wykorzystują szansę. Rzucają się do ucieczki, nawet nie oglądając się za siebie. Nie decyduję się wymierzyć ponownie, choć mógłbym i trafiłbym bez pudła. Po prostu patrzę w ślad za nimi, dopóki nie znikają za rogiem. Potem przenoszę spojrzenie na Sky. Upadła na ziemię i wciąż tkwi w tej samej pozycji, przyglądając mi się z niepokojem, czekając na reakcję, ale kiedy wyłapuje, że zwróciłem na nią uwagę, sama ucieka przede mną wzrokiem i ciasno otula się ramionami.

– Przepraszam – mamrocze niewyraźnie, nadal zestresowana. – Nie chciałam, żebyś zrobił im przeze mnie krzywdę albo nawet miał ich na sumieniu. To nie było potrzebne. Ja... Ja dziękuję za pomoc.

Już sobie sama poradzę. – Spogląda nieśmiało spod wachlarza ciemnych rzęs.

Nie umyka mi fakt, że nawet się nie wzdryga, gdy jej wzrok koncentruje się na trzymanej przeze mnie broni. Wygląda bardziej na zafascynowaną niż przerażoną. Chowam pistolet, a ona kręci głową, jakby wybudzona z transu.

– Zaraz pójdę, tylko złapię oddech – dodaje.

Te zapewnienia powinny mnie uspokoić, ugłaskać to, co wybuchło w moim wnętrzu w trakcie mordobicia. Nic z tego. Jej widok, ta udawana pewność siebie, do której odgrywania wciąż się zmusza, działają na mnie jak płachta na byka i na nowo rozgrzewają od środka w mało przyjemny sposób.

– Wstawaj – decyduję i podchodzę do niej.

– Ale...

Pomagam jej podnieść się z ziemi i ciągnę za sobą. Powiniennem być delikatniejszy, ale, kurwa, nie jestem. Chcę się oddalić, zanim ta banda kretynów również zorientuje się w swojej pomyłce i zawoła wsparcie albo mnie samego za bardzo poniesie. Sky mi w tym nie pomaga. Początkowo podąża za mną bez słowa, zbyt oszołomiona, żeby się sprzeciwić, ale kiedy wchodzimy do budynku, zaczyna się szamotać. Za wszelką cenę próbuje się wyswobodzić, ale puszczam ją dopiero, gdy zatraskują się za nami drzwi mieszkania. Chciała tego tak bardzo, a jednak nie była gotowa na konsekwencje. Cała ona. Zatacza się i wpada bokiem na ścianę. Patrzy na mnie tak, jakbym ponosił odpowiedzialność za jej niezgrabność.

– Po co to wszystko?! – warczy ze złością. – Mówiłam ci, że dam sobie radę sama! – Prycham na tę niedorzeczność, a ona jeszcze bardziej się gotuje. Trzęsie się, a przez brud na policzkach i szyi zaczynają przebijać się szkarłatne plamy. Zdecydowanie jest wkurwiona. – Po co mnie tu ściągnąłeś?! Nie tak dawno temu chciałeś, żebym zniknęła ci z oczu!

– Najwidoczniej tego nie potrafisz.

– Straszyles mnie celowo, żebym wyszła! Nagle ci się odwidziało?! A może chcesz się na mnie wyżyć za to, że nie pozwoliłam ci ich zastrzelić?! – krzyczy coraz głośniej. – Śmiało! Możesz mnie nawet ukatrupić! I tak nie mam już nic do stracenia!

Nie zwracam uwagi na jej histerię. Wymijam ją bez słowa, podchodzę do drzwi i przekręcam kluczyk w zamku, powodując tym samym, że w końcu milknie.

– Dlatego zamknęłaś drzwi? – pyta już znacznie ciszej, a jej oczy stają się jeszcze większe. Niczym dwa ogromne spodki.

Wcześniej się nie bała, była wkurwiona, ale strach jej nie pętał. Dopiero teraz zdaje się docierać do niej, w jakiej sytuacji się znalazła, i to ją przytłacza. Poznają to po nerwowych ruchach i urywanych spojrzeniach, które rzuca na zmianę to w moją stronę, to w stronę wyjścia.

Uśmiecham się.

– Dla bezpieczeństwa. – Wzruszam ramionami. – Chyba już dostatecznie przekonałaś się, że to nie jest dobra dzielnica. Nie chciałbym, żeby ktoś poderżnął nam w nocy gardła, a nie dam ci gwarancji, że żaden z tamtych kolesi nas nie śledził. – Uciskam nasadę nosa, bo czuję, że wewnętrzny wkurw zaraz rozsadzi mi łeb na kawałeczki. – Powiesz w końcu, czego od ciebie chcieli?

– Nie wiem.

– Serio? – powątpiewam. – Czyli te wszystkie oskarżenia, które wygadywała ta baba, wcale nie dotyczyły ciebie?

Wzdycha.

– Nie jestem pewna, jasne? To znaczy, możliwe, że trochę za bardzo się mieszałam i przeze mnie odebrali jej dzieci... Może dlatego jest taka wściekła. Ale przecież nie chciałam źle! Ja w ogóle nie myślałam, że to zrobią. Prosiłam tylko, żeby z nią porozmawiali. Wiesz, żeby urządzili taką pogadankę, po której mogłaby się zastanowić nad swoim zachowaniem i się zmienić. Dla nich! Jestem pewna, że to by pomogło. Na takie dramatyczne kroki był jeszcze czas. Zupełnie tego nie rozumiem.

Patrzę na nią z niedowierzaniem. Słyszę, ale niemal nie pojmuję słów, które wypowiada.

– Skąd ty się urwałaś...? – mamrocę pod nosem i zamykam oczy. Nie jest mi nawet trochę lepiej. – Ty nadal nie rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi, nie? Nie pojmujesz, że nie wszyscy są tacy, jakimi chcesz ich widzieć. Niektórzy, aniołku, zabiliby za kilka piórek z twoich skrzydeł. Nie wzniesliby się na nich zbyt wysoko,

prawdopodobnie wcale, ale z satysfakcją by cię pograżyli i sprawili, że nie wzbijesz się już nigdy więcej, a raczej osiądziesz razem z nimi na mieliźnie. Tak to działa. Tutaj nie ma miejsca na magiczne przemiany i nawrócenia.

– Ale...

– Naucz się tego, kurwa!

Mam dość. Kieruję się do łazienki i zamykam za sobą drzwi. Muszę ochłoniąć, bo przebywanie w towarzystwie tak miłosiernej istoty wcale nie sprawia, że sam mam ochotę jednoczyć się ze światem. Raczej go unicestwić.

Biorę głęboki oddech, ściągam z siebie bluzę i siadam na krawędzi wanny. Dopiero wtedy tak naprawdę skupiam się na sobie.

Oberwałem.

I to mocniej, niż wydawało mi się w pierwszej chwili.

Prawy rękaw szarej koszulki, którą miałem pod spodem, przybrał wojenne barwy. Materiał nasiąknął krwią i przylgnął do rany. Chwytam za skraj bluzki i ściągam ją przez głowę. Kolejny mocniejszy impuls bólu przemyka przez moje ramię, gdy tylko lekko je unoszę, ale to nic w porównaniu z tym, którego dostarcza materiał odklejany od ciała. Krzywię się, spoglądając na zakrwawiony biceps. Na szczęście rana nie sprawia wrażenia bardzo głębokiej. Chyba nie wymaga szycia. Krew cieknie, ale raczej za sprawą na nowo podrażnionej rany. Przytrzymuję ramię, uciskam to jedno miejsce na bicepsie. Bywało gorzej. Nie raz i nie dwa znajdowałem się w takiej sytuacji. Zaliczałem rany cięte i postrzałowe. Pieprzone życie nigdy mnie nie rozpieszczało. Jestem doświadczony, ale to nic nie zmienia. Za każdym razem czuję się tak samo chujowo.

Rozdział 14

Skyler

Zostawił mnie samą, a ja nie wiem, jak mam się zachować. Zostać? Odejść? A niby dokąd? Ten incydent nie zmienił mojej sytuacji, nie dostarczył olśnienia, choć nadal go poszukuję. Spowodował jedynie, że mam w głowie jeszcze większy mętlik i czuję się coraz bardziej zmęczona. Adrenalina, która do tej pory mnie napędzała, ulotniła się bez śladu, w jej miejsce wskoczyła świadomość, że po raz kolejny jedynie fartem udało mi się wykiwać przeznaczenie. Nie mam pojęcia, ile jeszcze razy ta sztuka zakończy się powodzeniem. Zamiast rozkoszować się ulgą, w głębie wciska mnie brutalna rzeczywistość.

Rozglądam się po mieszkaniu. To małe pomieszczenie. Mogłoby wyglądać przytulnie, ale jest zaniedbane. Po nabrzmiałych od wilgoci starych panelach walają się papierki, puste puszki i puchate kotki z kurzu. W miejscu żyrandola zwisa tylko smętnie żarówka na kablu. Na ścianach kiedyś położona była tapeta, ale teraz jej szczątki widoczne są jedynie miejscami, prawie wcale nie zasłaniają brudnobiałych przestrzeni. Pod jedną ze ścian ustawionych jest kilka kuchennych szafek i starodawna kuchenka gazowa, a obok nich - stół i jedno krzesło. Po drugiej stronie pokoju na ziemi leży materac, na którym spędziłam już jedną noc. Nic więcej. Tutaj też nie znajdę odpowiedzi na kłębiące mi się w głowie pytania. Nie mam wyboru.

Zbliżam się do drzwi i pukam w nie delikatnie. Zero odpowiedzi. Pukam mocniej. Nic. Nasłuchuję, ale brak jakichkolwiek dźwięków niepokoi mnie na tyle, że nie mam zamiaru dłużej czekać.

Wchodzę.

Nieśmiało zaglądam do łazienki i przez moment nie do końca rozumiem, na co tak właściwie patrzę. Sam siedzi na krawędzi wanny rozebrany do pasa i dociska umazaną czerwienią dłoń do

ramienia. Krew nadal wypływa spomiędzy jego palców i skapuje na szare, popękane kafelki obok jego stóp.

– Wciąż tu jesteś. Zadziwiające... – Wzdycha. – Chociaż nie, czekaj, raczej totalnie przewidywalne i przy tym koszmarnie głupie. Nie wiem, czy jesteś tego świadoma, ale właśnie nie wykorzystałaś swojej szansy. Mogłaś po prostu stąd wyjść – dodaje, gdy nadal się nie odzywam. – Istnieje szansa, że mogłoby ci się udać przeżyć kilka godzin. Może nawet do rana, o ile w trakcie nie zechciałoby ci się odebrać źródła dochodu... przepraszam, to znaczy dzieci jeszcze kilku tutejszym przyjemnym rodzinkom.

– Co się stało? – pytam szeptem, ignorując ten prześmiewczy ton.

Spogląda na mnie z niechęcią. Bez słowa podchodzi i próbuje sprawić, bym wycofała się na korytarz, żeby mógł zamknąć mi drzwi przed nosem, ale nie ruszam się z miejsca. Musiałby użyć siły, a do tego nie jest najwyraźniej chętny.

– Odejdź – warczy.

Kręcę głową. Nie ustąpię.

– To przeze mnie? Oni cię tak zranili?

– Nie uwierzysz! – Uśmiecha się cynicznie. – Postanowiłem pobawić się po twojemu i dla odmiany uratować raz pieprzoną księżniczkę. Szło pięknie do czasu, aż zbirowi pomylił się plastikowy miecz z prawdziwym. Nie skumał naszej zabawy. Taki, kurwa, pech.

– Tak właśnie mi się wydawało, że widziałam nóż – mamrocze pod nosem, nie dając wciągnąć się w słowne przepychanki.

– Tylko nóż? – dopytuje, podpuszczając.

– Między innymi – odpowiadam cicho, a on się śmieje z mojego speszenia. – Przecież wiesz, że nie tylko. Nie musisz być złośliwy. Może się nie znamy, ale stanąłeś w mojej obronie, a teraz to ja chcę pomóc tobie. Jakoś się odwdzięczyc, bo bez ciebie pewnie bym sobie nie poradziła. Mogę się domyślać, co by ze mną zrobili...

Samuel poważnieje, ale jednocześnie bierze mnie pod rękę i wciąga za sobą do łazienki. Kiedy drzwi się za nami zamykają, szybko mnie puszcza, jakby ten dotyk go parzył, i oddala się na tyle, na ile pozwala mu ograniczona przestrzeń pomieszczenia. Krzywię się, spoglądając na zakrwawiony biceps oraz widoczny ślad po nacięciu. Chociaż Sam stoi odwrócony do mnie plecami, wymijam go

i mierzę się z nim twarzą w twarz. To znaczy prawie. Jest wyższy o głowę i góruje nade mną. Chociaż nie należę do najniższych dziewczyn, to on sprawia, że czuję się przy nim malutka, mniejsza niż zazwyczaj. Mimo to staram się zachować stabilność.

Próbuję, ale kiedy moje spojrzenie przemyka po jego nagiej, szerokiej kłacie, wyrzeźbionych mięśniach, które mam możliwość oglądać teraz z bardzo bliska, kolana zwyczajnie mi miękną. Walczę z ochotą, by wyciągnąć dłoń i tak po prostu przesunąć po nich palcami, sprawdzić twardość, prześledzić skomplikowany układ. Przetestować, czy w dotyku też są tak idealne, jak wyglądają. Ganię się za to, tylko że rozdygotanie mi nie mija. Skupiam się na moment na dziwnych znakach na jego piersi, nad sercem. W pierwszym momencie sprawiają wrażenie dziwnego tatuażu, ale po dokładnym przyjrzeniu się widzę, że to tak naprawdę blizna. Skóra w tym miejscu została brutalnie poprzecinana. Wygoiła się, ale w potwornie brzydki sposób. Ta rana nie jest jedyną. Im dłuższą wycieczkę po jego ciele urządzą sobie moje oczy, tym więcej podobnych rzeczy odkrywają. To, co uchodziło za doskonałe, wcale takie nie jest, ale paradoksalnie kusi jeszcze bardziej. Każde z tych oznaczeń ciekawi, stanowi nieopowiedzianą historię, którą chciałabym poznać. Zapytać o coś, o cokolwiek. Brakuje mi słów. Ciężko przełykam ślinę. Mam tak sucho w ustach, że to aż bolesne doświadczenie. Ratuję się ucieczką i skupiam wyłącznie na świeżej ranie.

– To powinien ktoś zszyć – oceniam.

– Naprawdę? – szydzi. – Może jeszcze powiesz, że potrafisz?

Patrzę na niego. Unosi brew, wyrażając powątpiewanie. W tym jednym momencie bardzo chciałabym go zaskoczyć, ale niestety mi się nie uda. Nie mam nad nim tej przewagi. Właściwie nie mam żadnej przewagi.

– Myślałam raczej o lekarzu – wyznaję niepewnie. – Wiesz... kimś, kto naprawdę zna się na rzeczy i nie zrobi ci przy tym jeszcze większej krzywdy.

– Zapomnij.

– No dobra, ale chyba masz chociaż jakieś bandaże, żeby to opatrzyć? Przecież nie można tak tego zostawić.

Nie czekam na jego pozwolenie. Podchodzę do szafki wiszącej nad umywalką i zaczynam przeszukiwać kolejne półki. Znajduję tylko jedną rolkę. Rozpakowuję i wracam do niego, po czym nie pytając o zdanie, zaplatam bandaż wokół rany tak, jak to pokazywali na zajęciach z pierwszej pomocy na kursie, który odbyłam przed rozpoczęciem wolontariatu. Jednak teoria a praktyka to dwie odrębne sprawy. Jestem pewna, że robię to cholernie nieumiejętnie i jedynie dostarczam mu kolejnych powodów do kpin. Niby nadal milczy, ale to wcale nie sprawia, że czuję się choć odrobinę pewniej.

– Za szybko przemaka – stwierdzam, oceniając stan dopiero co założonego opatrunku. – Nie masz nic więcej?

– Przecież przetrzepałaś już wszystkie zakamarki. Myślisz, że specjalnie przed tobą ukryłem jakieś tajemne zapasy? Daj spokój. Lubię cię obserwować, ale te okoliczności nie sprzyjają. Możemy stworzyć lepsze.

Rozsiada się wygodnie na krawędzi wanny, opierając się dłońmi o jej brzeg. Zachowuje pokerową twarz, przez którą nie przebija się nawet nikły grymas bólu. Mogłabym uwierzyć, że nic mu nie jest. Jasne, ten ociekający czerwienią bandaż to pewnie pikuś. Ignoruję jego słowa, choć przez kwestię o obserwowaniu do mojej głowy zaczęły dobijać się myśli, które skłoniły mnie do krótkiego zastanowienia się, jak często robił to do tej pory. Kazałam im jednak siedzieć cicho i posłuchały. Na razie.

Wzdycham i rozglądam się za czymś, co jeszcze mogłoby się przydać, ale bezskutecznie. Zerkam na Sama ukradkiem, ale zauważając, że nie spuszcza ze mnie wzroku, sama uciekam przed nim spojrzeniem. Opuszczam głowę i mimowolnie koncentruję się na swoim ubraniu.

Zanim zdążę stchórzyć, ściągam sweter przez głowę i chwytam za skraj niegdyś białej bokserki, obecnie koszmarne zabrudzonej. Rozpruwam ją mocnym pociągnięciem, szarpię i odrywam pasek materiału, a koszulka skraca się, odsłaniając fragment mojego brzucha. To nic. Kiedy znowu narzucę na siebie sweter, wszystko zakryję.

– Co ty wyprawiasz? – dziwi się Sam, kiedy siadam obok na krawędzi wanny. Nie tłumaczę, jedynie owijam skrawkiem bluzki

jego ramię i dodatkowo zabezpieczam ranę. Wątpię, czy to pomoże na dłuższą metę, ale może na chwilę wystarczy.

– Nie za mocno? – dopytuję, gdy zaciskam prowizoryczny bandaż i patrzę na Samuela, żeby sprawdzić reakcję. Wydaje się rozluźniony, choć nadal nieco zaskoczony. Ja natomiast nie czuję się dobrze, dostrzegając coraz więcej obrażeń na jego twarzy. Z daleka nie wyglądało to źle, ale z tak bliska to już inna bajka. – Bardzo cię to boli? To znaczy ręka i cała reszta. Może jednak pójdziemy do szpitala? Albo może pozwolisz mi iść po bandażu? To nie jest taki duży koszt... To znaczy, wiem, że może jest ci ciężko i pewnie masz inne wydatki, ale to nie jest zbyt bezpieczne. Może trochę zatamuje krwawienie, ale jeszcze wda się zakażenie i...

– Nie potrafię cię rozpracować – odzywa się, przerywając mój słowotok.

Nie reaguję na zaczepkę, tylko skupiam się na tym, by dobrze zawiązać węzeł. Nie jest łatwo. Przy każdym kontakcie opuszków z jego rozpaloną skórą coś w moim wnętrzu porusza się niespokojnie i nieznośnie rozgrzewa, jakbym sama zajmowała się trawiącym go ogniem. Charakterystyczne ciepło przepływa od czubka mojej głowy po palce u stóp. Zaraz mnie spopieli. Uczucia, o których wydawało mi się, że już dawno zapomniałam, najwyraźniej wychwyciły mój słabszy moment, bo znowu dają o sobie znać. Przypominają, że nadal są i czekają, aż sama pozwolę sobie na więcej. Nie wyeliminowałam wszystkich i nie uda mi się ich wyciszać w nieskończoność. To niemożliwe. Wystarczyłoby, bym dała sobie szansę i stwierdziła, że dość już tego karanja samej siebie, a wieczne wycofywanie się nie może skończyć się dobrze. Tak niewiele, ale wciąż za dużo.

– Wiesz, ile krwi mam na rękach? – drąży, za nic mając moje milczenie.

Przekręcam głowę w bok, przenosząc spojrzenie z jego ramienia na twarz, przez co siedzimy niemal nos w nos. Sam rozciąga usta w kpiącym uśmiechu.

– Więcej niż tu widzisz – kontynuuje pozornie luźnym tonem. Mogłabym uwierzyć, że nic mu nie jest, gdyby nie zaciskał tak gwałtownie pięści. – Znacznie więcej. Nie udawaj, że nigdy nie

pomyślałaś, że mam coś na sumieniu. Widzę to w twoich oczach. A to? Dotknij. – Wyjmuje pistolet i wciska mi do ręki. Biorę broń bez sprzeciwu, choć fascynacja, z jaką Sam mnie obserwuje, sprawia, że robi mi się jeszcze goręcej. Nakręca się, a ja mam wrażenie, że mogłabym dać się wciągnąć w to szaleństwo, i to bez żadnego sprzeciwu. – Wiesz, co to jest? Pewnie, że wiesz. Czujesz jej chłód i ciężar. Nie muszę cię przekonywać, że to żadna atrapa. – Jednym ruchem odbiera mi broń, odkłada ją na murowaną półkę za swoimi plecami, poza zasięg moich dłoni, jakby jednak spodziewał się, że zrobię z niej użytek. – Zdajesz sobie z tego sprawę, ale powieka ci nawet nie drgnie. Znowu. To samo było w tamtym zaułku. Panika, a na widok spluwy totalny spokój. Przynajmniej do momentu, aż nie dotarło do ciebie, że zamierzam pozbyć się tamtych kretynów. To nienormalne, a ty... Kim ty, kurwa, jesteś?

Milczę. Nie umiem odpowiedzieć mu na to pytanie, bo sama nie znam na nie odpowiedzi.

– No dobrze – wyduszam. Sam przekrzywia głowę, czekając na to, co powiem, ale i tym razem czeka go rozczarowanie. – Skoro już się nie wykrwawiasz, to może chociaż trochę posprzątam – rzucam niepewnie, modląc się w duchu, żeby pozwolił mi na zmianę tematu. – Tam chyba leży gąbka, prawda? – Podrywam się z miejsca niby pod pretekstem podejścia do umywalki, ale on łapie mnie za nadgarstek i mocnym szarpnięciem z powrotem odwraca w swoją stronę.

Tracę równowagę i chronię się przed upadkiem, opierając drżące dłonie o jego uda. Jemu to nie przeszkadza. Dalej bezkarnie narzuca się ze swoją obecnością, dominuje. Testuje mnie, ale tym razem się nie złamię. Wiem, że do tego dąży. Oczekuje, że jego słowa zadziałają jak kubeł z zimną wodą i spowodują, że ucieknę z krzykiem. Pewnie chciałby to zobaczyć. Płonne nadzieje. Nie dam mu takiej satysfakcji, choć te założenia mają się nijak do tego, co wyprawia moje ciało. Dreszcze, które przemykają mi pod skórą, stają się coraz boleśniejsze i częstsze. Nie dam rady długo ich ignorować i zgrywać niewzruszonej.

– Posprzątać? – jawnie ze mnie kpi. – A może jednak zwiać? Chociaż nie, do tego wcale nie jest ci tak spieszo. Ostatnio musiałem się natrudzić, żebyś się na to zdecydowała. Szamoczesz

się, kręcisz. Wrzeszczysz, żebym cię puścił, a gdy to robię, to nie potrafisz skorzystać z okazji i nadal tutaj jesteś. Sama wchodzisz w sidła, chociaż już dawno mogłaś się od nich raz na zawsze uwolnić. Dlaczego wciąż tego nie zrobiłaś, Sky? – Zniża głos do szeptu, a jego oddech muska mój policzek. W ślad za nim idzie dłoń, którą wyciąga, by móc przesunąć nią po mojej skórze i zgarnąć jeden lok i założyć mi go za ucho. – Dlaczego nadal przede mną nie uciekasz?

To czuły gest. Miły. Za bardzo.

– Może dlatego, że moje ręce też nie są do końca czyste – odzywam się równie cicho i zamykam oczy. Gram w otwarte karty. A raczej się staram. Nigdy nie pociągnęłam za żaden spust, ale zbyt często mam takie wrażenie. Chciałabym w końcu wyrzucić z siebie cały ten ciężar. Mogłabym wyznać, co zrobiłam, ale coś mnie nadal blokuje. Strach przed oceną jest dominujący. Nawet jeżeli wyrok miałyby wydać ktoś, kogo nie znam. – Nie znasz mnie, nic o mnie nie wiesz i przez to źle oceniasz.

– Skąd możesz wiedzieć, za kogo cię mam?

– Widzę, jak na mnie teraz patrzysz. Jak na totalnie naiwną idiotkę.

– Błąd, aniołku. Patrzę jak na totalnie naiwną kłamczuchę. Nie wierzę w tę wersję ciebie, którą tak usilnie odgrywasz. Potykasz się o własne oszustwa, ale nic się nie bój, nie przeszkadza mi to. Możesz zaliczać tyle gleb, ile chcesz. Postoję i popatrzę. Mamy czas.

– Nie jestem kłamczuchą – kłamię jak na zawodową kłamczuchę przystało. Idę w zaparte, bo nic innego mi już nie zostało.

– Więc pytam ponownie: kim jesteś?

Waham się, zastanawiam. I nic. W głowie mam pustkę.

– Tego właśnie sama nie wiem. Możliwe, że nikim. – I to jedyne, w co tak naprawdę byłabym skłonna uwierzyć. – Możliwe, że robię wszystko, te głupio odważne rzeczy, żeby przekonać samą siebie, że wcale nie jest aż tak źle. Próbuję, ale do tej pory jeszcze mi się nie udało. Chyba nigdy się nie uda.

Milczy. Zainteresowana otwieram oczy i widzę, że nie ruszył się z miejsca. Jedyne teraz cała jego uwaga skoncentrowana jest na moich ustach. Rozchyłam je nieznacznie, bo niemal czuję, jak ich

dotyka, jak łączy nasze wargi w pocałunku. Mógłby to zrobić. Pewnie, że tak.

– Brednie. Pokazałbym ci, że nie masz racji – odzywa się cicho, a jego dłoń łąduje na moim kolanie i rozpoczyna niespieszną wędrówkę po udzie. Przesuwa się powolutku w górę. Kusi, jakby był w stanie odczytać moje myśli i najskrytsze pragnienia schowane na dnie serca. To przez niego nabieram coraz większej pewności, że nie mam totalnie nic do stracenia. Zamykam oczy, poddając się jego diabelskim szeptom. – Udowodniłbym to.

Wstrzymuję oddech, znów brakuje mi tchu.

Też za jego sprawą.

Zapiera mi dech w piersiach i pogania serce. Rządzi mną, jakbym była jego. Jakbym już dłużej miała nie błąkać się w otaczającej samotności. Złudzenia... Złudzenia, którym mogłabym ulec i oddać się bez reszty.

– Gdybym tylko był bardziej zdesperowany...

Wzdrygam się, jakby właśnie mnie spoliczkował. Otwieram powieki i natrafiam od razu na utkwioną we mnie parę przerażająco ciemnych oczu, które spoglądają tak intensywnie, że mam wrażenie, że za moment zostaną przez nie pochłonięta.

Odsuwa dłoń i wstaje.

– Lepiej tu dziś zostań – rzuca już zupełnie innym, luźniejszym i beznamiętnym tonem, przez który zaczynam się zastanawiać, czy tylko ja jestem świadoma, jak bardzo przed chwilą torturował mnie swoją bliskością. On wydaje się niewzruszony. – Mówię poważnie. Jutro zrobisz, co będziesz chciała, ale na dziś wyczerpałaś limit szczęścia, a mnie znudziło się odgrywanie bohatera. Chyba nie chcesz znowu na nich wpaść i spróbować jeszcze raz tłumaczyć się ze swoich dobrych intencji? Tu będziesz bezpieczniejsza. No nie patrz tak na mnie, gdybym sam chciał zrobić ci krzywdę, zrobiłbym to już wiele dni temu.

Daje i odbiera.

Cholerny manipulant.

Uciekam przed nim wzrokiem i po omacku wymykam się z łazienki. Boję się, że gdy spojrzę ponownie, tym razem zauważę w jego oczach odbicie tego, co sama o sobie sędzę. Zatrząskuję za

sobą drzwi i opieram się o nie plecami, starając się odzyskać kontrolę nad oddechem.

Prawda jest taka, że czuję się głupia, jeszcze głupsza niż zazwyczaj. Myślę, analizuję, ale nadal to do mnie nie dociera. Własne słabości znam bardzo dobrze, ale nie potrafię pojąć jego reakcji. Nie rozumiem tego, co wydarzyło się między nami. Przez moment wydawało mi się, że widzę w nim coś więcej, że całe to okrucieństwo, którym się popisował, to tylko maska, a pod nią kryje się coś więcej. Nie, wcale nie łagodność. Nie jestem na tyle głupia, żeby ubierać wilka w przebranie owcy. Ja po prostu dostrzegłam w nim pewne zrozumienie. A może po prostu bardzo chciałam je dojrzeć. Wmówiłam sobie, że może być mi bliższy, niż się tego początkowo spodziewałam. To zbyt duża ufność narzuciła mi te myśli. To mój największy problem. W dodatku moje ciało oszalało i wyrwało się spod kontroli. Pieprzone iskielki, które pojawiły się niespodziewanie, jeszcze nie rozeszły się po skórze. Wciąż czuję, jak mnie podszczypują i elektryzują, sprawiając, że najmniejszy włoszek na ciele staje mi dęba. Działają, choć brak im już zapalnika. Nie chcą odpuścić, jakby były niedopieczzone i wciąż spragnione nowych wrażeń.

Rozdział 15

Samuel

Wrzask.

Ze snu wybudza mnie potworny krzyk, jakby ktoś był właśnie żywcem obdzierany ze skóry. Nie myślę. Chwytam schowaną pod kocem broń i podrywam się z miejsca. Przez wiele lat nauczyłem się odpoczywać i spać w trybie czuwania. Tylko to gwarantowało przeżycie. I wolność. Do tej pory, pomimo stabilniejszych warunków, wybudzam się, gdy do moich uszu dociera chociaż jeden podejrzany odgłos. Od tego nadal zależy moje „być albo nie być”.

Wyteżam wzrok, próbując dostrzec pośród półmroku, z której strony może nadejść zagrożenie. Jestem gotowy do obrony, ale tutaj nikogo nie ma. Nikogo, kogo mógłby powstrzymać wystrzelony pocisk.

To Sky. W słabym świetle dogasającej świeczki, którą ode mnie uprosiła i ustawiła obok siebie, zanim poszła spać, zauważam jej postać. Szamocze się po materacu, jakby miała właśnie jakiś atak. Świetnie. Przygarnąłem sobie pod dach kolejnego psychola. Jakby ten drzemiący we mnie nie zajmował wystarczająco dużo przestrzeni.

Ale mogłem się tego domyślić! Mogłem! Próbowałem bez zadawania pytań rozpracować jej historię. Szukałem przyczyny, dla której ktoś taki jak ona znalazł się w takiej sytuacji, i właśnie ją znalazłem. Nikt przecież nie wyrzuca na ulicę dobrze działających lasek. Tylko te wadliwe.

Opuszczam broń i wznoszę oczy ku niebu. Gdyby istniało tam coś więcej, posłałbym wszelkie modły, by ukrócić te cyrki. Mam zamiar zrobić w tył zwrot i z powrotem opaść na koc, ale w tym samym momencie ona zaczyna coś mamrotać, co zatrzymuje mnie w pół kroku.

– To ja go zabiłam, to ja... – bełkocze nieskładnie, a ja mrużę oczy i nadstawiam ucha, bo to coś nowego.

Sky jednak nie zdradza już nic więcej. Jedynie mocno zaciska palce na włosach. Pociąga za nie, jakby to, że sprawi sobie ból, cofnęło czas i przywróciło temu komuś życie. Płonne nadzieje. Próbowałem. *I to jak...*

Podchodzę bliżej i przykucam obok, przyglądając się jej bez słowa. Czekam, aż zacznie kajać się i przeproszać, wypierać wszystkiego. To znany mechanizm. Słabe umysły wolą zaprzeczać niż wziąć się za barki z rzeczywistością. Ale nic podobnego nie następuje. Wyznanie win to jedyne, co od niej słyszę.

Łapię ją za ramię i potrząsam nim, a ona się budzi, wygrywając się z koszmaru. Przez chwilę w jej oczach widzę ulgę, ale to krótkotrwałe zjawisko. W chuj ulotne, bo kiedy tylko rozpoznaje, kim jestem i gdzie właśnie się znajduje, drga niespokojnie, zaskoczona. Patrzy na mnie zażawionym wzrokiem. Poblask świecy stojącej na ziemi najbliżej materaca odbija się na jej wilgotnych od łez policzkach. Sky wyraźnie boksuje się z myślami. Jej twarz to otwarta księga... No dobra, taka z pozaginanymi rogami. Niby wszystko jest jasne i czytelne, łatwe do odczytania, ale czasami zaskakuje i wkrada się błąd interpretacji. Nie wiem, przez co przeszła do tej pory, ale to wciąż siedzi jej w głowie. Tego akurat jestem pewien.

– Przepraszam, nie chciałam cię obudzić – mamrocze zachrypniętym tonem i przeciera powieki. – To tylko zły sen – dodaje, jakby czuła potrzebę wytłumaczenia się i usprawiedliwienia. Jakby mnie to interesowało. Nie interesuje. To jej świat, jej wariactwo. Nic mi do tego. – Już wszystko w porządku. Możesz iść dalej spać.

Mogę? Och, kurwa, dzięki za pozwolenie, ale tej nocy to ja już nie zasnę. Chociaż wcześniej, po wielokrotnym przekręcaniu się z boku na bok, jakoś mi się to udało, to teraz mogę zapomnieć. Przez nią. Przez te diabelskie wrzaski, które musiałem znowu pomóc ukrócić. Przez pieprzone spojrzenie anielskich ślepi, które przeszywa mnie właśnie na wskroś, niemal wypalając przy tym w moim mózgu znak. Bolesny, jakby za sprawą jednego mrugnięcia przytknęła do mojej

głowy wciąż zarzającego się peta, a on spopieleł nie tylko włosy, ale sięgnął też głębiej. Znacznie głębiej.

I ten ogień wcale nie gaśnie, bo ona nieustannie go podsyca.

Teraz też.

– Chyba że boli cię ręka? Mam zmienić opatrunek? – papla bez sensu jak nakręcona, a mi zaczyna pulsować w skroni i już żałuję, że postanowiłem ją tu zatrzymać. – Może znajdę jeszcze coś, co się do tego nada.

Nie rozumiem tej dziewczyny. Nie pojmuję dobroci i wiary, którymi zniecka potrafi mnie obdarzyć. Do niej nie dociera, że nie powinna, kurwa! Najgorsze, że chyba już wiem, co dzieje się w jej głowie. Oczywiście pod warunkiem, że to, co wygadywała przez sen, jest prawdą.

Lata temu, po tym, jak po raz pierwszy ukatrupiłem niewinnego człowieka, często widywałem go w snach. Nic dziwnego. W końcu zapoczątkował swój i zarazem mój los. Wszystko, co robiłem wcześniej, było zawsze dobrze zaplanowane, przemyślane. To wydarzenie wytrąciło spokój z moich rąk. Straciłem grunt pod nogami. I długo pracowałem, żeby go odbudować. Umiejętnie, bo dziś panuję nad swoją głową. Panowałem. Do czasu. Jedna męcząca dusza pokazała mi, że nic nie trwa wiecznie. Że nie należy tracić uwagi nawet na krótki moment...

Ona to robi, zbyt łatwo się dekoncentruje. Nie wyciąga wniosków ze swoich poczynań, tylko na nowo się rozpędza i zapomina, że przecież dopiero co zaliczyła bolesne zderzenie ze ścianą. Nie rozumie, dlaczego tak właściwie powinna pozostać ostrożna. Nie jest świadoma, że lada moment może pomylić kroki i każdy kolejny może stać się ostatnim.

– Niedługo się stąd wyniosę – stwierdza nagle. – Nie będę ci siedzieć na głowie. I dziękuję. Za wszystko. Jak tylko będę w stanie, to jakoś ci się za to odwdzięczę. Obiecuję.

Nie komentuję tego ani też nie ruszam się z miejsca. Nadal tkwię na klęczkach obok materaca. Sky natomiast wstaje, bo wyraźnie za nic ma moją zde gustowaną minę i chce realizować ten swój chory plan ulepszenia naszej codzienności. Rozgląda się najpewniej w poszukiwaniu kolejnej szmaty, którą mogłaby zapleść wokół

mojego ramienia. Cała przy tym jaśniej, niosąc to jebane światło. Po chwilowym załamaniu nie ma już śladu. Nowy cel dostarczył jej energii i cała się prawie zapala do działania.

Robi kilka kroków i przystaje pośrodku pokoju, ściąga z nadgarstka frotkę i sięga dłońmi do włosów, aby opanować ten rozgardiasz na głowie, bo przysłania jej widok na świat. Biała koszulka, w której spała, a która kiedyś należała do mnie, ale została spisana na straty za sprawą jednego błagalnego spojrzenia, ledwo sięga jej do połowy ud. Sky nie zwraca na to uwagi. Kiedy tak kombinuje z rękami w górze, ubranie jeszcze bardziej podjeżdża do góry, odsłaniając satynowy materiał czarnych majtek opinających zgrabny tyłek. Kiedy chowała się pod obszerną, wełnianą szmatą, nie pokazywała zbyt wiele. Tymczasem nadrabia z nawiązką, a ja... jestem tylko facetem.

Moje oczy wędrują niespiesznie po jej ciele, pochłaniając je kawałeczek po kawałku. Nie potrafię ich od niej oderwać. To przyjemna podróż, inna od tych, na które pozwalałem sobie do tej pory. Tamte były przystawką, a teraz czuję, jakby ktoś zaserwował mi główne danie.

Nie ukrywam, podoba mi się to, co widzę, spodobało się już na samym początku i skutecznie przykuło uwagę, a nie należę do osób, które dobrowolnie rezygnowałyby z przyjemności. Cały ja. Teraz to ja się zapalam, choć nie jest to byle jaki płomyk energii, a raczej wykurwisty w kosmos słup ognia. W końcu nie robię nic na pół gwizdka. Angażuję się cały albo wcale. A ona? Wodzi na pokuszenie. Trzepie głową, żeby do końca się rozbudzić i ułożyć fryzurę, a związane włosy podskakują na boki.

Anielica? Błąd. Po aureoli nie ma już śladu. Kilka odstających kosmyków mogłoby robić za zakamuflowane rogi. Diabeł z doczepionymi skrzydełkami. A ponoć to ja niosę światu zniszczenie. Wystawia na widok smukłe, ale wyrzeźbione nogi. Długie, niemal sięgające jebanego nieba. Sky. I, kurwa, wszystko się zgadza. Bez trudu mogę wyobrazić sobie, jak oplata mnie nimi w pasie, dociskając do mojego prężącego się kutasa swoją rozpaloną cipkę. Uniósłbym ją i docisnął do ściany, wbijając boleśnie palce w te kształtne pośladki. Nie hamowałbym się wcale. Sprawiłbym, że budynek zatrzęsąłby się w posadach, gdybym już znalazł się w jej

ciasnym, gorącym wnętrzu. Zapewniłbym jej największy odlot w życiu. Gdyby tylko w zamian otworzyła przede mną drzwi do rajów...

Sky zauważa, że się przyglądam.

– O co chodzi? – pyta nieśmiało, ale nie odpowiadam. Nawet nie wiem, do czego pije. Obojętnie. Straciłem wątek, tracę go nadal, bo w mojej wyobraźni Sky właśnie dochodzi, mocno zaciskając się na moim fiucie. – Mam zrobić to szybciej? – *Pewnie, poproszę. Też wolę w ten sposób, powolne posuwanie jest nudne.* – Mogę. Daj mi tylko chwilę, żeby sweter wysechł, i już mnie tu nie ma. Wrócę do wagonu.

Co, kurwa?

Zaciskam usta, wymierzając sobie mentalnie prawego sierpowego na otrzeźwienie, a moje oczy urządzają sobie ostatnią wędrówkę po jej ciele. Wtedy dociera to również do niej. W jednej chwili rumieniec wypływa na jej policzki, jakby potrafiła odczytać moje brudne myśli. Chwyta za skraj materiału i próbuje go obciągnąć, jakoś wygładzić, ale to zupełnie nieskuteczne. Nie jest magikiem, nie sprawi, że bluzka stanie się dłuższa. Wręcz przeciwnie. Dość luźny materiał poprzez to desperackie naciąganie ciaśniej przylega do ciała, a przez to uwydatnia kształt piersi i podrażnionych chłodem sutków. Równie dobrze mogłaby być całkiem naga. Moja wyobraźnia potrafi sobie to bez trudu wizualizować.

Dość tego.

– A powiedziałem, że masz się stąd wynosić?

– No nie, ale myślałam, że...

– W takim razie nie wkładaj mi w usta słów, których ode mnie nie usłyszałaś – ucinam krótko. – Bardzo tego nie lubię.

Podnoszę się z podłogi, przez co natychmiast milknie. Mimowolnie śledzę ruchy jej dłoni, potem przenoszę wzrok wyżej. A ona? Nie pozostaje bierna. Jeden rzut oka, szybkie otaksowanie od głowy do stóp wystarcza, żeby rozchyliła w zdziwieniu te słodkie, idealne usteczka. Też bym był pod wrażeniem na jej miejscu. Choć może i jestem, z tym że z całkiem innego powodu. Nieprzerwanie zadziwiają mnie te reakcje, totalnie nieadekwatne do zaistniałej sytuacji. Widzi doskonale, jak na mnie działa, bo nie zasłanianie się wcale, a mimo to nie ucieka. Nie peszy ją bliskość całkiem obcego kolesia ani to, że stoję przed nią w samych bokserkach, które nie

tuszują niczego. Widzi, do jakiego stanu mnie doprowadziła, ale to jej nie przeraża. Nie spierdala jak najdalej. Co ona ma w głowie? Nadal nie wie, że powinna? Przekona się. Jeszcze moment, chwila.

Sky dalej testuje moją cierpliwość, a raczej jej brak. Miętosi między palcami kawałek koszulki i oblizuje spierzchnięte wargi koniuszkiem języka. Wiem już, że ta droga też przyniosłaby nam wiele ekscytacji. Och, kurwa, ścieżki do królestwa i duchowego spełnienia są różne. Niektóre trzeba pokonać choćby na kolanach! Trzeba próbować, bo kto wie, która z nich najszybciej zaprowadzi nas do celu. Nie odrzucałbym żadnej, chętnie przetestowałbym wszystkie, najlepiej wyruszył w podróż teraz i tu, ale ona mi na to nie pozwala. Zamiast wpuścić mnie do nieba, strąca prosto do piekieł. Jedno spojrzenie prosto w jej błękitne tęczówki, a całe pokłady dobroci i zrozumienia, które w nich dostrzegam, przyciągają mnie i hipnotyzują. Zdążyłem już zapomnieć, jak smakuje naiwność i niewinność w najczystszej postaci. Przez ostatni czas na języku czułem tylko mocne smaki. Delikatność jest rarytasem. Takim, który akurat mam na wyciągnięcie ręki.

Robię kilka kroków w jej stronę, a ona dopiero wtedy mięknie, jakby uświadamiając sobie konsekwencje tego, co może się zdarzyć. Już nie ma śmiałości dalej mnie prowokować. Opuszcza podbródek i na moment traci pewność siebie. Na chwilę. Jestem przekonany, że się wycofa, ucieknie i schowa pod kocem, ale ona szybko się otrząsa i ponownie patrzy na mnie spod długich rzęs. Rzuca spojrzenie, które potrafi wydusić ostatni dech.

W jej oczach nadal nie widzę strachu. Być może tam jest, ukryty i niezauważalny, ale moją uwagę przyciąga coś innego. Cholerny błysk przemyka prędko po tafli błękitu jej oczu, zdradzając zainteresowanie. Nie boi się. Nie boi się mnie! Zachowuje się tak, jakby nic w życiu nie mogło już jej przerazić. Jakby przeżyła już wszystko i na wszystko była też gotowa. Nie dopuszcza do siebie niczego złego, a co gorsza, nie widzi tego zła we mnie, a powinna. Najwyższa pora, by w końcu się otrząsnąć i zrozumieć, że nie w każdej bajce da się oswoić bestię. Czasami dobroć to za mało. Jakby chciała przyjąć to, co mogę jej dać, i była pewna, że udźwignie ciągnącą się za mną ciemność. To kurewsko niedobrze. Nie zna

mnie, w najmniejszym stopniu nie zdołała poznać w przeciągu tak krótkiego czasu, a stawia wszystko na jedną kartę. Ona sama to jakieś pomyłone połączenie. Kłamczucha, naiwniara, psycholka i desperatka. Nie da się gorzej. Wiem o tym, bo widzę w niej swoje własne odbicie... I to odbicie zbliża się do mnie, gdy Sky wyciąga w moją stronę rękę. Nagle to ja nie mam pewności, czy ten dotyk nie spopielił mnie swoim ciepłem i nie spalił na wiór. Ona jest nawiedzona. Ha! I kto tu jest bardziej niebezpieczny?

Tego już za wiele.

Odskakuję od niej jak oparzony. Zgarniam z podłogi swoje ciuchy. Narzucam na siebie bluzę i wciągam na tyłek spodnie.

– Z jednym się z tobą zgodzę, ta ręka znów mnie nakurwia – rzucam przez ramię na odczepnego. – Idę załatwić te pieprzone opatrunki.

Wychodzę z mieszkania jak najszybciej i zatrzasnę za sobą drzwi. Zbiegam po sypiących się stopniach jak zawodowy uciekinier i wypadam na zewnątrz. Zimny nocny wiatr chłosta mnie po mordzie i otrzeźwia. Biorę głęboki oddech. Znowu mogę myśleć. Znika mgiełka pożądania, która pętała mi myśli w mieszkaniu. Jest prawie normalnie, choć nierozładowana frustracja mści się podwójnie i będzie wzrastać, jeżeli jej nie opanuję. Wyjmuję z kieszeni telefon i wybieram numer do Lily. Potrzebuję odreagowania, a najlepszą jego formę znajdę właśnie u niej. Pomimo późnej pory odbiera niemal od razu.

– Jeżeli liczysz na wejściówkę do klubu, to zapomnij. Dla ciebie zamknięty do odwołania – słyszę jej głos, który zdradza wyraźne rozdrażnienie. – Zawiodłeś mnie, Sam. Znowu, ale tym razem tak łatwo tego nie odpokutujesz.

Zatrzymuję się na ostatnim stopniu, bo nie spodziewam się takiej reakcji.

– O co chodzi, Lily?

– Pamiętasz, o co cię prosiłam?

– Sprawa z Vicky. – Nie mam żadnych wątpliwości. – Przecież wiesz, że to nie jest takie proste. Cały czas nad tym pracuję i kiedy tylko uda mi się ją dorwać, natychmiast ją do ciebie dostarczę.

– Już nie musisz – ucina. – Miałeś swoją okazję, ale jej nie wykorzystałeś. Tak, doszły mnie słuchy, jak popisowo spierdoliłeś robotę. Miałeś Vicky w garści i ją wypuściłeś. Na szczęście ktoś inny utworzył ramiona, gdy biegła na oślep, uciekając przed tobą. Uratował ją przed samą sobą. A kto uratuje ciebie, Sam? Tak, wiem, dlaczego to zrobiłeś. Ze względu na kogo. Możesz się bawić w kochającą rodzinę ze swoją nową przybłądą. Widziałam ją. Uroczą małą, ale lepiej jej pilnuj. Z tego, co pamiętam, ostatnia osoba, którą chciałeś się zaopiekować, nie skończyła zbyt dobrze, prawda?

Rozłącza się, a moje rozdrażnienie nie mija. Wręcz przeciwnie.

Dłonie wciąż drżą, mimo tego, że zaciskam palce w pięści i prostuję na zmianę. Nie przestaję, choć opuszczam kamienicę i znowu jestem sam na sam z ciemnością. Zwykle koła zmysły, uspokajała. Tym razem szarpie mnie za rękaw, wrzeszcząc do ucha, żebym w końcu ruszył dupę i coś zrobił.

To miała być prosta sprawa! *Kurwa!* Miałem wyrównać ciężące mi rachunki i zniknąć. Zacząć nowe, cudowne życie daleko za wielką wodą. Komplikuję je sobie na własne życzenie. Nie dość, że rozpraszają mnie inne sprawy, to jeszcze ściągnąłem sobie na głowę pieprzone kuszące światełko. Niby słabiutkie, a jednak parzące przy dotyku. Zachciało mi się nieco bliżej poobcować z niebem. Ono w podzięce za zainteresowanie zważyło mi się na łeb i czuję, że szybko z niego nie zejdzie.

Rozdział 16

Skyler

Chryste, co to było...

Zastanawiam się nad tym, siedząc sama w czterech ścianach. Przykładam dłoń do czoła, starając się je ochłodzić, ale wcale nie jest mi lepiej. Nie wiem, kiedy ostatnio czułam się tak bardzo nakręcona. Sytuacja, w której się znajduję, kompletnie temu nie sprzyja! Nie wiem też, ile czasu minęło, odkąd Sam opuścił mieszkanie, chociaż w tym przypadku akurat wcale się nie dziwię, że nie spieszy się z powrotem.

Nawet go rozumiem.

Ostatnie dni były trudne i nasiliły to, czego w sobie nienawidzę, te irracjonalne zachowania, nad którymi nie mam kontroli. Obawa przed ciężarem czających się za rogiem konsekwencji, którego nie będę w stanie unieść w pojedynkę, powoduje, że nie pojmuję własnych reakcji. Samuel ma rację, że woli trzymać dystans. Nie zna mnie, nie wie, czego się może spodziewać. Ba! Nawet ja tego nie wiem! Gdybym tylko mogła, wzięłabym z niego przykład i zwiłała przed samą sobą. Nie mogę. Jestem więźniem własnej głowy, wszystkich niespokojnych myśli. To one trzymają mnie w miejscu i sprawiają, że nigdzie się nie ruszę. Władzę nad nimi dzierży przeszłość. Nie potrafię się od niej uwolnić, zderzam się z nią na każdym kroku. Teraz też.

Szukam światła wśród ciemności, choć coraz trudniej jest mi je dostrzec. Płomień zmalął znacząco, niknie coraz bardziej. Zaraz całkiem zgaśnie i pogrążę się w mroku. Może się tak stać, choć staram się go naiwnie podsycać i nie przyjmować do siebie, w jak beznadziejnej sytuacji obecnie się znajduję. Celowo dodaję pionowe kreseczki do tych wszystkich minusów dookoła. Z zapałem szaleńca zmieniam zasady, tworzę swoje plusy, ale i tak uzyskuję ujemny

wynik. To się nie może udać. Nie na dłuższą metę, bo już teraz czuję, że tracę oddech. Udaję, ale wcale sobie nie radzę. Okoliczności mnie przytłaczają, a własne pomysły wydają się coraz gorsze. Sama zaganiam się w ślepią uliczkę i nie widzę dobrego rozwiązania swoich problemów. Fakt, że nie mogę tkwić dalej w tym miejscu i mam coraz mniej czasu, by podjąć decyzję, co robić dalej, potęguje uczucie narastającej paniki.

Ojciec zawsze powtarzał, że nie ma sytuacji bez wyjścia, niektóre tylko wymagają więcej wysiłku, żeby je odnaleźć. Cóż, mówił też, że nigdzie się jeszcze nie wybiera, bo ma zbyt dużo spraw do załatwienia, a starość i śmierć, jeżeli chcą się po niego zgłosić, powinny wziąć numerki i ustawić się w długiej kolejce interesantów. Być może to zrobiły i ich kolej właśnie wtedy nadeszła. Może, ale bardziej wiarygodne jest to, że ich nie imają się żadne zasady. Przychodzą, kiedy chcą, i robią to, na co mają ochotę. Wciskają się w kolejkę, oszukują i kłamią. A raczej przynoszą prawdę. Przyznaję, w tym przypadku trochę im pomogłam.

Tata nie do końca liczył się z ich nieprzewidywalnością. Nie miał czasu na odpoczynek. Uważał, że nadrobi wszystko z nawiązką na emeryturze. Snuł marzenia o białym kamperze, którym zwiedzi wszystkie stany, a potem zaparkuje nad brzegiem jeziora i zatrzyma się tam na stałe, żeby z godnością się zestarzeć i w spokoju łowić ryby. Lubił to robić. Wtedy się wyciszał, a ja miałam okazję zobaczyć jego inne oblicze. Odmienne od maski surowego biznesmena, który wymagał ode mnie niemożliwego. Wtedy, kiedy miał okazję oderwać się od pracy, zmieniał się w lepszego człowieka. Tego, którego kochałam. Miał plan, ale żył ciągle w biegu i w końcu nabawił się zadyszki.

A ja go dobiłam.

Wcale nie wykrzyczanym słowem, raczej zabójczą myślą. Posłałam ją prosto na niego i trafiłam celnie. I chociaż potem próbowałam to cofnąć, na nic się to nie zdało. Żadnego odczyniania uroku nie było. Nie udało mi się zmienić biegu wydarzeń. Wystarczył zwykły przypadek, jeden błąd i mój bezmyślny czyn. Stało się.

To dlatego tak bardzo się ich boję. Myśli. Są nieprzewidywalne i często dopinają swego. Czasem w inny sposób, niż byśmy

oczekiwali, jednak...

Dość!

Próbuję je wyciszyć, ale one wcale nie chcą mnie słuchać. Tak długo unikane, a teraz wybudzone do życia stają się coraz bardziej rozpędzone, tratuja wszystko na swojej drodze. Zaraz nie ostoi się żadne miłe wspomnienie, którym mogłabym się zasłonić jak ochronną tarczą. Jeżeli tego nie przerwę, nie zrobię czegokolwiek, żeby wyrwać się z ich sideł, będzie tylko gorzej.

Ubieram się pospiesznie w swoje ciuchy i na miękkich nogach podchodzę do rozrzuconego na ziemi koca. Podnoszę go i potrząsam nim, żeby oczyścić z kurzu, a przy okazji zająć czymś ręce, by przestały tak potwornie drzeć, ale przy pierwszym ruchu coś wypada spomiędzy fałd materiału. Przezroczysty woreczek z dwiema białymi tabletkami. Przykuwają moją uwagę. Samuel musiał je zgubić, gdy w pośpiechu opuszczał mieszkanie.

Podnoszę znalezisko i przyglądam się zafascynowana. Gdzieś z tyłu głowy kotłuje mi się myśl, że nie powinnam tego ruszać. Sam przecież może wrócić w każdej chwili, a ja nie chciałabym zostać teraz przyłapana. Ciekawość jest jednak silniejsza, zwłaszcza że podsycają ją wspomnienia.

Chociaż od ponad dwóch lat nie miałam w ręce nic podobnego, to pewnych rzeczy nie da się ot tak zapomnieć. Zwłaszcza gdy miały na mnie tak silny wpływ, a ja pozwalałam, by te niepozorne maleństwa przejmowały stery zawsze wtedy, kiedy miałam już dość udawania kogoś, kim nigdy nie byłam, a także w momentach, gdy czułam się zbyt słaba, żeby sama kierować swoją łajbą. Ufałam im. A one czasami jako jedyne mnie nie zawodziły. Pamiętam wyzwalone przez nie uczucia: te krótkotrwałe, które pojawiały się niedługo po zażyciu i zapewniały o możliwości przenoszeniu gór i dryfowania ponad nimi. Wtedy czułam się niezniszczalna. Szkoda, że w pamięci zostały też te mniej przyjemne doświadczenia, odczucia towarzyszące ostrym zjazdom, gdy przesadzałam, zbyt podobne do powolnego umierania i rozpadania się na tysiące małych kawałków. W takich momentach za każdym razem przysięgałam, że nigdy więcej tego sobie nie zrobię. Że to ostatni raz. Słabe to były obietnice. Prędzej czy później ulatywały z głowy, jakbym nigdy ich nie składała.

Musiałam odświeżać wspomnienia, na nowo się okłamywać i próbować trwać w pieprzonej iluzji. Dopiero śmierć ojca wymusiła wytrwałość, a przynajmniej sprawiła, że na dłuższą chwilę odciąłem się od podłych przyzwyczajzeń.

Teraz, właśnie w tym momencie, cholernie bardzo tęsknię za dryfowaniem. Ciągnie mnie do niego tak mocno, że nawet możliwa reakcja Sama na to, że został okradziony, nie odstrasza tak, jak powinna. Przecież jeżeli zgubił towar tutaj, to mógł go stracić wszędzie. Niczego nie będzie w stanie mi udowodnić. *Jasne, na pewno w to uwierzy...*

To zły pomysł.

Koszmary.

Ale kusi i z tym nie potrafię walczyć. Nigdy nie umiałam. Moim życiem od dawna rządzą impulsy, pojawiają się znienacka i są szybsze niż wszelkie wątpliwości. Robię coś, zanim pomyślę, a dopiero potem rozpaczam nad konsekwencjami. Za każdym razem. W tym przypadku też, bo zanim te drugie otrzymują choć cień szansy, żeby jednak do mnie dotrzeć, rozdieram opakowanie, po czym wysypuję na rękę zawartość. Tłumaczę sama sobie, że postępuję tak tylko dlatego, że chcę się im bliżej przyjrzeć, upewnić, z czym mam do czynienia. *Jasne*. Przybliżam jedną do ust, żeby sprawdzić smak. Wyłącznie w celach doświadczalnych i dla zaspokojenia ciekawości. *Wiadomo*. To zły ruch. Zanim jeszcze raz przekalkuluję wszystko w głowie, do moich uszu dociera odgłos kroków. Ktoś schodzi po schodach i kieruje się w stronę drzwi. Jest coraz bliżej. *Nie, nie...* Serce wali mi jak szalone. Nie ma szans, żebym zdążyła wcisnąć to z powrotem do torebki i odłożyć na swoje miejsce jak gdyby nigdy nic. Spanikowana robię pierwsze, co przychodzi mi na myśl. Połykam całość, a folię upycham za materiał stanika.

Udaje mi się jedynie usiąść na prowizorycznym łóżku i nic więcej, bo drzwi się otwierają, a do mieszkania wpada Sam. Wydaje się znacznie spokojniejszy niż w momencie, gdy z niego wychodził. W przeciwieństwie do mnie. Mam wrażenie, że stoję na krawędzi dachu i co gorsza, ściana za moimi plecami nieubłaganie się przysuwa. Zaraz zepchnie mnie w przepaść. Jestem tego świadoma,

ale przedłużam nieuchronnie. Mocno wczepiam się paznokciami w mur, szukając oparcia.

Samuel patrzy przelotnie w moją stronę, jakby chcąc skontrolować, czy jeszcze nie zwałam, a ja z całych sił staram się nie dać po sobie nic poznać. Tak naprawdę nie wiem, co mam ze sobą zrobić i gdzie podziać oczy, żeby z miejsca nie wychwyił, co właśnie zrobiłam. Sama w to nie wierzę. Wybieram najprostszą opcję, podciągam kolana do piersi, otaczając je jednocześnie ramionami, i opieram o nie czoło. Zamknięta pozycja, ale skuteczna, bo chociaż jeszcze przez chwilę czuję na sobie wzrok Sama, to szybko odpuszcza i bez słowa znika w łazience, o czym świadczy skrzypnięcie drzwi oraz szum wody najpewniej napełnianej do wanny. Wsłuchuję się w te dźwięki i stopniowo się wyciszam, minuty mijają, a wraz z upływającym czasem moje serce zaczyna bić niepokojąco spokojnie, równomiernie.

To jak cisza przed burzą.

Powoli dociera do mnie beznadzieja tej sytuacji. Przecież nie będę w stanie przed nim udawać, że nic się nie zmieniło. Muszę uciekać, wyjść z mieszkania, zanim się domyśli. Podrywam się na równe nogi, zbyt szybko, bo zaraz znowu ląduję na materacu. Ponawiam próbę, ale spokojniej. Skutecznie, ale to i tak na nic.

Świat przed moimi oczami już zaczyna wirować, na zmianę zawęża się do granic możliwości, żeby za sprawą jednego mrugnienia wybuchnąć feerią barw i świateł. Dostarcza nowych bodźców. Czuję, jakbym obudziła się na nowo. Chociaż moment wcześniej wszystko było szare, nijakie, teraz zachwyca swoją dokładnością i wielowymiarowością. Dostrzegam każdy najmniejszy detal. Nawet odrapana farba tuż przy oknie może uchodzić za mini arcydzieło. Przerażająco piękne.

Poklepuję rozpalone policzki, próbując doprowadzić się do porządku, ale to na nic. Mam lekką głowę, ale wciąż zbyt ciężką duszę, żeby odlecieć tak, jakbym chciała. Impas. Robię kilka kroków w stronę wyjścia. Podłoga faluje, panele przetasowują się pod moimi stopami jak talia kart. Nie trafiam w odpowiednie. Nigdy nie byłam zawodową hazardzistką. Potykam się. Wpadam na ścianę i chyba tylko to chroni mnie przed upadkiem. To albo czyjeś ręce, które

pojawią się znikąd i zaciskają się na moich nadgarstkach. Trzymają mocno, pewnie. Za mocno. Dotyk mnie boli. Niemal słyszę tarcie skóry o skórę, gdy przesuwa opuszkami po przegubie. Zaraz zgniecie pulsującą w tamtym miejscu żyłę, odetnie jej dopływ. Będzie po mnie. To powinno przerazić, ale nie umiem powstrzymać uśmiechu, który ciśnie mi się na usta.

– Brałaś coś?

Potrząsa mną. Mocno, a ja nie mam siły utrzymać sztywno głowy, przez co odskakuje jak u szmacianej lalki i uderza w ścianę. Jęczę cicho, ale on na to nie zważa. Bierze mój podbródek między palce i unosi go, by złapać ze mną kontakt. Patrzy spojrzeniem ciemnych oczu. W świetle padającym zza uchylonych drzwi łazienki jego tęczęwki wydają się całkowicie czarne, nie widzę choćby subtelnego odcięcia między źrenicą a tęczęwką. Fascynujące. Nieludzkie. Półmrok odbiera im człowieczeństwo. Intensywna barwa, niezmacona żadną inną, jakby nie miała zamiaru nawet akceptować ich istnienia, zawłaszcza dla siebie całą przestrzeń. To jeszcze bardziej mnie wciąga. Nie potrafię z nich nic odczytać, ale nie chcę przerywać tego kontaktu, czuję się jak zahipnotyzowana. On jednak ma inne plany, bo mknie spojrzeniem niżej. Nie wiem, co zamierza, ale w tym momencie jest mi wszystko jedno. Może zrobić ze mną, co tylko zapragnie. Nie mam ochoty protestować.

Uwalnia jeden nadgarstek tylko po to, by sięgnąć ręką do mojej piersi. Wciągam gwałtownie powietrze przez usta, gdy czuję na sobie jego dotyk. Każde muśnięcie rezonuje gdzieś głęboko w moim ciele, powodując, że się rozplątuję.

– Brałaś, kurwa – odpowiada sam sobie i macha mi przed nosem foliowym zawiniątkiem. Tym samym, który upchałam do stanika, by przed nim schować. Nieudolnie. – Nawet nie muszę pytać, skąd to miałaś. A pomyśleć, że byłem pewien, że nie znajdziesz tu nic, co ci się przyda.

Wzdycham i wypuszczam z drzeniem powietrze z płuc.

– Chciałam się na chwilę schować. Potrzebowałam tego.

Milczy i jedynie przygląda mi się w zamyśleniu. Przekrzywia głowę delikatnie w bok, jakby miał przed sobą niezwykle interesujący eksponat.

Nie ma. To wciąż ja. Tylko ja. A może jednak aż.

Ciemne włosy pod wpływem wilgoci kleją mu się do czoła. Cieszę się, że wciąż przytrzymuje moje ręce, bo mam piekielną, palącą wręcz ochotę sięgnąć do nich i odsunąć je lekko na bok. Chciałabym poczuć jego skórę pod swoimi palcami. Teraz. Właśnie w tym momencie, gdy wszystko dostarcza mi całkiem nowych doświadczeń. Tymczasem mogę tylko patrzeć i nie umyka mi moment, w którym na jego twarz skapuje pojedyncza kropla. Śledzę uważnie, jak lawiruje na skórze, rysując mokrą ścieżkę. Spływa po skroni, po krawędzi nosa, zahacza o kącik ust, aż w końcu skapuje ze szczęki. Nie wiem, czy spada na jego nagi tors i kontynuuje swoją wędrówkę w dół ciała, czy ląduje prosto na dywanie. Nie wiem, bo ją zgubiłam.

– Coś chyba nie wyszło, nie? Nadal cię widzę.

Sam marszczy brwi. Jego wzrok nieprzerwalnie ślizga się po mojej twarzy, a intensywność tego spojrzenia i ta narzucona niespodziewanie bliskość powodują, że coś w moim podbrzuszu zaciska się w ciasny supeł. Nie wiem, czy to uczucie mi się podoba, czy nie. Jestem zagubiona. Zgubiona. Jak ta kropla.

– Jedynie powłokę – mamroczę cicho, ale wydaje mi się, że on słyszy, a co więcej, naprawdę mnie słucha. Nie wiem, na ile uważnie, ale nie przerywa, więc zmuszam się, żeby kontynuować: – Do środka nie dotrzesz, za bardzo się rozsypało. Trzeba byłoby się w tym babrać, a mało kto chce ubrudzić sobie ręce. Myślałam, że sama sobie z tym poradzę.

– Postanowiłaś więc dosypać tam jeszcze więcej prochu? Brawo, kurwa – prychnęła. – On cię nie umocni. Nic z niego nie ulepisz, chociaż może liczysz chwilowo na zajebicie kolorowy zamek, ale nie ten materiał, księżniczko. On może cię jedynie pochłonąć żywcem jak ruchome piaski. To powolne i nędzne zdychanie. Nie chcesz tego. Uwierz. Nie ma takich grzechów, które byłyby tego warte.

Puszcza, a mnie natychmiast zaczyna brakować jego dotyku. Odwraca się, odchodzi. Chcę go przy sobie zatrzymać jeszcze przez chwilę, więc biorę głęboki oddech i wyrzucam z siebie resztką sił:

– Nawet jeżeli zabiłam własnego ojca?!

Sam przystaje, ale nie wraca. *Co mam jeszcze powiedzieć, żeby to zrobił?* Nawet nie patrzy w moją stronę, przez co narasta we mnie

potrzeba dalszego mówienia. Muszę sprowokować go do reakcji. Jakiegokolwiek. Nie mam już nic więcej do stracenia.

– To wystarczy? Zrobiłam to! Przyłapał mnie z chłopakiem na wykradaniu danych z jego firmy. Byłam pijana, niewiele z tego pamiętam, jakieś szczątki i to, co opowiadał mi potem Adam, ale tata... on... on... – jąkam się. Nie umiem uformować logicznego zdania. Chcę mówić szybko, zanim braknie mi odwagi, ale język nie nadąża za wyrzucanymi słowami. Brakuje mi tchu, starcza go tylko na nędzne półzdania: – On strasznie się wściekł. Chyba chciał podejść, odsunąć mnie, a ja nas broniłam. Może. Albo zrobiłam to w złości. Nie wiem. Denerwował mnie... Wydawało mi się, że zależy mu jedynie na kontrolowaniu mojego życia. Wieczne oczekiwania i brak zadowolenia. Ciągle musiałam być lepsza i lepsza. Nie wyrabiałam! Chciałam, żeby odpuścił. Chociaż raz. A potem już tylko, żeby zniknął. Wtedy też. Odepchnęłam go i upadł. Uderzył głową w biurko, przestał się ruszać. Adam mówił, że chciał mu pomóc, ale tak bardzo krzyczałam, żeby go zostawił, że w końcu posłuchał. Uciekł ze mną. Nikomu nie powiedzieliśmy. A tata zniknął. Faktycznie. To przeze mnie...

Pochyliłam się, opierając dłonie na kolanach i dyszę ciężko jak po długim biegu. To jednak kosztowało mnie zbyt wiele. Łapczywie łapię powietrze. Łzy gromadzą się pod powiekami, przysłaniając mi pole widzenia, ale nie płyną dalej. Prawda powinna oczyszczać. Ja tego nie czuję. Jednocześnie chce mi się płakać i wymiotować, a jedynie krztuszę się szlochem. Nie robię żadnej z tych rzeczy. Nie jestem w stanie.

– I co? Chcesz, żebym w ramach wymiany informacji zaczął opowiadać ci historię ludzi, których sam pozbawiłem życia? Nie liczn na to. Połowy ich nie znam, a druga część nie jest warta, by o niej rozmawiać.

Powoli się prostuję. Opieram głowę o ścianę i patrzę na niego spod półprzymkniętych powiek. Walczę, ale te są tak ciężkie, że nie mam siły trzymać ich dalej w górze.

– Nie oceniasz mnie?

Samuel zbliża się do mnie w dwóch krokach. Zanim mam choćby szansę krzyknąć, ponownie zamyka mnie w ciasnej przestrzeni

między sobą a ścianą. Teraz jest znacznie bliżej. Napiera całym ciałem, powodując, że wzdłuż kręgosłupa przemyka mi zimny dreszcz. Poruszam się za jego sprawą niespokojnie, ale natychmiast nieruchomieję, gdy Sam się nachyla.

– Właśnie ci się przyznałem, że zrobiłem coś znacznie gorszego od ciebie – szepcze mi do ucha, a ja zamykam oczy. – Zabijałem. Nie raz i nie dwa. Z premedytacją. A ty jedynie martwisz się moją oceną?

Ma rację. Ta myśl kołacze mi się z tyłu głowy i nabiera większego znaczenia, gdy Sam jedną rękę opiera na mojej szyi. Łatwo mógłby ją zgnieść. Musi czuć szalejący puls, ale to nie sprawia, że się odsuwa, wręcz przeciwnie. Drugą dłonią chwyta mnie za biodro, przytrzymuje, mocno zaciskając na nim palce. Boli, ale nie chcę, żeby puszczał. Wtedy będzie jeszcze gorzej.

– Myślisz, że mam do tego prawo? – kontynuuje. – Od początku wiedziałem, że coś jest z tobą nie tak. Nikt, kogo nie gryzie sumienie, nie pokutowałby w ten sposób. Wszyscy uciekają na ulicę z jakiegoś powodu. Czasem to życie ich do tego zmusza, a czasem sami chcą je wykiwać. Wydaje im się, że są cwani i bez żadnych konsekwencji mogą odciąć się od przeszłości grubą linią, a ona idzie za nimi. Krok za krokiem. Cierpliwie.

– Za tobą też idzie? – wyduszam z siebie. Mój oddech się rwie, staje się jeszcze cięższy. Nie wiem, co się ze mną dzieje, a on wcale mi nie pomaga.

– Dyszy mi w kark, aniołku, ale nie udaję, że wcale tak nie jest. Ja po prostu wiem, jak się z nią obchodzić, żeby nie wcisnęła mnie w glebę.

Znowu skupiam wzrok wyłącznie na nim. Jego usta są tak blisko, że niemal wyczuwam ich dotyk na sobie. Jego oddech owiewa moje lekko rozchylone wargi, przemyka po nich i dostaje się między nie. Mam wrażenia, że sięga głębiej. Pędzi prosto do płuc, wprowadza w nie tlen, którego tak bardzo mi brakuje. Ale wciąż mi za mało, wciąż potrzebuję więcej. Rozchyłam usta szerzej, ale Sam ani drgnie. Nie reaguje na sygnały.

– Ty też możesz się tego nauczyć – odzywa się prawie niesłyszalnie, ochrypłym tonem, który wprawia całe moje ciało w drżenie.

Strząsam z siebie wyrzuty sumienia, ale natychmiast w ich miejsce wskakuję coś innego, dużo gorszego, nad czym mam jeszcze mniejszą kontrolę. Czuję się pobudzona, nakręcona, cholernie niespokojna. Narkotykowa mgiełka pęta moje myśli, zniewala. Nie umiem ustać w miejscu, muszę się poruszać. Jest mi tak gorąco, że najchętniej wyskoczyłabym nie tylko z ubrań, ale też z własnego ciała.

– To zależy wyłącznie od ciebie, bo to wszystko jest tylko w twojej głowie. Postaraj się i rozłóż jeszcze raz te jebane skrzydła, wciąż masz szansę polatać – dodaje stanowczym tonem.

Przesuwa rękę z mojego gardła na policzek. Delikatnie dotykając mnie opuszkami, zgarnia na bok opadające na moją twarz włosy, które do tej pory przysłaniały mi pole widzenia, ale nie zwalnia przy tym brutalnego nacisku na biodro, wciąż mocno wbijając w nie palce. Połączenie tych dwóch bodźców miesza się w mojej głowie w jedno. Gubię się we własnych odczuciach. Wszystko odbieram wyraźniej, intensywniej. I nie radzę sobie z tym najlepiej. Mam wrażenie, że palce, które ledwie mnie muskają, wręcz zatapiają się w mojej skórze, przenikają ją i sięgają dużo głębiej, szarpią za delikatne nerwy niczym za struny, powodując, że raz po raz razi mnie ból. Ból zmieszany z tak wielką przyjemnością, jakiej jeszcze nie doświadczyłam. Chciałabym, żeby przerwał, a jednocześnie boję się momentu, w którym to zrobi.

– Chyba potrzebuję pomocy – jęczę i poruszam się niespokojnie, bezwstydnie ocierając się o niego. Nie potrafię się powstrzymać. – Potrzebuję wskazówek. Możesz mi ich udzielić? Proszę.

Duszę się. Niemal po omacku odnajduję jego usta i przykładam do nich własne. Błagam o ratunek. Nie musi mnie budzić, wystarczy, że wydostanie z tego koszmaru. A on pomimo początkowego zaskoczenia wyciąga w moją stronę pomocną dłoń. Całuje mnie mocno i brutalnie. Zaraz zmiażdży moje usta swoją siłą, nieustępliwością. Rozdziela wargi, wdziera się do środka, łącząc nasze języki. Jego ręce zapędzają się coraz bardziej, błędzą, zagarniając dla siebie każdy skrawek mojego ciała. Jest zdecydowany w swoich ruchach, podczas gdy ja nie potrafię za nim nadążyć. To mnie nie przeraża.

Chcę, żeby mnie pochłonał.
A jest w tym świetny.

Rozdział 17

Samuel

Nie wierzę, że pozwoliłem się tak spętać. I to w tak krótkim czasie, do chuja! Własne słabości nie przestają mnie dobijać, choć tak uparcie wypierałem się ich istnienia. Co prawda, raz już pozwoliłem im na chwilę przejąć nade mną kontrolę, ale zaraz potem kazałem zniknąć. Posłuchały i nie przypominały o sobie przez lata. W tym czasie osłabły, a w każdym razie chciałem w to wierzyć. Nie mogłem się bardziej pomylić. Teraz ujawniają się ponownie wszystkie naraz, i to z całą mocą. Wyskakują z ukrycia i cieszą się dziecięcą radością, widząc zaskoczenie na mojej twarzy. Muszę przyznać przed samym sobą, że byłem naiwny, sądząc, że nic mnie nigdy więcej już nie złamie. Wydawało mi się, że śmierć siostry zrobiła to dostatecznie. Dużo czasu zajęło, zanim dźwignąłem się z kolan i na nowo stałem się mocny. Silniejszy niż kiedykolwiek. Tymczasem znowu pękam. Nie rozumiem, jak do tego doszło, nie akceptuję. W życiu się z tym nie pogodzę, ale nie mogę zaprzeczyć, że istnieje rysa.

To wszystko przez nią.

W pamięci wciąż mam Sky i jej nieobecne spojrzenie. Widywałem je często u różnych osób sięgających narkotykowych szczytów, ale w tej odsłonie zrobiło to na mnie większe wrażenie, a przy tym okazało się nieprzewidywalne, kompletnie niszczycielskie. Mogłem przyjrzeć mu się dokładnie, bo zbliżyła się do mnie tak jak jeszcze nigdy wcześniej. Zdrowy rozsądek do reszty ją opuścił, zniknęły wszelkie zahamowania. Była gotowa oddać mi nie tylko ciało, ale też całą duszę. Zrobiła pierwszy krok i chciała, żebym nią zawładnął. Spowodowała, że po raz kolejny zacząłem wątpić w jej niewinność, a jeszcze mocniej zastanawiać się nad tym, czego już zdążyła doświadczyć w życiu. Chciałem to sprawdzić, ale Skyler mnie wyręczyła. Wyznała swoje grzechy i miała wielką ochotę za nie

odpokutować. Zaczęła natychmiast, ale zdmuchnęło ją i odleciała, zanim zaczęło robić się naprawdę ciekawie. Niestety, w zupełnie inny sposób, niż doradzałem. Nie spodziewałem się, że wybierze taką drogę. Choć czy w ogóle można mówić w tym przypadku o wyborze? Ona zdecydowanie ma problem, nie umie prawidłowo wykorzystać pieprzonych skrzydeł, jakby nie wierzyła, że może z nich zrobić użytek.

I niby jestem od niej lepszy? Raczej gorszy. Nie tylko ze względu na moją przeszłość. Obecnie jeszcze więcej spraw wymyka mi się z rąk. Uderzają o ziemię z głośnym jebnięciem, roztrzaskując się na kawałki, z których nie potrafię poskładać już całości. Zawaliłem z Vicky, zawalam teraz, mimo że wmawiam sobie, że wszystko idzie zgodnie z planem. Sky przynajmniej nie oszukuje samej siebie. Sama nie stąpa po sponiewieranych odłamkach. Miesza i płacze, ale tylko po to, by zmylić innych, wewnątrz jest świadoma własnej kruchości. To też widziałem w jej oczach. Czułem pod palcami, gdy na moment pozwoliłem, żeby przejęła kontrolę. Taka krucha... *Kurwa!* Mówiłem jej o skupieniu się na wolności, a sam nie potrafię po nią sięgnąć, choć jest na wyciągnięcie ręki. W każdym razie zawsze się tam znajdowała, dopóki ona mi jej nie wytrąciła. Zrobiła to, gdy straciłem czujność, bo ilekroć próbuję, natrafiam na pustkę, a i wyciągnąć rękę jest mi coraz trudniej. Pętają ją więzy.

Muszę się uwolnić, raz na zawsze rozgonić ciężące nade mną demony, a przede wszystkim udowodnić sobie i pozostałym, że to ja wciąż trzymam najmocniejsze karty w garści i nikt nie jest w stanie mi ich wytrącić. Pora wyrównać rachunki i sprawić, że pieprzony Dylan Madsen popamięta mnie do końca życia. Chwytam się tej myśli jak liny ratunkowej i nie puszczam. To musi się udać, musi dociągnąć mnie na stabilniejszy brzeg. Poświęciłem na to zbyt wiele czasu. Rozpracowałem ich zwyczaje, cały rytuał dnia. Nic mnie nie zaskoczy.

Kręcę się przed blokiem, niedaleko wejścia, by nic mi nie umknęło, ale jednocześnie starając się zbytnio nie rzucać w oczy. Wiem, że niebawem wyjdą na spacer, jak codziennie o tej porze. Robią to niezależnie od pogody, więc nie sądzę, że tym razem coś je zniechęci. I dobrze, bo te okoliczności bardzo mi sprzyjają. Przez

padający śnieg mało kto ma ochotę się rozglądać wokół. Uroki zimy bawiły tylko na początku, teraz stały się uciążliwe. Wszyscy pochylają głowy, wlepiają spojrzenia w ziemię i zdecydowanym krokiem zmierzają przed siebie, byle tylko jak najprędzej dotrzeć do celu. Ja się nie spieszę. Mógłbym zadzwonić domofonem do któregoś z mieszkań, okłamać jego lokatorów i zakręcić tak, by mnie wpuścili na klatkę, a potem popłynąć na fali ściem i rozwiązać to znacznie szybciej, ale wolę nie ściągać na siebie niepotrzebnie dodatkowej uwagi. Zrobię to, jeżeli wkrótce się nie zjawia. To mój plan B. Na razie wyczekuję. Cierpliwie.

Wystarczy tylko jeden moment.

Drzwi w końcu się uchylają, a moje mięśnie niemal samoistnie się napinają. Jestem gotowy i dopada mnie niemałe rozczarowanie, gdy nie zauważam swojego celu. Nie od razu. Z wnętrza budynku wychodzi najpierw młoda kobieta z dziecięcym wózkiem. Męczy się i szarpie, próbując jednocześnie wypchnąć pojazd oraz wyciągnąć opornego chłopca, który wyje wniebogłosy i zapiera się nogami. Nie jest w humorze. Na szczęście szybko znajduje się ktoś, kto spieszy im z pomocą.

– A co tu się dzieje? – Dołącza do nich staruszka, choć bardziej niż ona interesuje mnie towarzysząca jej dziewczynka. Nie spuszcza z niej oka. – Tommy, taki duży chłopiec i płacze?

– Ma dzisiaj gorszy dzień – tłumaczy jego matka i wkłada malca do wózka, a raczej stara się to zrobić, bo dzieciak ani myśli się uspokoić. Dodatkowa widownia tylko wzmaga jego histerię. Nie uspokaja się nawet, kiedy w końcu ląduje we właściwym miejscu. Pręży się, szamocze, a jego buźka pomimo panującego zimna przybiera coraz intensywniejszy kolor czerwieni. – Chociaż ostatnio ma ich całkiem sporo. Ewidentnie załączył mu się bunt dwulatka.

– Chaps go pociesz! – wtrąca się Maddie. – Patrz, Tommy, on macha do ciebie łapką! O! A teraz się zbliża! Jest coraz bliżej i zaraz chyba ukradnie buziaka! – Dziewczynka macha pluszowym psem przed twarzą dzieciaka, powodując, że ten przełyka łyzy, patrząc na nią niepewnie, ale po chwili zaczyna chichotać.

Czarodziejka. Jestem ciekaw, jak zareaguje na moją propozycję zabawy w znikanie.

Już niedługo.

– Gdzie się wybieracie, Maddie? – zagaduje matka malca i buja wózkiem, bo dzieciak na nowo zaczyna się niecierpliwić.

– Pani Kate zabiera mnie dziś na lodowisko! Tam, gdzie byłam ostatnio z rodzicami! Pokażę, jak tatuś nauczył mnie ładnie jeździć! Będę wirować jak śnieżynka!

– Ale ekstra! My idziemy do sklepu, ale w tym samym kierunku. – Kiwa głową w stronę, w którą mają zamiar się udać. – Odprowadzimy was troszkę. Może wpadniesz później do Tommy’ego? On lubi się z tobą bawić, a ja bardzo chętnie napiję się z panią Kate herbatki i posłucham, jak sobie poradziłaś.

Maddie podskakuje w miejscu, pokazując, jak bardzo cieszy ją ten pomysł, co panie kwitują uśmiechami i wspólnie ruszają przed siebie. Kiedy mijają mnie, nieświadomie przechodząc tuż obok, malec wychyla się z wózka. Rzuca mi zaciekawione spojrzenie, ale w momencie, gdy odwzajemniam się tym samym, w jego oczach pojawia się załzązek strachu, jakby właśnie dostrzegł to, co umyka wszystkim dorosłym. Prawdziwa szkoda, że nie będzie w stanie zdradzić nikomu mojej tajemnicy. Podążam za nimi jak cień, pilnując, żeby nie przegapić żadnej możliwej okazji do wcielenia w życie swojego planu. Wypatruję wszelkich przejawów bezmyślności, bo to ona jest moim największym sprzymierzeńcem.

Panie zbliżają się do skrzyżowania i tu się rozstają. Kobieta z wózkiem przechodzi na drugą stronę ulicy, a staruszka zatrzymuje się przy bankomacie.

– Poczekaj, kochanie! – woła za dziewczynką, bo ta wybiegła już daleko do przodu. – Nie oddalaj się tak, musimy tutaj wypłacić pieniądze.

Staruszka skupia się na obsłudze maszyny i nie zauważa, że dziewczynka nawet nie myśli czekać. Nie potrafi ustać w miejscu. Zamiast pilnować się swojej opiekunki, zaczyna przeskakiwać z jednej płyty chodnikowej na drugą i tym samym oddala się coraz bardziej, mieszając się z tłumem przechodzących osób. I dobrze. Niepostrzeżenie podążam jej śladem, przemykając między zaparkowanymi przy chodniku autami. Kiedy jestem już bardzo blisko i mam pewność, że mnie zauważy, wychylam się i macham do

niej ręką, zwracając na siebie uwagę i zachęcając, żeby podeszła, po czym natychmiast się chowam. Wiem, że to na nią podziała. Słusznie. Nie mija nawet chwila, gdy widzę ją tuż przed sobą.

– Co tu robisz? Bawisz się w chowanego? – pyta i chichocze, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi. Nie przejmuję się, że ma do czynienia z całkowicie obcym człowiekiem. Jest zbyt ufna, co w tym momencie jest mi na rękę. – Albo masz jakiś sekret?

– Szukam mojego pieska. – Przykucam, by niby zajrzeć pod auto.
– Nie widziałaś go może? Taki kudłaty, bardzo podobny do tego twojego. – Wskazuję ruchem głowy na maskotkę, którą wciąż trzyma kurczowo w rękach. – Byliśmy na spacerze, ale przestraszył się huku i uciekł. Szukałem go już wszędzie. Może mogłabyś mi pomóc? Bardzo za nim tęsknię.

Gra na emocjach jest skuteczna, bo mała natychmiast się rozpromienia.

– Nie martw się! Ja go znajdę! Położę tylko tutaj Chapsa, żeby pani Kate wiedziała, że zaraz wrócę – świergocze i ustawia maskotkę na krawężniku, po czym chętnie podaje mi rękę. Przepuszczam małą przodem. Niby przypadkiem potrącam przy tym maskotkę nogą, powodując, że stacza się z chodnika i wpada pod auto.

Pani Kate będzie musiała postarać się trochę bardziej.

Przebiegamy przez ulicę i zagłębiamy się w wąskim przejściu między dwoma budynkami. To najkrótsza droga, by oddalić się stąd niepostrzeżenie, a ja chcę zniknąć, zanim staruszka zorientuje się, że zgubiła dziecko, i narobi zamieszania albo Maddie jednak przypomni sobie, że nie powinna rozmawiać z nieznajomymi, nie wspominając już o urządzaniu sobie spacerków z nimi. W tym momencie cieszę się, że jej rodzice nie wpoili zbyt mocno tych zasad do tej małej, nierozważnej główki.

– A twój piesek był mały czy duży? – dopytuje, wesoło podskakując przy moim boku. – Mały mógł wpaść do jakiejś dziury. Sprawdziłaś? – Spogląda na mnie kontrolnie, a kiedy przytakuję, wzdycha z ulgą. – To dobrze, ale możemy jeszcze raz. Małe pieski tak mają. Ja chciałabym dużego, bo takiego trudniej zgubić. Tatus tak zawsze mówi.

– Twój tatuś jest... bardzo mądrym człowiekiem – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Tak! Jest najmądrzejszy na całym świecie! – woła ucieszona, nic nie robiąc sobie z tego, że właśnie zgniatam jej rękę w swojej. Opamiętuję się w ostatniej chwili. – Mamusia też! Może potem pokażemy im twojego pieska? Będą taaacy szczęśliwi!

– Pewnie. – Jestem przekonany, że oboje będą wręcz szaleć. Jedynie to szczęście jest dyskusyjne.

– A jak on ma na imię? Teddy? A może Milo? Moja koleżanka ma Milo i to taki bardzo mały piesek. A twój może też tak ma?

– Tak, tak. Właśnie tak. Milo – burczę, chcąc jak najszybciej uciąć ten temat. Drażni mnie jej niekończące się trajkotanie. Jest bardziej irytująca niż Vicky.

– Ekstra! Muszę jej o tym powiedzieć, bo mówiła, że nikt inny tak nie ma. A ty masz! – Milknie na chwilę, a potem nabiera gwałtownie powietrza i mówi z jeszcze większym zapałem: – Mam pomysł! A może zrobimy mamie i tacie kolejną niespodziankę? Kupimy jakiś prezent? Tatuś lubi ciasteczka orzechowe, a mamusia czekoladowe misie. Kupimy takie? Widziałam je przy lodowisku. A ty? – Znowu na mnie patrzy, a kiedy kręcę głową, zaciska usta w wąską kreskę. Ewidentnie ta odpowiedź jej się nie spodobała. – Musiałeś! – Oburza się. – Stałeś tam obok nich!

Jestem zaskoczony nie tylko dlatego, że zwróciła na mnie wtedy uwagę, ale również, że zapamiętała. Nie daję jednak tego po sobie poznać, choć ona nie przestaje mnie prowokować. Jej oczy, identyczne w odcieniu jak u ojca, błyszczą z podeksycytowania, jakby odkryła właśnie największy sekret. Triumfuje, a to sprawia, że mam jeszcze większą ochotę ją ukatrupić. Teraz. Zaraz. Natychmiast. I nie liczyć się z konsekwencjami.

– Super pomysł. – Unoszę kciuk, próbując wykrzesać z siebie odrobinę energii. Podbudowuje mnie sama myśl, że niedługo to wszystko się skończy. Ostatecznie. Osiągnę to, co chcę, odegram się i wynagrodzę sam sobie stare krzywdy. Oni wszyscy pożałują, a ja w końcu będę rozkoszować się ciszą. – Ale najpierw znajdziemy tego pieska, dobra? Był malutki. Dziury sprawdziłem, ale mógł wpaść do piwnicy. Chyba od niej zaczniemy, co? O, zobacz, tam są nawet

otwarte drzwi! – Pokazuję jej wejście do jednego z opustoszałych budynków. Trochę bliżej, niż zamierzałem odejść, ale czuję, że dłużej już nie wytrzymam. – Jestem przekonany, że mógł tam zajrzeć i nie umie wyjść.

– Sprawdźmy!

Maddie puszcza moją rękę i wyrywa się do przodu. Śmiało wbiega do kamienicy, a ja powoli podążam za nią. Nawet się przy tym nie waha. Nie przedłuża niczego, nie rozkoszuje się promieniami słońca, które ma okazję zobaczyć po raz ostatni. Jest koszmarnie nieświadoma tego, co stanie się lada moment. Bez cienia strachu wpada do piwnicy i zatrzymuje się dopiero na progu. Staję tuż obok niej, czekając na to, co zrobi.

– Strasznie tu ciemno – odzywa się niepewnie. – I zimno – dodaje, pocierając rękami ramiona.

Ma rację. Przez niewielkie okratowane okna umieszczone wysoko pod sufitem wpada odrobina światła, ale wciąż niewystarczająca, żeby rozjaśnić panujący mrok i ogrzać tę przestrzeń. Pomaga jedynie nie zderzyć się z czarną ścianą, bo kiedy moje oczy przyzwyczajają się dostatecznie do tych warunków, dostrzegam zarys znajdujących się tutaj przedmiotów. Stara szafa, drewniany stół, krzesło i stos kartonowych pudeł z niewiadomą zawartością, porozstawianych na chybił trafił. Nie ma tego dużo i wątpię, żeby wśród tych rupieci znalazło się coś cennego, wszystko, co miało jakąś wartość, najpewniej już dawno zostało stąd wyniesione.

– Ale to nic, damy radę! – woła. – Milo! Milo!

Powoli wchodzi dalej do pomieszczenia i rozpoczyna poszukiwania, starając się w nic nie uderzyć ani się nie potknąć. Nie przestaje nawoływać. Jeszcze nie wie, że trafi jedynie na własną zgubę. Nie znajdzie tu nic więcej. Nie tylko dlatego, że pies nie istnieje. Po prostu tam nic nie ma. Po drugiej stronie nic na nikogo nie czeka. A ona sama pieczętuje swój los.

Maddie przetrząsa zakamarek po zakamarku, cały czas odwrócona do mnie tyłem. Nie mógł mi się zdarzyć łatwiejszy cel. To nawet nie wymaga wysiłku. Wyjmuję broń, przygotowuję i wymierzam. Palec niecierpliwie podryguje nad spustem. Wystarczyłoby, żebym teraz go

nacisnął, a padłaby trupem, zanim tak właściwie zdążyłaby się zorientować, co się dzieje. Chcę to zrobić. Pragnę tego całym sobą.

Żyłem chęcią zemsty przez ostatnie cztery lata. To ona mnie napędzała, była sensem mojego istnienia. Obecnie osiągnęła kulminacyjny punkt. Teraz mogę w końcu zamknąć ten dział. Ruszyć dalej, a przy okazji udowodnić wszystkim wkoło, że ciągle jestem w formie i nic mnie nie złamie.

Przełykam z trudem ślinę i napinam wszystkie mięśnie. Jestem tak bardzo podekscytowany wizją nowego życia, bez wiążącego mnie poczucia niespełnienia, że rozkoszuję się tą chwilą. Zbyt długo. Daję się zaskoczyć i tracę dobry moment na reakcję.

– Myszka!

Maddie nagle podskakuje i przykuca. Chowa się za stołem, przez przypadek pociągając za sobą leżący na blacie skrawek ciemnego materiału, który spada jej na głowę. Chichocze, ale ja nie daję się rozproszyć. To przecież żaden kamuflaż... *A może jednak?* Wyobraźnia płata mi figła. Patrzę na otuloną materiałem dziewczynkę, a obraz przed oczami mi się zamazuje. Kiedy nabiera ostrości, już nie widzę przed sobą Maddison. Blond włosy ściemniały, pofalowały się. Kogoś mi przypomina.

To niemożliwe...

Wszystko przez te pieprzone ciemności! Ręka mi drży, nie potrafię tego opanować. Pomimo panującego chłodu robi mi się gorąco. Mrugam pospiesznie, pocieram oczy wolną ręką, ścierając napływający do nich z czoła pot, ale to na nic. W uszach zaczyna mi piszczeć, a kiedy upiorny dźwięk mija, słyszę jedynie ciszę. Taką samą jak wtedy, w ten najczarniejszy dzień.

Wspomnienia pożerają mnie coraz bardziej. Nie umiem przed nimi umknąć, ale gdy czuję, że zaczynam sięgać dna, coś ciągnie mnie za rękaw kurtki. Maddie. To ona. Stoi tuż przede mną i wlepia we mnie naiwne spojrzenie. Takie samo, jakim często obrywałem od Olivii, gdy nie potrafiła zrozumieć mojego postępowania. *Kurwa!* Nie przestaję ich porównywać. Staram się, ale nie dostrzegam już w niej podobieństwa do ojca, na którym tak bardzo chciałem się zemścić. Teraz przed oczami mam wyłącznie twarz własnej siostry. Nie zasłużyła na taki los. A Maddie? Jej jedynym przewinieniem jest to,

że w jej żyłach płynie ta sama krew co u człowieka, którego nienawidzę i którego tak bardzo chciałbym ukarać. Niewiele. Ale Ollie też była niewinna, a mimo to nikt o nic nie pytał. Przypominam sobie moment, w którym ją znalazłem. Pamiętam, jak wielka była plama krwi na jej białej sukience... Nie chcę tego powtórzyć. Albo chcę.

– Tutaj nie ma twojego pieska i myszka też mi uciekła – tłumaczy, nawet nie zdając sobie sprawy z batalii, jaką właśnie urządzają sobie w mojej głowie myśli. Na szali waży się jej los. – Głupio. Może poszukamy go gdzie indziej? Tylko musimy wrócić i poprosić panią Kate, żeby z nami poszła. Weźmiemy też Chapsa i na pewno wszystko się uda. Nie martw się! – Przenosi wzrok niżej i przygląda się niepewnie broni, którą wciąż trzymam w wyciągniętej ręce. – Co to?

Ignoruję jej pytanie i cofam się krok za krokiem. Przekrzywia głowę i marszczy czoło, nie pojmując zasad tej zabawy, ale nie rusza się z miejsca.

A ja... ja dłużej już tak nie mogę.

Zaczyna brakować mi tchu, a ściany piwnicy zbliżają się coraz bardziej. Zaraz mnie zgniotą. W jednej chwili podejmuję decyzję, a raczej to moje ciało podejmuje ją za mnie. Rzucam się do wyjścia i zatraskuję za sobą drzwi, opierając się o nie plecami. Rozglądam się za czymś, co utrzymałoby je w tej pozycji. I mam. Chwytam za kawał starej deski i układam ją tak, by zapobiegała ich ponownemu otworzeniu. Mała zaczyna uderzać w nie pięściami, ale to nic nie daje.

Już się stąd nie wydostanie.

Rozdział 18

Skyler

Odwracam się na plecy, jęcząc cicho. Pobudka jest trudna, a jeszcze trudniejsze wydaje się wstanie, biorąc pod uwagę, jak bardzo zdrętwiały mi nogi. I ręce. Mam wrażenie, że cała zamieniłam się w kłodę. Ale tylko w mojej wyobraźni, bo jednak kawał drewna nie może czuć się tak fatalnie, a mnie w tym momencie boli wszystko. Najbardziej głowa, która pulsuje nieznośnie, jakby odliczając czas pozostały do zakończenia autodestrukcji. Sama ją zapoczątkowałam.

Znowu to zrobiłam. Przegięłam. I mam za swoje, skutki są przykre.

Otwieram oczy, walcząc przez chwilę z ociężałymi powiekami, by chciały dłużej utrzymać się w górze. Kosztuje mnie to tyle wysiłku, że do gardła zaczyna napływać mi gorycz. Staram się uspokoić własne ciało, unormować to, co zostało wzburzone. Oddycham głęboko przez nos i patrzę tylko w jeden punkt na zszarzałym suficie. Nie wymagam od siebie zbyt wiele. To działa, bo po chwili fala mdłości się cofa, aż w końcu całkiem ustaje.

Ostrożnie spoglądam w bok. Miejsce, w którym zazwyczaj śpi Sam, jest puste. Norma. Zaczynam się do tego przyzwyczajać. Poprzednim razem takiemu widokowi towarzyszyły wyrzuty sumienia i myśli, że swoją obecnością wypędzam gospodarza z jego własnego mieszkania, ale tym razem czuję ulgę. Nie wiem, jak miałabym mu wyjaśnić, co tak właściwie zaszło między nami. To będzie niezręczne. Bardzo się boję tej rozmowy.

Wzdycham.

Próbuję ustalić, ile czasu już upłynęło i która jest godzina, ale na próżno. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam takiego rozbicia. Półmrok za oknem nie pomaga. Równie dobrze może oznaczać świt, jak i skradający się wieczór. Kompletnie straciłam poczucie czasu. I pamięć, bo patrząc na swój strój, a raczej jego częściowy brak,

dochodzę do wniosku, że nie przypominam sobie momentu, w którym postanowiłam pozbyć się ubrań. Nie wszystkie wydarzenia układają mi się w spójną całość. Ich złożenie na pewno zajmie mi dłuższą chwilę.

Dźwigam się z miejsca i kieruję się do łazienki. Liczę, że kąpiel postawi mnie na nogi. Myję się zimną wodą, namydlam, korzystając z resztek znalezionej mydła. Mam nadzieję, że Sam nie będzie miał mi tego za złe. Odkupię... Kiedyś. Kiedy tylko będę mogła. Kończę myć włosy i przez chwilę rzeczywiście czuję się bardziej sobą. W końcu zaczynam przypominać człowieka. Tak bardzo pragnę normalności, że idę za ciosem i wrzucam do wody ubrania. Piorę je w rękach, a potem kładę na parapecie, żeby jak najszybciej wyschły.

W mieszkaniu jest chłodno, więc narzucam na siebie sweter, który zaliczył kąpiel już poprzedniego dnia, po czym wychodzę z łazienki. Powoli podchodzę do zlewu. Napełniam szklankę wodą, piję łapczywie, jakbym długo błędziła i w końcu znalazła upragnione źródło. Powtarzam tę czynność raz i drugi. To nie przynosi ulgi. Żar nadal pali mnie w gardle, nie umiem go ugasić. Sięgam ponownie, ale zanim udaje mi się sięgnąć do kurka, czyjś ciepły oddech owiewa mój kark.

Ktoś stoi tuż za mną.

– Wczoraj powiedziałaś, że mnie potrzebujesz. Pamiętasz?

Podskakuję nerwowo, słysząc tuż przy uchu głos Sama, a szklanka wyślizguje mi się z ręki. Uderza o blat, roztrzaskując się przy tym na drobne kawałeczki, które wpadają do zlewu. Przyglądam się im obojętnie, a w mojej głowie nadal bębnią te same słowa.

– Dzisiaj to ja potrzebuję ciebie.

Chyba się przesłyszałam. Zmaltretowana wyobraźnia płata mi figla za karę.

Odrywam wzrok od stłuczonego szkła w zlewie i się odwracam. Zbyt szybko, bo wpadam na Sama całym ciałem. Nie spodziewałam się, że podszedł tak blisko. Nawet nie zorientowałam się, w którym momencie wszedł do mieszkania! Tymczasem zamknął mnie w ciasnej przestrzeni między sobą a szafką.

Co jest ze mną nie tak?

Samuel nie wygląda najlepiej, ewidentnie coś się w nim zmieniło. Nie potrafię określić co, ale wydaje mi się zdenerwowany, a jednocześnie przybity, jakiś taki nieswój. I to spojrzenie! Patrzy w dziwny sposób, zupełnie niepasujący do tego rozedrgania, które od niego wręcz bucha. W innych okolicznościach powiedziałabym, że widzę w jego oczach podziw, ale to absurd. Pomimo kąpieli wyglądam koszmarnie. Aktualnie nie ma we mnie nic, absolutnie nic, co mogłoby mu się podobać.

– Sam? – pytam cicho, ale bardziej, żeby wypróbować swój głos, sprawdzić, czy wciąż działa prawidłowo pomimo obolałego gardła, niż z chęci nawiązania rozmowy.

Nie reaguje.

Pochyla się w moją stronę, a ja nie mam gdzie uciekać, choć tak naprawdę już nie wiem, czy rzeczywiście chcę to robić. Nie jestem pewna niczego. Narastają we mnie dwie sprzeczne chęci. Pierwsza, by go odepchnąć, ale zaraz za nią idzie druga, która podpowiada mi, że chciałabym przyciągnąć go jeszcze bliżej. Najlepiej tak, aby nie dzieliła nas już żadna przestrzeń i żeby skończyć to, do czego wczoraj nie doszło. Ona jest silniejsza.

Przysuwa usta do mojej szyi, a ja automatycznie przechylam głowę w bok, by ułatwić mu dostęp. Muska delikatnie moją skórę, składa prawie niewyczuwalny pocałunek, wywołując na niej dreszcze. A po nim kolejny. Niecierpliwy, nerwowy, ale jednocześnie wciąż gotowy do wycofania się. Chciałabym zapytać, co się dzieje, choć wiem, że nie wyjawi mi prawdy. Nawet się nie łudzę.

– Powiedz, że mam przestać – rzuca między pieszczotami, zwiększając ich intensywność. Mówi cicho, ale zdecydowanym głosem, jakby właśnie rzucał mi wyzwanie. Odstrasza mnie słowem i kusi gestem. To nie jest normalne. – Że mam się odsunąć. Teraz.

Kręcę głową i natychmiast zamykam oczy. Zły ruch, bo kiedy nie patrzę, staję się jeszcze bardziej wyczulona na dotyk, a ten sprawia mi coraz więcej przyjemności.

– Powiedz, że mam się stąd natychmiast wynieść – mamrocę tylko w odpowiedzi, na co on wzdycha ciężko, niemal nie odrywając ode mnie ust, przez co ciepły oddech muska moją skórę. – Widzisz?

Skoro sam nie chcesz, nie ułatwię ci tego zadania. Przed chwilą przyznałeś, że mnie potrzebujesz. Teraz każesz się odtrącić?

Chwyta mnie za biodra i zaciska na nich dłonie. Robi to mocno, jakby chciał mi przywrócić zdolność myślenia. To boli, a jednocześnie sprawia, że przysuwam się do niego jeszcze bliżej, na co on przenosi jedną z rąk wyżej. Kiedy zamykam oczy, wszystkie moje zmysły na nowo stają się wrażliwsze. Czuję go wszędzie. Dotyk Sama niemal wypala na mojej skórze trwałe ślady. Robi to, gdziekolwiek nie sięgnie, nawet jeżeli wciąż dzieli nas materiał swetra. A zapędza się wyżej. Mknie wzdłuż talii, muska pierś i zatrzymuje się dopiero na szyi. Sam opiera na niej dłoń, kreśli kciukiem na jej boku nieregularne wzory.

– Niby to ja jestem trudna do zrozumienia – dorzucam ochryplym, prawie niesłyszalnym tonem.

– Bo jesteś – stwierdza warkliwie. – To było tylko ostrzeżenie. Nie jedyne zresztą. – Nie przestaje mnie dotykać, przez co trudno skupić mi się na tej rozmowie. – Usłyszałaś ode mnie już wiele różnych słów. Część z nich powinna spowodować, że nie będziesz chciała nawet na mnie spojrzeć, ale do ciebie to nie dociera. Co muszę jeszcze zrobić, żebyś zważała? Poprzedni wieczór niczego cię nie nauczył?

– Nauczył więcej, niż sądzisz. To, co powiedziałaś, otworzyło mi oczy. Już wiem, dlaczego to wszystko robisz – wyduszam, opierając czoło o jego pierś. Nie odsuwa się. – Potrzebujesz zapewnienia, że rzeczywiście jesteś taki silny, bezwzględny i zły, za jakiego się uważasz, ale to kłamstwo.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo się w tym momencie mylisz – odzywa się. Unoszę podbródek, próbuję usidlić go spojrzeniem, ale on patrzy gdzieś w bok.

– Sam zaczynasz w to wszystko wątpić, więc szukasz kogoś, kto cię w tym utwierdzi. Nie jestem tą osobą.

– Za bardzo wierzysz w ludzi, aniołku. Nie dopuszczasz do siebie, że są źli celowo. Nie zawsze musi ich coś motywować. Niektórzy po prostu lubią być sukinsynami i dobrze czują się w swojej skórze. Nie we wszystkim ukryte są drugie dna i wielkie głębin, które tak bardzo chcesz odkryć, żeby zbawiać świat. Próbujesz tego ze mną.

Starasz się mi coś udowodnić, a to strata czasu. Przypadki zwykle się nie zdarzają. – W końcu obdarza mnie spojrzeniem. Chłód w jego oczach powinien mnie zamrozić. Spowodować, że będę dygotać. I dygoczę. Tylko z zupełnie innego powodu. – Chociaż wiesz co? Jednak jeden się zdarzył. – Pochyliła się do mojego ucha. Przesuwa palce z szyi na kark, a jego ciepły oddech owiewa mój policzek. – Jedynym przypadkiem było to, że się tu znalazłaś. Przypadek i mój błąd. Nigdy nie powinienem cię ratować.

Wzdrygam się.

– Znowu to samo. To też twoja sztuczka – mówię szybko, zanim sama w to zwątpię. – Chcesz mnie przestraszyć i zranić. Liczysz na reakcję z mojej strony, ale tej akurat nie dostaniesz. – Powinnam ugryźć się w język, ale nie potrafię. Słowa wypływają ze mnie praktycznie bez żadnej kontroli. – Dostrzegam więcej, niż myślisz. Nieświadomie pokazałeś mi prawdę i to cię przeraża. To, że jestem za blisko. Chcesz uciec. Kto z nas jest większym tchórzem?

Sam przygląda mi się w zamyśleniu, marszczy brwi i przechyla głowę lekko na bok. Bierze głęboki oddech, a ja go w tym samym czasie wstrzymuję. Czekam na to, co ma nadejść, i szczerze się tego obawiam. Spodziewam się scen, krzyków... Dostaję ciszę. Chyba jednak wolałabym, żeby wrzeszczał. On jednak tylko wzdycha ciężko, po czym przykłada czoło do mojego. Moje serce za jego sprawą w jednej chwili dostaje świra. Nie pamiętam, kiedy tak bardzo dudniło mi w piersi.

Mam wrażenie, że drzwi, za którymi je zamknęłam, przez cały ten czas poluzowały się w zawiasach i chociaż zamek wciąż tkwi na swoim miejscu, to nie jest przeszkodą nie do pokonania. Samuel nie bawi się w podchody, nie próbuje ich otworzyć, po prostu je wyważa. Robi to bardzo skutecznie, a ja... cóż, dalej tu jestem.

Chyba jednak nie uczyć się na błędach.

Mimowolnie wracam myślami do Adama. Czy Samuel jest taki sam? Nie wiem. Jego przeszłość jest niejasna. Może dlatego tak bardzo mnie kusi i nie pozwala zrezygnować, zanim jej nie zgłębię. Biała kartka, po której można bazgrać i mazać według tego, co podpowiada wyobraźnia. Adam sam chwycił kredki i narysował obraz, bo wiedział, że właśnie taki mi się spodoba. Tylko że to nie

była prawda. Samuel nie stawia nawet jednej kreski. Daje mi wolną rękę. Nie narzuca wizji samego siebie, wyobrażenie muszę wykreować sobie sama. Jedynie rzuca ostrzeżenia, że nie warto kończyć tego rysunku, ale moja ciekawość jest silniejsza, bo ma olbrzymie pole do popisu. Samuel może być kimkolwiek, tak samo jak ja dla niego. To fantastyczny układ, zwłaszcza że tym razem nie mam zamiaru go sprawdzać i testować, na ile jest ze mną szczery. Dużo w nim brutalności, ale ona nie pojawiła się niespodziewanie. Mówił o tym, ostrzegał mnie od pierwszego spotkania. W przeciwieństwie do Adama nie udawał kogoś, kim nie jest. Miałam czas na wycofanie się, bo przecież nie starał się mnie zaczarować pięknymi słówkami. To ja go nie posłuchałam. Nie chcę go słuchać. Nie chcę być już więcej nadmiernie ostrożna. To strata energii i zbyteczny wysiłek. W końcu moja intuicja jest ślepa, już raz zawiodła i pokazała, że nie warto na niej polegać. Najbardziej brakuje mi jednak bliskości. Jestem jej cholernie spragniona. Nawet tej nieszczerej, na chwilę. Zbyt długo jej nie doświadczałam, teraz planuję to nadrobić. W jakikolwiek sposób. Mam ochotę zagrać va banque i zobaczyć, dokąd to mnie zaprowadzi.

Choćby ten ostatni raz.

– Powiedziałeś, że wciąż jest dla mnie szansa. Chcę ją wykorzystać. – Unoszę prowokacyjnie podbródek, a on odsuwa ode mnie twarz. – Ale potrzebuję twoich wskazówek. Chyba że nagle się rozmyśliłeś i stwierdzisz, że jednak mam zniknąć. Wtedy odejdę. Powiedz, co mam zrobić. Proszę.

– Prosisz? – Śmieje się. – Och, kurwa, lepiej uważaj, czego sobie życzysz. Marzenia potrafią się spełniać, tylko ich konsekwencje mają to do siebie, że mogą zabrać oddech.

Przełykam z trudem ślinę. Jego dłoń na moim karku zaczęła mi ciążyć i możliwe, że wkrótce wciśnie mnie w ziemię, a ta, którą przytrzymuje mnie za biodro, zaraz zwyczajnie je zgniecie. Najgorsze, że totalnie tego chcę.

Nie pojmuję tego, co on ze mną wyrabia.

– Zaryzykuję. – Dźwięk ledwie wydobywa się z moich ust, a potem nie słychać nic wcale, bo te zostają nagle zakryte jego wargami.

Niemal zachłystuję się własnym oddechem, gdy to robi, i w pierwszym odruchu próbuję się odsunąć, ale bezskutecznie. Sam, wciąż przytrzymując mnie za kark, przyciąga mnie do siebie zdecydowanym, zaborczym ruchem, aż tracę równowagę. Chwieję się, ale on nie pozwala mi upaść. Trzyma mocno i pewnie. Przesuwa rękę z biodra na mój tyłek, a kiedy wyczuwa, że nie mam na sobie bielizny, warczy gardłowo i wzmacnia uścisk. Zaplatając palce drugiej dłoni między moje skołtunionie, mokre włosy, masuje mi niespiesznie głowę, ale jednocześnie jeszcze mocniej napiera na usta. Przejaw czułości i brutalności w jednym. Nie wiem, czy to połączenie mnie przeraża, czy jeszcze mocniej podnieca. Niezaprzeczalnie jednak zapiera dech i powoduje, że nierozważnie rozchyłam nieco wargi, by móc złapać choć odrobinę powietrza. Sam traktuje to jako zachętę, wykorzystuje okazję i pogłębia pocałunek. Wpuszczam go do środka, choć siła, z jaką mnie całuje, sprawia, że nie mam wątpliwości, że to pozwolenie nie byłoby mu potrzebne. Sięga po to, co tylko chce, a ja nie protestuję. Nie mam zamiaru tego robić, bo jestem przekonana, że w tym przypadku oboje zmierzamy do wspólnego celu. Wyczuwam płynącą od niego energię i cała stopniowo się nią wypełniam. To uzależnia. Powoli, kroczyk po kroczyku, ale nieustająco zatracam się w pocałunku. Cholernie daleko mu do jakiegokolwiek delikatności, ale czuję, że wcale jej nie potrzebuję. Nie teraz. Tą jedną pieszczotą pokazuje mi, że nie jestem słaba i krucha. Pomimo wypowiedzianych wcześniej słów nie postrzega mnie w ten sposób. Nie. To on mi udowadnia, jak silna potrafię być.

A ja chcę mu wierzyć.

Samuel głaszcze delikatnie mój policzek, co jest sprzeczne z tym, co wyprawia jego język w moich ustach. Całuje mocno i zachłannie. Chociaż nie potrafię złapać z nim wspólnego rytmu, gdy chaotycznie ociera swoimi wargami o moje, gorączkowo żądając i dominując, to nie ustępuję nawet na krok. Staram się. Staram, bo nie chcę, żeby przestawał. Żeby zwątpił. W tym jednym momencie nie ma znaczenia, kim jesteśmy. Kim jest on, a za kogo podaję się ja. To nieistotne.

Wyplątuje dłoń z moich zmierzwionych kudłów i przesuwa palcami po ramionach, zsuwa z nich nieco sweter, odsłaniając obojczyki. Wodzi po nich kciukiem. Dotyk ten przypomina bardziej muśnięcie skrzydeł motyla. Niby jest, a prawie go nie ma. Miły, czuły. Kiedyś byłby wystarczający, a ja rozpląnęłabym się pod jego wpływem. Tym razem wciąż mi go za mało. Niecierpliwie odganiem motyla. Odleciał, a raczej próbował. W jego skrzydełka chuchnął palący żar i go spopielił. Co gorsza, zabrał ze sobą cały mój rozsądek.

Sam odrywa się tylko na moment, by zrobić kilka kroków w stronę stołu i podsadzić mnie nieco, żebym mogła usiąść na blacie.

– Nadal wydaje ci się, że wiesz, w co grasz? – pyta, jakby dając mi ostatnie ostrzeżenie.

Nie łamię się. Patrząc mu w oczy, powoli pochylam się i składam delikatny pocałunek na jego szczęce. Inny niż te, którymi mnie obdarzał, ale nie mniej żarliwy. Nie odrywając ust od jego skóry, wciskam mu dłonie pod bluzkę, przesuвам palcami po wypracowanych mięśniach. Napina je za sprawą tego dotyku, a z moich ust wyrywa się ciche westchnienie.

– Czyli nie – stwierdza krótko, ale zamiast dyskutować, opada ustami na moją szyję.

Tym razem inaczej. Wolniej. Jakby ogień wygasał... albo dopiero się rozpałał. Liże powoli, przesuwa po niej pociągłymi ruchami. Odchylam głowę w bok, a on obdarza ją gorącymi pocałunkami. Musi czuć, jak mój puls przyspiesza, ale nie przestaje wyznaczać językiem na moim ciele niewidocznej dla oka ścieżki w tym nieznośnie niespiesznym tempie. Kiedy przygryza skórę zębami, wzdłuż kręgosłupa przebiega mi silny dreszcz.

Odchylam się, opierając cały ciężar na jednej ręce. Jednocześnie oplątam Sama nogami w pasie, a drugą dłonią łapię go za biceps, powyżej opatrunku, i przyciągam bliżej siebie. Mimo spodni, które wciąż ma na sobie, wyraźnie czuję, jak mocno napiera na moje wejście twardą męskością. Wypuszczam z płuc drżący oddech i ciągnę za materiał koszulki, domagając się, żeby ją z siebie ściągnął. Robi to szybko, a po chwili jego dłonie wracają do mnie i rozpoczynają powolną wędrówkę po moim ciele, jakby chcąc się go nauczyć i zapamiętać na zawsze. W tym przypadku to ja jestem

gliną, w której mógłby rzeźbić. Nie wiem, co z tego mu wyjdzie, ale pozwalam mu działać. Przymykam oczy, rozkoszując się tym dotykiem. W wyobraźni śledzę te ruchy, odtwarzam je zgodnie z tym, co ze mną wyczynia. A pozwala sobie na więcej. Sunie wzdłuż ud, głaska je i pnie się wyżej, niebezpiecznie wysoko, a potem niespodziewanie spada, by po chwili znów dotrzeć jeszcze dalej. Spinam się, gdy sięga celu. Opuszkami palców muska mój pośladek, a potem wciska rękę między nasze ciała, docierając do mojej kobiecości. Może poczuć, że na mnie działa, nic nie staje na przeszkodzie. Słyszę, jak zasysa oddech, gdy odkrywa, jak bardzo jestem mokra. Warczy ochryple tuż przy moim uchu, odnajduje moje wargi, mocno się w nie wpijając i przejeżdża szybkim ruchem po mojej łechtaczce. Porusza się tak gwałtownie, że aż zaciskam palce na jego ramieniu. Nie chcę go powstrzymywać, ale natłok wrażeń mnie przytłacza. Powtarza ruch, znacznie wolniej, a potem cofa rękę. Sapię niecierpliwie prosto w jego usta, gdy to robi, i otwieram oczy.

– Ręce do góry – syczy przy moim uchu. Żąda nieznoszącym sprzeciwu tonem, ale jednocześnie czeka i daje mi szansę na właściwą reakcję.

Przecież tego poniekąd chciałam. Instrukcji.

Patrzę na niego ze zdziwieniem, ale w jego oczach nie ma już niezdecydowania. Nie ma toczącej się wewnętrznej walki. Jest wyłącznie wielkie pragnienie, z którym nie potrafię się kłócić, bo sama odczuwam je równie boleśnie. Rozplątam nogi zarzucone na jego biodra i spełniam polecenie, a on zrywa ze mnie sweter gwałtownym ruchem. Słyszę niepokojący trzask i mam ochotę sprawdzić, czy go nie podarł, ale on cofa się o krok i odrzuca go niecierpliwie na bok niczym zwykłą szmatę.

Prycham z niezadowoleniem, ale wystarczy jedno zerknięcie w jego stronę i zapominam, co wywołało moje oburzenie. Spojrzenie Sama jest palące. Źrenice poszerzyły mu się jeszcze bardziej, co dostrzegam nawet pomimo półmroku panującego w pomieszczeniu. Sprawia przez to wrażenie potwornie wygłodniałego, a ja chcę dać mu więcej. Sam błędzi powoli wzrokiem po moim nagim ciele, pożera, jakby samym tym chciał się nasycić. Prostuje się, jeszcze bardziej napina mięśnie.

Jestem przy nim taka mała. Maleńka...

Ta świadomość sprawia, że policzki zaczynają mnie szczypać, a porywczność zanika. Odwaga rozpada się na kawałeczki i rozlatuje w przestrzeni. Zostaję sama, ale tylko przez chwilę. Na krótki moment. Potem zjawiają się one. Myśli. Przychodzą tłumnie. Te same, które kazały mi do tej pory uważać na każdym kroku, teraz zachęcają, bym bez zahamowania i bezwstydnie się przed nim położyła. Odchyłam się do tyłu. Chłód zmarzniętego drewna drażni w pierwszym kontakcie z nagą, rozpaloną skórą na plecach, ale skupiam się na tym uczuciu zaledwie przez chwilę. Potem widzę wyłącznie jego. Stoi nade mną, a potem bez ostrzeżenia łapie mnie z biodra i przyciąga bliżej siebie jednym mocnym ruchem. Piszczę, bardziej z zaskoczenia niż bólu, ale to nieistotne. Dźwięk wydostał się z moich ust, zanim miałam cień szansy ugryźć się w język, i przeciął ciszę panującą w mieszkaniu.

Niepewność miesza się z oczekiwaniem i już sama nie wiem, które z nich jest dominujące. Sam nie daje mi na to zbyt wiele czasu. Nie daje nawet chwili na upewnienie się czy zawahanie. Nachyla się nade mną i całuje mnie mocno, wytrącając z mojej głowy wszystkie zbędne myśli.

Opieram się piętami o krawędź blatu, rozchyłam bardziej nogi, by zrobić mu więcej miejsca. Sam natychmiast z tego korzysta i zmniejsza dystans między nami. Chwytam go za kark i przyciągam jeszcze bliżej, a moje sutki twardnieją, gdy ocieram się piersiami o jego tors. Chcę jeszcze raz spleść nasze języki, ale jego usta wymykają się moim, gdy nieco się zniża.

Ciepły oddech owiewa moją skórę, a w ślad za nim idzie język. Sam liże mnie po szyi, obojczykach, aż w końcu przejeżdża nim po moim mostku. Skupia się na piersiach. Zamykam oczy, gdy obrysowuje jedną z brodawek samym czubkiem języka, a gdy zasysa ją ustami, zaciskając na niej zęby, wyginam plecy w łuk. Drugą zabawia się palcami. Bierze ją między nie i pociera mocniej, niż się tego spodziewam. Wrywa z moich ust ciężkie, ciche jęknięcie. To zwraca jego uwagę. Nie zwalnia uścisku, pieści mnie namiętnie mocnym ruchem, ale z powrotem przybliża swoją twarz do mojej. Przejeżdża policzkiem o mój policzek i mruczy cicho, prosto do

ucha, a ten dźwięk rezonuje gdzieś głęboko w moim ciele, wprowadza je w coraz mocniejsze drzenie. Wibracje i jego nieustające pieszczoty doprowadzają mnie do szaleństwa. Nie chcę być dłużej bierną.

Po omacku odszukuję klamrę paska. Szukam zapięcia, wyczuwając pod palcami jego twardą męskość. Próbuję niezdarnie odpiąć suwak, ale ten wymyka mi się z rąk, gdy Sam porusza się gwałtownie.

– Wyglądasz jak aniołek, ale w chuj ci do niego daleko – warczy. – Nikt ci nie zdradził, jak powinnaś się zachowywać? A może to pozory, co? One potrafią człowieka zmylić... Sprawdzimy, jak bardzo się mylą w tym przypadku?

Puszcza moją pierś i przesuwając rękę w dół mojego brzucha. Wcale się przy tym nie spieszy. Powolna, okrutna tortura. To oczekiwanie jest nieznośne, ale kiedy w końcu dociera do celu, nic innego nie ma znaczenia. Zagłębia dłoń między moimi udami.

– Bardzo – szepcze zmysłowo do mojego ucha.

Jego palce ślizgają się po rozgrzanej cipce w górę i w dół, rozprawiając wilgoć. Porusza nimi okrutnie powoli, a potem przyspiesza. Zatacza kółka, ocierając się o moje wejście, ale wcale się w nim nie zagłębia.

– Wygląda na to, że znudziły ci się grzeczne zabawy.

Zaciskam usta, wgryzam się w nie zębami, ale oddech i tak mi się rwie. Moje dłonie błędzą po blacie stołu. Próbuję zacisnąć na czymś palce. Natrafiam na pustkę. Olbrzymia przyjemność kumuluje się w moim podbrzuszu, jest blisko, ale nie ma szansy popłynąć dalej. Sapię niecierpliwie, bo po raz kolejny odsuwa ode mnie dłoń, a ta fala się cofa. To okrutne. Pomaga mi wejść na szczyt, ale kiedy już stoję gotowa nad przepaścią, w ostatniej chwili powstrzymuje mnie przed skokiem. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam. Moje biedne serce już nawet nie stara się znaleźć spokojniejszego rytmu.

– Proszę, Sam... – jęczę cicho.

Jeżeli nie przestanie się mną bawić, sama go w tym wyręcę. Nawet sunę ręką do swojej kobiecości, ale on chwyta mnie za nią i przytrzymuje. W drugą dłoń ujmuje mój podbródek i unosi go nieco, bym spojrzała mu w oczy. Przez chwilę to wytrzymuję, ale

szybko zaczyna brakować mi odwagi. Mocno zaciskam powieki. Odpuszczam. On nie ma takiego zamiaru.

– O co prosisz? – Jego oddech muska moją szyję, usta idą jego śladem. Składają mnóstwo drobnych pocałunków. – No dalej, mów. Nie potrafię czytać w myślach, musisz mi je zdradzić.

– Chcę ciebie – wyduszam z siebie zdławionym tonem. Policzki mnie pieką. Do tej pory nie musiałam się określać. Każdy z partnerów brał, co chciał, i dawał tylko tyle, ile sam uważał za słuszne. Zgadzałam się na to. – Chcę cię blisko siebie. Najbliżej.

– Przecież jestem blisko. Musisz mówić jaśniej, aniołku – szepcze mi do ucha, po raz kolejny wznawiając pieszczoty. Przesuwa dłońmi po moim ciele, ale celowo omija miejsca, w których potrzebuję go w tym momencie najbardziej. To za mało, kompletnie niewystarczająco.

– Chcę cię poczuć głęboko w sobie – wyrzucam z siebie, szybko, nagle. – Przestań się pastwić, po prostu we mnie wejdź. Zrób to po swojemu i pokaż, że ty też mnie chcesz.

Przez chwilę się nie odzywa. Słyszę tylko jego ciężki oddech gdzieś nad sobą, ale nie mam śmiałości sprawdzić. To on mi jej dodaje.

– Najpierw otwórz oczy – rozkazuje pewnym siebie tonem.

Mrugam nieśmiało i widzę go przed sobą. Góruje nade mną, dominuje. Nie przestaje przenikać mnie wzrokiem. W jego oczach płonie najprawdziwszy ogień. Sprawia, że czuję się jeszcze bardziej odsłonięta, choć fizycznie nie jest to możliwe.

Przyglądam mu się z uwagą, ale i tak jestem zaskoczona, gdy wsuwa we mnie gwałtownie palec. Szybki ruch powoduje, że odrzucam głowę do tyłu i jęczę przeciągle. Tracę z nim kontakt, a to mu się nie podoba, bo nie wykonując żadnego ruchu w moim wnętrzu, drugą ręką sięga do moich włosów i zaciska na nich pięść. Krótkim szarpnięciem z powrotem nakierowuje moje spojrzenie we właściwą stronę. Ciągnie za bardzo do tyłu, zmusza, bym wygięła mocno szyję, a to powoduje, że napinam mięśnie. Jestem przekonana, że bez problemu może dojrzeć pulsującą na niej żyłkę. Mimo to nie puszcza. Przez moment nieco mnie to boli, zwłaszcza kiedy próbuję się wyswobodzić, ale gdy przestaję z nim walczyć, natychmiast luzuje chwyt, ale wciąż trzyma. Igiełki bólu

nieprzerwanie wbijają mi się w skórę na głowie. Sam pochyla się i przesuwa językiem po mojej szyi, jednocześnie powoli wsuwając i wysuwając palec, a mnie atakują nowe i nieznane do tej pory uczucia. Wszystko jest mocniejsze, większe, bardziej odczuwalne. Dłużej nie wytrzymam. Podniecenie się wzmacnia, a ja nie wiem, czy powinnam się tak czuć.

Wcześniej wydawało mi się, że znam swoje granice i absolutnie ich nie przekroczyć. Od pewnego czasu coś się we mnie zmieniło, zmienia nadal. Teraz, właśnie w tej chwili. Wszystkie poprzednie razy zawsze były spokojne, wyważone, totalnie kontrolowane. To, co oferuje mi sobą Sam, to coś całkowicie innego. Nowego. Nigdy jeszcze nie byłam tak bardzo świadoma własnego ciała i tego, co paradoksalnie potrafi sprawić mu przyjemność. Ograniczenia znikają albo przynajmniej przesuwiają się niebezpiecznie daleko. Choćbym miała się cała spopielić w piekielnym ogniu, mam ochotę przesuwać je dalej i zobaczyć, na ile wystarczy mi odwagi.

– Aniołku, jak już jesteśmy ze sobą tak kurewsko szczerzy, to zdradzę ci teraz, o czym marzę – warczy mi do ucha i zabiera dłoń. Zamiast tego słyszę, jak rozsuwa spodnie i rozrywa foliowe opakowanie. Nie otwieram oczu, a on powoli, nieźnośnie powoli, się we mnie wsuwa, sprawiając, że czuję każdy jego cal. Twardy, naprężony i gorący. Przez chwilę tkwi bez ruchu, podczas gdy ja oddycham głęboko, oswajając się ze sposobem, w jaki mnie wypełnia. – Chciałbym znaleźć się w raju. Tym, w którego istnienie tak wyraźnie wierzysz i z którego musiałaś się, kurwa, urwać, skoro nadal tu jesteś. – Wyślizguje się całkiem, by znów się zagłębić. Tym razem gwałtowniej, powodując, że z moich ust wyrywa się krótki okrzyk, a z płuc ucieka dech. Jest inaczej niż zwykle. Intensywniej, mocniej. Cholernie mi się to podoba. Puszczą moje włosy, sprawiając, że rozsypują mi się wokół głowy, a w zamian sięga do mojej nogi, chwyta mnie pod udo i unosi wyżej. Sprawia, że wślizguje się jeszcze głębiej niż przed chwilą. – Zabierz mnie tam. Do dobrego, pierdolonego raju. – Każde ze słów akcentuje mocnym pchnięciem. Próbuję się do niego dostosować. Wychodzę mu na spotkanie biodrami, poruszam nimi, starając się złapać z nim

wspólny rytm. Skutecznie. – Pomożesz mi? Pokażesz drogę? Przynajmniej wskaż, gdzie mam jej szukać.

Szepcze mi dalej do ucha, ale nie słucham go uważnie, nie potrafię, kiedy wszystkie moje myśli skupiają się na tym, jakie wykonuje ruchy. A są coraz bardziej zaborcze, chaotyczne. Mocne. Nie przestaje się we mnie poruszać, dodatkowo kciukiem pociera łechtaczkę, naprzemiennie zwiększając i zmniejszając nacisk. W mojej głowie wiruje od natłoku wrażeń. Zaciskam zęby, żeby nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Wciążam powietrze przez nos i je wstrzymuję, gdy przyspiesza ruchy. Pieprzy mnie mocno, a ja oddaję się mu całkowicie. Nogi mi drżą i nie potrafię nad tym zapanować. Jeszcze jeden ruch i mam wrażenie, że się rozpadnę. Wszystkie moje mięśnie się spinają, zaciskam się na jego penisie, a narastająca fala przyjemności przełamuje ostatecznie wszelkie mury. Nic innego nie potrafi przez nią się przedrzeć. Rozlewa się niespiesznie, zalewa od czubka głowy po same pięty. Jest tak intensywna, że mimowolnie podkulam palce u stóp i tracę kontakt z rzeczywistością. Zamieram, kiedy po kręgosłupie rozprzestrzenia mi się przyjemne mrowienie, a całe moje ciało powoli wypełnia się rozkoszą. Tak intensywną jak nigdy wcześniej.

Tracę nad sobą kontrolę, przepadam.

Samuel jest tuż obok. Porusza się jeszcze przez chwilę, aż sam osiąga szczyt. Zamyka mnie w swoich objęciach, nakrywając potężnym ciałem. Słyszę jego ciężki oddech, czuję jego ciężar na sobie i to, jak szybko bije mu serce. Opada ustami na moje wargi i spija z nich przeciągły jęk. Tłumi go, bo sama nie jestem już w stanie dłużej siedzieć cicho. Nie teraz, kiedy dałam się porwać, oderwałam od bezpiecznej rzeczywistości i skoczyłam.

Skoczyłam.

A on mnie złapał.

Rozdział 19

Samuel

Skyler siedzi na progu wagonu, trzymając na kolanach przemokniętą, niemal rozsypującą się w palcach książkę. Zastanawiam się, ile potrafi odczytać z tak steranych kartek, a ile w tym wszystkim improwizacji, ale przyznaję, radzi sobie całkiem nieźle. Zgromadziła nawet swoich fanów. Wokół niej tłumnie ustawiają się dzieci. Walczą o jak najlepsze miejsca, przepychając się łokciami, aby tylko znaleźć się bliżej i by nie umknęło im żadne słowo z czytanej przez nią historyjki. Nie wiem, skąd, do diabła, ją wytrzasnęła. To jedna z tych magicznych sztuczek, którymi się ze mną nie dzieli. Ma ich kilka. Na szczęście zawsze zapewnia jakąś rekompensatę za swoje tajemnice. Ta ostatnia była więcej niż satysfakcjonująca, a w każdym razie spełniła swoje zadanie. Znowu poczułem się sobą, na chwilę zapomniałem o Maddie i o tym, jak skończy, przebywając zbyt długo w zamkniętej piwnicy. Osiągnąłem to, co chciałem. Przestałem się zastanawiać, ile czasu musi upłynąć, żeby było już po wszystkim i zanim to los sam mnie wyręczy. Wygoniłem z głowy wątpliwości. Gorzej, że wróciły szybciej, niż bym tego oczekiwał, przy okazji przyprawiając kumpli. Nie umiem znaleźć im wszystkim miejsca. Nie jestem aż tak gościnnie.

Przyglądam się Sky, stojąc z boku na tyle daleko, żeby nie straszyć publiczności, ale jednocześnie móc posłuchać, co czyta.

– Przed wieloma laty, na najwyższym wzniesieniu w całej krainie, zbudowano zamek ze szkła. Zamek, zameczek – szepcze, by zaraz ku radości dzieciaków wczuć się jeszcze bardziej i zamachnąć się rękami, wykrzykując: – Zamczysko! Ach, jakież to było cudowne miejsce! Kryształowe ściany pięły się wysoko ku niebu, a czubek strzelistej wieży tonął w chmurach. W pogodne dni promienie słońca muskały gładkie powierzchnie kryształowych ścian, mieniając się

tysiącami barw i rozpraszając nawet najstraszniejsze z ciemności, które nękały mieszkańców królestwa. Prawie. Nic nie było jednak w stanie rozproszyć cienia smutku, który padał na Starego Króla...

Rozpoznaję tę historię. Kiedy byłem dzieckiem i nic nie zapowiadało, że życie postanowi się tak koncertowo spierdolić, matka opowiadała mi ją do snu. Opowieść o władcy, który stracił córkę przez swoją pychę, a z pomocą wcale nie pospieszył mu mężny rycerz, jak to zwykle bywa, ale młody piekarz, który nie miał zbyt wiele, ale swoim sprytem i dobrym sercem ocalił dziewczynę i zdjął z niej zły czar. Jedna z tych opowieści niby udowadniających, że nawet bez centa przy duszy można osiągnąć wiele. Naiwna. Z perspektywy czasu jeszcze lepiej dostrzegam, jak bardzo. Idealna, jeżeli chce się poklepać te dzieciaki po główkach i zamydlić im oczy, że wcale nie jest tak źle, a one jeszcze mogą osiągnąć, co zechcą. Gówna prawda. Los większości z nich został już dawno przesądzony, a starania o zmianę zbyt często przypominają walkę z wiatrakami. Można próbować, ale nie da się odwrócić biegu rzeki. Udawanie, że jest inaczej, wydaje mi się okrutniejsze, niż zmierzenie się z rzeczywistością. Skyler jednak to nie przeszkadza. Mając kontakt z dziećmi, cała się rozpromienia, rumieńce pokrywają jej policzki, a uśmiech nie znika z ust. Może wcale nie ma tak dobrego serca, a po prostu tchórzliwe? Nie. Jestem przekonany, że sama głęboko wierzy, że uda jej się im pomóc.

Wygląda inaczej niż w nocy, ale to, co sobą zaprezentowała, na długo zostanie mi w pamięci. Miła, spokojna. Niepozorna. Anielica. Moja złota rybka, która, kurwa, spełnia każde życzenie. I to jak! Prosiłem tylko, by wskazała mi właściwą drogę, ale ona przecież nie bawi się w półśrodki. Nie skreśla nikogo. To takie nie w jej stylu. Wieczne szanse, wieczne szukanie światła tam, gdzie go nie ma. Przypomina mi trochę tę książkę. Chociaż to mogło ją zniszczyć, otworzyła się przede mną, pozwoliła przeczytać, nie zważając na konsekwencje. Co więcej, nie bała się, że w trakcie nadszarpnę delikatne stronicę. Może po prostu zdaje sobie sprawę z tego, że nie da się ich zniszczyć już bardziej...

Nieważne.

Ostrożność powinna już dawno wejść jej w krew, a tymczasem, zamiast jedynie wcisnąć mi w dłonie mapę, machnąć jebany krzyżyk i kazać samemu błądzić, ona po prostu wyważyła razem ze mną bramy pierdolonego raj. I jaka przy tym wszystkim była szczęśliwa! Pokazała, co mogę zyskać, zbacząc z obranej drogi i podążając za nią. Kurewsko wzruszająca wizja. Otarłem niby płynące łzy i w podzięcie pociągnąłem ją za sobą, straciłem w najgorętsze odmęty piekieł. Chciałem być górą i byłem. Przez chwilę. Wtedy, kiedy jęczała i gorączkowo szeptała moje imię, jakby doznawała niebiańskich rozkoszy, będąc spalana we wskrzeszonym przeze mnie ogniu. Miałem nad nią pełną kontrolę i zniewoliłem ją. Przez chwilę. Potem otworzyła oczy, odnalazła moje, a ja dałem się wciągnąć przez bezkresny błękit. Trafił mnie rykoszet. Na bank. W innym razie jakim cudem można wygrać i jednocześnie czuć się tak bardzo przegranym?

Mam ochotę w podzięcie ją ukatrupić, ale tylko po to, by mogła mi jeszcze dobitniej pokazać, że się mylę. Że nie zawsze zachowuję się słusznie, a tam, po drugiej stronie, jednak jest coś więcej. Że istnieją dusze lekkie i piękne, które wzbijają się wysoko poza cały ten syf zgromadzony tu na dole. Jej taka mogłaby być. Lekka, a zarazem silna. Taka, która dźwignęłaby mnie ze sobą. Mogłaby taka być, ale nie jest. Wcześniej nie poddawałem się złudzeniom i teraz też nie mam zamiaru.

Nigdy nie doświadczyłem momentu zawahania ani nie poczułem chęci zmian. *Do diabła!* Przez całą ćwierć wieku żyłem jakby na przyspieszeniu. Rozpędziłem się szybko przy boku matki, której często nie dało się dobudzić z alkoholowego zaćmienia. W końcu dopięła swego i zasnęła na zawsze. Bez ojcowskiego oparcia, które hamowałoby mnie w odpowiednich momentach. Tego z kolei nigdy nie miałem. Zginął, zanim zdążyłem wypróbować, na ile jest wytrzymały. I cóż, najpierw stąpałem cicho, by po chwili celowo tupać jak najgłośniej. Chciałem zwrócić na siebie uwagę? Może. Początkowo. Wtedy, kiedy jeszcze zainteresowanie kogokolwiek mogło przynieść efekty. Potem to nie miało już sensu. Szybko to zrozumiałem. Ryzykowałem coraz bardziej i bardziej, bo własne życie uważałem za nic. Nie miałem zbyt wiele do stracenia. Tylko

Oliwię, a kiedy jej zabrakło, nie pozostało mi już nic. Wydawać by się mogło, że właśnie ta śmierć okaże się najgorszym ciosem. I może była, ale nawet wtedy nie szukałem ucieczki. Pozwoliłem stratować się konsekwencjom. Kochałem swoją siostrę jak nigdy jeszcze nikogo i jej zniknięcie wyrwało w moim wnętrzu dziurę, prawie poprzestawiało bebechy. Podałem się temu biernie, a potem wywalczyłem spokój sumienia. Brutalnie, bo tak trzeba było. Ukatrupiłem wrzeszczącego skurwiela. Ani niepotrzebna śmierć, ani chujowe życie nie sprawiły, że chociaż przez moment chciałem być kimś innym.

Nadal nie chcę, choć Sky najwyraźniej bardzo zależy, aby to zmienić. Odkąd pojawiła się w moim życiu, czuję, że próbuje mnie zniszczyć, a przynajmniej tego kogoś, kim byłem do tej pory. A ja nie do końca jeszcze wiem, jak temu zapobiec.

– Na dziś koniec. Dzieciaki już uciekły i my też możemy wracać. Niestety nikt nie wie nic o Aaronie i Emmie. Może popytam gdzie indziej. Nieważne. W każdym razie dziękuję, że się zgodziłeś tu przyjść.

Skyler stoi tuż przede mną. Zamyśliłem się tak bardzo, że nie zauważyłem, kiedy zakończyła swój występ, a teraz świdruje mnie wzrokiem, jakby była pewna, że lada moment rozgryzie, co mi dolega. *Powodzenia*. Oboje obdarowaliśmy się milczeniem. Nigdy nie mówiłem jej wszystkiego, ale to ona przegięła i po wspólnej nocy nagle całkiem zamilkła. Przez cały poranek nie odezwała się do mnie nawet słowem, usilnie unikała kontaktu, jakby żałując, że dopuściła do tego zbliżenia. Karała siebie albo mnie. Chociaż początkowo mi to pasowało, bo przynajmniej skończyły się te durne pytania, czy na pewno może zostać jeszcze trochę, to jednak szybko mi to obrzydło.

Była w tym wytrwała.

Nie odezwała się nawet, gdy rzuciłem jej na kolana siatkę z nowymi ubraniami. Po fackie dotarło do mnie, jak to wyglądało. Jakbym właśnie zapłacił za udany numer. *Mistrz*. Mogę powiedzieć o sobie wiele, ale nie chciałem, żeby potraktowała to w ten sposób, bo sam nie traktowałem jej jako pierwszej lepszej dziwki. Po prostu nie mogłem też patrzeć, jak chodzi ciągle w tych samych ciuchach, zresztą podartych przeze mnie. Popatrzyła tylko dziwnie, ale nie

skomentowała. I kiedy myślałem, że już nigdy więcej nie usłyszę jej głosu, że lada moment zabierze swoje rzeczy i zniknie, ona się przełamała. Podeszła i poprosiła, żebym wybrał się tutaj razem z nią. Cicho wyjaśniła, że boi się kolejnej konfrontacji z ludźmi, którzy ostatnio ją zaatakowali. *Jasne*. Tak naprawdę nie widziałem w jej oczach strachu. Nadal nie widzę. To obala moją teorię o tchórzliwym sercu. Może była przestraszona, gdy ją znalazłem, ale teraz nabrała niewiarygodnej odwagi. Jestem przekonany, że to kolejna jej gierka, która ma mnie czegoś nauczyć.

Niedoczekanie.

– Miałem zamiar zapytać, po co to wszystko robisz, ale chyba i tak nie zrozumieję. – Wzruszam ramionami, pokazując, jaki mam do tego stosunek. – Szkoda wysiłku.

Ruszam przed siebie. Nie słyszę, żeby zrobiła to samo, ale to kwestia czasu. Ona już tak ma. Nieważne, jak się zachowam i jakich użyję słów, aby ją od siebie odtrącić, ona jest niewzruszona.

– Nikt nie chciał mnie takiej, jaką jestem. Nigdy – odzywa się niespodziewanie, a ja się zatrzymuję i z miejsca zaczynam żałować, że nie ugryzłem się w język. Nie potrzebuję jej tłumaczeń, a tym bardziej tego pokrętnego uzewnętrzniania się. *Błagam, nie brnij w to*, myślę, ale ona za nic ma moje nieme prośby. Mówi dalej, choć nijak tego nie komentuję: – Nawet jeżeli ktoś się pojawiał, to zawsze stawiał warunki, a ja... Chyba po prostu nauczyłam się, że na wszystko muszę zapracować i zasłużyć. Na miłość, na przyjaźń. Nawet na to, żeby ktoś chciał spojrzeć w moim kierunku. Na początku się starałam, a potem zabrakło mi już sił, ale przekonanie weszło w krew i chociaż cholernie mnie to obciąża, już się tego nie pozbędę. Nie potrafię. Wiesz, tego uczucia, że jestem niedostateczna sama w sobie i nie zasługuję na nic. – Odwracam się ku niej, a ona ucieka spojrzeniem gdzieś w bok, jakby wstydziła się nawet na mnie patrzeć. Otula się ramionami i kiwa głową w kierunku oddalających się dzieciaków. – Nie chcę, żeby one się tak czuły. Żeby musiały komukolwiek coś udowodniać czy starać się imponować, by zasłużyć na chwilę uwagi. Chcę im pokazać, że są wartościowe i że ktoś może do nich przyjść, poświęcić czas, mimo że o to nie proszą. Że robi to z przyjemności, nie z poczucia obowiązku. To tylko dzieci, a część

z nich dźwiga taki ciężar, z którym wielu nie dałoby rady. Niektórzy jeszcze im dorzucają, skreślają przez to, że tutaj żyją, a przecież one nie ponoszą odpowiedzialności za błędy swoich rodziców. To nie ich decyzje zaprowadziły je w to miejsce, ale tylko od nich zależy, dokąd dojdą. Wiem, że nie wierzysz, że im się uda. Nie jesteś w tym sam. Słyszałam to już tysiące razy od różnych ludzi. Mimo to staram się, by one w to nie wątpiły. Co im więcej zostało?

Mija mnie pospiesznie, sama wyznaczając kierunek, a ja ruszam za nią. Wracamy do mieszkania w ciszy. W głowie kotłują mi się myśli, którym Sky wskazała furtkę, przez którą mogą dostać się do środka. Myśli i wspomnienia. Próbuję temu zapobiec, ale nie mam szans w zderzeniu z taką masą wątpliwości. I cóż, nie tylko ja mierzę się ze swoimi przeszkodami, bo niemal wpadam na Skyler, która nagle zatrzymuje się na środku chodnika.

– Sky?

Wydaje mi się, że mnie nie słucha. Zamarła jak sarna złapana na drodze przez światła reflektorów. Patrzy gdzieś przed siebie, a ja podążam za jej spojrzeniem. Po drugiej stronie ulicy na chodniku stoi dwóch mężczyzn. Młodzi, dobrze ubrani, sprawiają wrażenie, jakby urwali się na chwilę z korpo i przypadkiem zawędrowali w te okolice. Nie pasują tu wcale, jednak nawet to nie tłumaczy emocji malujących się właśnie na twarzy Sky. Jeżeli wcześniej wydawało mi się, że widzę strach, to byłem w błędzie. Dopiero teraz mam go w pełnej odświeżeniu. Jest zaskoczona i totalnie przerażona.

Nie mam szansy, by zapytać ją o powody, bo gdy jeden z mężczyzn odwraca się w naszą stronę, Sky niespodziewanie puszcza się biegiem przed siebie, nie czekając na mnie. W całym tym szaleństwie przynajmniej wybiera dobrą drogę, bo zmierza w kierunku mieszkania. Dogoniłbym ją bez problemu i może nawet pozwolił biec jej dalej i zaszyć się w czterech ścianach, żeby po raz kolejny przemilczeć gryzący ją temat, ale te wieczne ucieczki powoli mnie nudzą.

Kiedy wbiega do budynku, chwytam ją za ramię, przytrzymuję, a gdy nadal się szamocze, popycham ją na ścianę i dociskam do muru, starając się unieruchomić. Dopiero wtedy udaje jej się skupić rozbiegane spojrzenie na mnie. Łapiemy krótki kontakt wzrokowy,

ale ona zaraz zamyka oczy, jakby nie chcąc dopuścić, żebym zobaczył w nich panikę. Za późno. Wiem, że tam była. Skyler jednak nadal trzęsie się jak osika i z trudem oddycha, ale przynajmniej kontaktuje. Chyba.

– Kurwa, co ty wyrabiasz? – syczę przez zaciśnięte zęby. To wariactwo mnie już przytłacza.

Przyglądam się jej wnikliwie, a ona niespodziewanie rzuca się w moje ramiona, przywierając całą sobą, jakbym to właśnie ja miał przywrócić jej utracone bezpieczeństwo. Jestem zaskoczony, bo nie spodziewałem się, że ktoś kiedykolwiek będzie poszukiwał go u mnie. Zwykle jest odwrotnie. To ja niosę zagrożenie, którego ona oczywiście nie dostrzega. W tej małej, zwichrowanej główce wszystko działa na odwrót.

– Znalazł mnie – szepcze na tyle niewyraźnie, że muszę się pochylić, żeby wyłapać poszczególne słowa.

– Kto? Tamten koleś? Kim on jest?

Kręci głową, nie chce mówić. Nie zmuszam jej do tego, choć kilka niejasności chętnie bym z nią wyjaśnił. Nie odzywam się nawet słowem, a mimo to ona i tak unosi ku mnie twarz, po czym nagle przyciska swoje usta do moich, jakby w obawie, że zasypię ją pytaniami, z którymi nie da rady sobie poradzić. Chwyta mnie za kark, przyciągając bliżej do siebie i wplata drobne, roztrzęsione palce w moje włosy i szarpie za nie, szukając oparcia. Całuje mnie nagłoco, pospiesznie. Błagająco. Ociera się przy tym niecierpliwie, wzdychając cicho prosto w moje usta, a te odgłosy oraz ciepło jej napierającego na mnie ciała powoduje, że fiut w moich spodniach z miejsca twardnieje. Nic nie poradzę, jestem tylko facetem.

– To nie rozwiąże twoich problemów – uświadamiam, bo domyślam się, dlaczego to robi.

Zaciskam dłonie na jej poruszających się biodrach, próbuję ją zastopować i przywrócić racjonalne myślenie, choć mnie samemu go brakuje. Tak naprawdę bardziej niż z nią, walczę sam ze sobą.

– Wiem o tym – wydusza między pocałunkami, ale się nie wycofuje. – Muszę się tylko uspokoić. – Myślę, że to kurewsko zły pomysł, jeżeli chce osiągnąć spokój, może to raczej przynieść odwrotny skutek, ale nie wypowiadam swoich wątpliwości na głos. –

Chcę oderwać się od tego, bo za bardzo mnie przytłoczyło. Sam mówiłeś, że potrafię latać. Muszę tylko odbić się od ziemi. Pomożesz mi? – Uśmiecha się, gdy celowo powtarza słowa, które sam kierowałem do niej poprzedniego wieczora. – Ostatni raz.

Zastanawiam się, kto w tym układzie wykorzystuje kogo. Wydawało mi się, że znam odpowiedź, ale teraz nie jestem pewien. Te myśli jednak się rozpraszają, gdy Sky przesuwając jedną z rąk w dół. Sięga do rozporka i sprawnie się z nim rozprawia, uwalniając moją męskość. Odsuwa ode mnie twarz, przerywając pocałunek, i spuszcza wzrok. Przygryza delikatnie dolną wargę, jednocześnie chwytając w dłoń mojego fiuta. Sam ten widok powoduje, że ledwo hamuję się przed wybuchem. Ma małe, zziębnięte ręce, przez co wstrząsa mną dreszcz. Uśmiecha się, jakby ta reakcja dała jej ogrom satysfakcji, i nie przerywa pieścizot. Przesuwa po nim niezdolnie powoli, w jedną i drugą stronę, prowokując i testując moją wytrzymałość. Zły wybór, bo tej zdecydowanie mi brakuje, a kiedy przenosi na mnie to sarnie spojrzenie, nie wytrzymuję. Przejmuję inicjatywę. Całuję ją mocno, brutalnie rozdzielając jej wargi i wdzierając się językiem do ust. Nie daję jej szansy na złapanie głębszego oddechu.

Dziś powolnej lekcji oddychania nie będzie.

Popycham ją lekko w stronę mieszkania. Po omacku pokonujemy schody i docieramy do drzwi, nie odrywając się od siebie nawet na moment, a gdy te się zamykają, pozbywamy się nawzajem swoich ubrań. Szybko, jak najprędzej. To Sky odpaliła lont, ale oboje zachowujemy się, jakbyśmy się spalali i za wszelką cenę próbowali zdążyć się sobą nasycić, zanim ten ogień zgaśnie. Niecierpliwie odrzucam na bok każdą ze zdartych z nią rzeczy, a ona nie ustępuje mi nawet na krok. Kiedy stoi przede mną już całkiem naga, łapię ją za tyłek i unoszę. Zaciskam palce na jej pośladkach, jednocześnie przyszpilając ją do ściany, a ona oplata mnie ciasno nogami. Nie jestem delikatny, ślady po tym dotyku zostaną na niej przez kilka dni. Ona jednak nie prosi o delikatność, co więcej – odpowiada tym samym. Błądzi palcami po mojej skórze, a gdy biorę do ust jeden z jej sutków, wbija paznokcie w moje plecy, najpewniej zostawiając krwiste ślady. Pieszczę niespiesznie jej piersi, które wypycha

niecierpliwie w moją stronę, bez słów domagając się, bym się nimi zajął. Językiem wyznaczam mokrą ścieżkę. Samym koniuszkiem okrążam brodawkę i sukcesywnie przenoszę się wyżej. Liżę jej szyję, wpijam się zachłannie w zagłębienie przy szyi, a ona wierci się niespokojnie. Trze swoimi piersiami o mój tors, jednocześnie szorując plecami po szczątkach tapety. Oddycha niespokojnie, coraz bardziej płytko. Wiem, że jest już gotowa i pewnie chciałaby, żebym w nią wszedł. Ocieram się penisem o jej cipkę, rozprowadzając wilgoć. Drażnię się z nią, napierając coraz bardziej na jej wejście, ale przeciągam to oczekiwanie.

– Dalej... – Wzdycha, jęcząc, gdy przyciskam ją mocniej do ściany i poprawiam swój chwyt.

Sky ma zamknięte oczy, a cholernie bardzo chciałbym, żeby na mnie patrzyła. Zatrzymuję się, a ona natychmiast spełnia to życzenie. Patrząc jej prosto w oczy, wsuwam się w nią jednym mocnym ruchem. Nabiera głośno powietrza i wypuszcza je z cichym westchnieniem, gdy wypełniam ją w całości. Słyszę, jak z trudem przełyka ślinę i przenosi drżące dłonie na mój kark, zaplatając je na nim.

Całuje mnie ponownie, więc zaczynam się w niej poruszać. Pewnie, szybko, chaotycznie. Nie szukamy wspólnego rytmu. Oboje jesteście tak kurewsko sobie spragnieni, że to nierealne. Sky przenosi usta na moją szyję i przyciska je do niej. Czuję jej zęby przesuwające się po skórze, gdy tak usilnie stara się nie wydać z siebie żadnego dźwięku, ale i tak słyszę stłumiony erotyczny pomruk. Zwiększam tempo, aż Sky zaczyna drżeć i w końcu mocno zaciska się na moim kutasie, osiągając spełnienie, a chwilę potem to drżenie udziela się również mnie, gdy kończę w jej wnętrzu. Bez gumki. Moment trwa, zanim do końca schodzi ze mnie pożądanie i dociera do mnie, co właśnie zrobiłem. Że to, kurwa, nie miało prawa się wydarzyć.

Za późno.

Sky patrzy mi prosto w oczy. Nie wiem, czy jest świadoma tego samego, co ja. Za diabła nie potrafię nic z nich wyczytać. Mam wrażenie, że księga, która kusila swoją otwartością, właśnie zatrasnęła mi się przed nosem. Opiera swoje czoło o moje

i przymyka powieki. Wysuwam się z niej i asekurowuję, kiedy niepewnie staje na wciąż drżących nogach.

– Przepraszam – wydusza niewyraźnie, jakby sama czuła się winna, i ucieka. W pośpiechu zgarnia z podłogi swoje rzeczy, po czym zamyka się w łazience.

Kurwa, to jakieś popierdolone.

Wzdycham i uderzam pięścią o ścianę z irytacji, gdy oprócz szumu wody zaczyna docierać do mnie dźwięk jej płaczu. To ona zaczęła, ale to ja czuję się jak sukinsyn, który skorzystał z okazji. Bez zahamowania, zastanowienia i do tego z takim finiszem. Ja pierdołę! Nigdy wcześniej nie zaryzykowałem tak bardzo. I najwyraźniej ona również nie, skoro to tak bardzo nią wstrząsnęło. Nie wiem, gdzie podział się mój rozsądek ani co wywołało u niej taką reakcję. Zbyt wiele niewiadomych powoduje, że coraz bardziej łupie mi we łbie.

Chwilę tkwię w tej samej pozycji. Przez moment, długo tak nie potrafię. Może powinienem porozmawiać ze Sky, ale nie znajduję w sobie odpowiednich słów, a jedynie takie, które mogłyby to jeszcze pogorszyć. Prostuję się z ociąganiem i rozglądam wokół, ale nie zawieszam na niczym dłużej oka. Nie ma tu nic, co by mnie zatrzymało. Wręcz przeciwnie. Ta sama siła, która niedawno kazała mi ruszyć dupę, dokończyć, co zacząłem, i udowodnić wszystkim, że nic nie jest w stanie mnie złamać, teraz też nie pozwala siedzieć beczynnym. Mam dość. Wciągam na siebie ciuchy i wymykam się z mieszkania.

Sky. To ona zrobiła w mojej głowie taki burdel.

Nie mam innego wytłumaczenia, dlatego ponownie zmierzam w stronę tego samego pustostanu. Impuls. Staram przekonać samego siebie, że robię to tylko po to, by sprawdzić, czy mała jeszcze oddycha. Jeżeli nie, będę musiał to w końcu, kurwa, zakończyć. Nie mogę mieć tylu pootwieranych spraw, bo w końcu ich nagromadzenie mnie zgniecie i nigdy się z tego nie wyplączę. A ta jedna ciągnie się już stanowczo zbyt długo. Wystarczy.

Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło od ostatniego razu. Deska nadal podpira drzwi w takiej samej pozycji, jak ją zostawiłem. Po prostu nikogo tu przez te dni nie było. Nie słyszę też Maddie, co może oznaczać tylko jedno. Wchodzę do środka. Jest

piekielnie zimno. Zimniej niż ostatnio i chłodniej niż na zewnątrz, jakby stary budynek nie chciał wpuszczać do wewnątrz odrobiny ciepła.

Rozglądam się i pośród ciemności ledwo dostrzegam drobną postać przycupniętą pod ścianą. Podchodzę bliżej, na co Maddie otwiera oczy i patrzy na mnie mało przytomnym wzrokiem. Żyje, choć oddycha ciężko, a z jej rozchylonych, drżących warg wydobywa się biały obłoczek. Aż trudno mi uwierzyć, że jej stan uległ tak drastycznej zmianie. I że niewiele już brakuje...

Mógłbym po prostu poczekać i nie musiałbym nawet ruszać palcem. Mała sama zeszlaby z tego świata. Mógłbym, ale patrzenie na nią, gdy znajduje się w takim stanie, wcale nie powoduje, że czuję satysfakcję, na jaką liczyłem. Chyba jednak zadziałałem zbyt impulsywnie i po prostu mam chęć pograć w to wszystko trochę dłużej, uderzyć bardziej bezpośrednio.

Być może będą tego żałował, mimo to biorę ją w ramiona i wychodzę na zewnątrz. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. W tym miejscu nie ma tłumów, a pojedynczy ludzie, którzy przemykają ukradkiem, skupiają się na własnych problemach i nie chcą dorzucać sobie cudzych. Obcy mężczyzna z nieprzytomnym dzieckiem nie jest codziennym widokiem, ale nie wywołuje też zaskoczenia.

Wpadam do mieszkania. Sky skończyła kąpiel. Siedzi przy stole i patrzy zamyślonym spojrzeniem przez okno. Wydaje się już znacznie spokojniejsza, jakby wszystkie jej zmartwienia spłynęły gdzieś w odpływie. Przynajmniej do czasu. Wyraz rozkojarzenia znika, gdy tylko zatrząskuję za sobą drzwi.

– Kto to jest? – Podbiega do mnie i wyciąga ręce w stronę dziecka, jakby chciała mi je odebrać, ale w ostatniej chwili się rozmyśla i zamiera w tej komicznej pozie. Nie rusza się przez moment, a potem zaczyna działać, jakby na przyspieszeniu. Wszystkie jej ruchy stają się nerwowe, urwane. Przykłada dłonie do swoich policzków, jednocześnie kręcąc głową. Nie potrafi się uspokoić. – Co ty zrobiłeś? – wydusza w końcu. Nieśmiało dotyka czoła Maddie i odgarnia z jej czoła zlepione potem blond włosy. – Ona jest koszmarnie rozpalona.

– To zrób coś, żeby nie była – warczę, słysząc tę oczywistość, i mijam Sky, żeby położyć małą na materacu. Na resztę pytań nie umiem ani nie chcę odpowiadać. Na szczęście ona ich nie powtarza. Nadal jest w zbyt wielkim szoku i sama nie wie, jak się zachować.

– Jak? – Przykuca obok niej, ale patrzy na mnie z wyrzutem. – Nie jestem lekarzem! Gdzie ty ją w ogóle znalazłeś? Nigdy jej nie widziałam wśród dzieciaków. To ktoś nowy? Chryste, co ja mówię? To nie ma teraz znaczenia! Trzeba zawieźć ją do szpitala! – Podrywa się na równe nogi, niemal gotowa ruszać.

– Nie ma mowy. – Zastępuję jej drogę, bo akurat na to nie mogę się zgodzić. To pociągnęłoby za sobą zbyt wiele konsekwencji, które by nas zmiotły. – Sam przyprowadzę lekarza. Uważaj na nią, dopóki nie wróce.

Zbiegając po schodach, przeszukuję w pamięci listę osób, które mogłyby pomóc w tej sytuacji bez mieszania odpowiednich służb. Nie trwa to długo, bo i potencjalnych kandydatów jest mało. Przez lata ludzie się wykruszyli, zmienili front, a niektórzy po prostu pokazali prawdziwe twarze. Czas pokazał, na kogo mogę liczyć, a kto tylko mydlił mi oczy. Jednak nawet wśród tych wytrwałych brakuje osób, które znałyby się na medycynie, a kogoś takiego bardzo w tym momencie potrzebuję. Jedyłą, która przychodzi mi w tym momencie do głowy, jest Liliann, a raczej Davies, młody medyk, któremu ta odpala dołę, by miał dziewczyny na oku. Mimo że ostatnio nasze kontakty nie układały się tak jak należy, to mam nadzieję, że w tym przypadku nie odmówi mi wsparcia. Wybieram do niej numer, ale kobieta nie odbiera. Nie daję się tak łatwo zbyć i kieruję się prosto do klubu.

Przed wejściem stoi bramkarz, ale to ktoś nowy, komu najwyraźniej zapomniano przekazać, że nie mam tutaj wstępu. Mierzy mnie niepewnym spojrzeniem, ale nie powstrzymuje przed dostaniem się do środka. I tak nie miałby szans. Za bardzo się rozpędziłem. Wątpię, czy uda mi się wyhamować w odpowiednim momencie. Ba, mam wrażenie, że już dawno przegapiłem ten moment.

Przechodzę przez zatłoczoną salę, zmierzając w kierunku jej biura. Po drodze mijam pracujące tu dziewczyny, ale żadnej nie poświęcam

zbyt wiele uwagi, a w każdym razie do czasu. Przy stoliku znajdującym się najbliżej korytarza zauważam parę, która przyciąga mój wzrok. Dziewczyna wydaje mi się znajoma, ale dłuższą chwilę zajmuje mi rozpoznanie, z kim tak naprawdę mam do czynienia. Vicky. A raczej jej mizerna podróba. Ona nie przypomina samej siebie! Nic dziwnego, że z takim trudem przychodzi mi dopatrzenie się w niej tej żywiołowej kobiety, która jeszcze nie tak dawno starała się mną rządzić i dyktować swoje warunki. Teraz wygląda nędznie. Chudsza niż zazwyczaj i poobijana, jakby ktoś potraktował ją jak worek treningowy. Niby ma mocny makijaż, a sińce i tak przebijają się przez grubą warstwę tapety. Nie chcę wiedzieć, jak wygląda bez niego. Ona też patrzy na mnie, ale robi to z takim wyrzutem, jakbym to ja był odpowiedzialny za to, że znalazła się w tej sytuacji. Gówno prawda. Dałem jej szansę, nawet o jedną za dużo, z której i tak nie potrafiła skorzystać. To ja powinienem mieć pretensje do niej. Przez nią podpadłem Lili. Starszy facet sadza ją sobie na kolanach i zaciska tłuste paluchy na stłuczonym policzku, powodując, że dziewczyna krzywi się z bólu.

Nic na to nie poradzę.

Odwracam wzrok i wchodzę do biura. Pierwsze, co mnie zaskakuje, to niespotykany w tym miejscu bałagan. Liliann to pedantka, wszystko musi mieć poukładane od linijki. Tymczasem papiery leżą porozrzucane na biurku i podłodze wokół, a ona siedzi na blacie i raczy się drinkiem. Nie wiem, którym z kolei, bo pustych butelek w jej otoczeniu jest już kilka. Dawno nie widziałem jej w tej odsłonie. Ostatnio lata temu, gdy próbowała dodać sobie odwagi, by z sobą skończyć. Potem już zawsze była do bólu opanowana. Jestem ciekaw, co tym razem się wydarzyło, skoro odreagowuje w ten sposób.

– Co ty tu robisz? – Czka i się uśmiecha na mój widok, układając usta w dzióbek. – Jak otworzyłeś drzwi? Miały być dla ciebie zamknięte do odwołania. Shane, ten twój nowy przydupas na wejściu ma sklerozę! Shane! – drze się, ale bezskutecznie. Tutaj nie ma jej ochroniarza. – No tak, przecież kopnąłeś mnie w dupę. – Śmieje się. – I chuj! I tak się ciebie nie boję! Nikogo się nie boję! A zaraz ktoś straci pracę! Polecą łby! – Cmoka z niezadowolenia

i nakręca na palec kosmyk włosów. Zgrywa słodką lalunię, choć oboje dobrze wiemy, że jej do tego daleko.

– Potrzebuję kontaktu do Daviesa – wyjaśniam, ignorując ten popis, choć świadomość, że straciła tak cenny kontakt, wcale nie jest podbudowująca. Jej problemy zbyt szybko mogą stać się moimi, a tych mam już zbyt wiele. Będę musiał się tym zająć. Później. – Jest dzisiaj w klubie albo wiesz, gdzie go znajdę?

– Potrzebuję, potrzebuję! Ty już nawet nie potrafisz przyjść do mnie zupełnie bezinteresownie! Znasz w ogóle takie słówko, Sammy? Nauczyłeś się go w końcu przez te wszystkie lata? – Śmieje się i robi chwiejny krok w moją stronę. W ostatniej chwili przytrzymuje się biurka, co chroni ją przed upadkiem. Jest totalnie nawalona. – Jaki ten los jest, kurwa, przewrotny, prawda? Raz ja potrzebowałam ciebie, a teraz od lat to wyłącznie ty potrzebujesz czegoś ode mnie.

– Pamiętam.

– Jasne, że tak. Przecież pamiętliwy z ciebie skurwysyn, nie? Tony się o tym przekonał. A Dylan? Pewnie, że wie... Zresztą to nieważne. Ważniejsze, że nie mogłeś zapomnieć o mnie. Powinieneś już wtedy. Ale ty nie mogłeś być taki sam jak oni! – Chichocze jak nawiedzona. – Przez długie tygodnie patrzyłeś, jak leżę na dnie, robiąc za materac dla tego pieprzonego skurwysyna i jego kumpli. Ty nigdy tego nie wykorzystasteś. Przychodziłeś, bo chciałeś zabłysnąć w towarzystwie tandetnych dziwkarzy, ale nie robiłeś nic poza siedzeniem i rozmową. Młody chłopaczek wciągnięty do tego niedobrego świata przez wilki. Chciałeś być tak postrzegany, starałeś się dostosować, ale i tak cały czas się wyróżniałeś. Coś cię powstrzymywało. Do czasu, bo potem zjechałeś koncertowo ten swój nieskazitelny wizerunek dobrego chłopaczka. Zrobiłeś to, kiedy pozbyłeś się Johna. A taki miły był z niego alfons! Przez taki tyci, maleńki ułamek czasu – pokazuje między palcami jak niewielki – myślałam, że robisz to z dobroci serca i szybko o tym zapomnisz, a tu taki chuj! Wyszedł z ciebie wilk wcale nie mniejszy od nich! Dałam się nabrać tak jak wszyscy i pozwoliłam, żebyś szantażował mnie przeszłością i przez wszystkie te lata torturował poczuciem, że kiedyś to ja potrzebowałam ciebie. Czyżby teraz role się odwróciły?

Niewiele rozumiem z jej bełkotu.
Nie dogadamy się. Muszę znaleźć inne rozwiązanie.

Rozdział 20

Skyler

To nie powinno się wydarzyć. O ile znalazłam dla siebie wytłumaczenie za pierwszy raz, o tyle drugiego już nic nie usprawiedliwia. Posypałam się, gdy dotarło do mnie, w jak beznadziejny i brudny sposób zaczynam odreagowywać wszystkie swoje problemy. Boję się, co będzie dalej. Sam ma rację – to ich nie rozwiąże, ale spycham je tam, gdzie przestają nade mną dominować. To idiotyczne. Złe, potworne. Przestałam radzić sobie psychicznie, dlatego uciekłam w fizyczność. Zadziałało, więc to powtarzam. Byle szybciej, byle poczuć się lepiej choćby przez krótki moment. Już kiedyś to przerabiałam. Tak samo zachowywałam się z Adamem i nie skończyło się to dla mnie najlepiej. Niczego się nie nauczyłam. Jeszcze gorzej, że w tym przypadku wcale tego nie żałuję. Nie ma sensu rozważać cofania czasu, bo najpewniej znowu zachowałabym się w ten sam sposób. Na sto procent. No może tylko wprowadziłabym jedną poprawkę. Gdzieś z tyłu głowy możliwe konsekwencje już czekają, aż poświęcę im chwilę swojej uwagi, ale odkładam to w czasie.

Na później.

Zakrywam twarz dłońmi. Ja po prostu jestem głupia. A czuję się jeszcze głupsza przez obecność tej małej. Myślałam, że nic gorszego niż widok Philipa w tej okolicy, mojej bezpiecznej przystani, mi się nie zdarzy, a jednak pojawiła się ona. Nie wiem, gdzie Sam ją znalazł, ale to wcale mi się nie podoba.

Mam złe przeczucia.

Przyglądam się dziewczynce, która na zmianę budzi się i odpływa. Trawi ją gorączka, powodując, że włosy lepią się jej do czoła. Przykładam do niego zmoczoną w zimnej wodzie szmatkę, ta jednak zbyt szybko się ogrzewa. Ona sama wygląda mizernie: blada jak

śnieg, przez co sińce pod załzawionymi, opuchniętymi oczami sprawiają wrażenie jeszcze ciemniejszych, a rumieńce na policzkach żarzą się czerwienią. Najbardziej przerażający jest jednak ten płytki oddech. Nachyliłam się nad nią, żeby nie przegapić momentu, w którym go zabraknie, choć tak naprawdę nie wiem, co miałabym wtedy zrobić. I tak nie umiałabym jej pomóc. To jak czekanie na wybuch bomby. Świadomość, że najpewniej w końcu do niego dojdzie, podbija stres i jeszcze pogarsza sytuację. Bezradność coraz bardziej wciska mnie w głębę.

Czas mija, a Samuel nie wraca. Nie chcę dłużej siedzieć beczynn timer i czekać na cud. Rzucam jeszcze jedno nerwowe spojrzenie w kierunku małej, a potem na drzwi. Nadal nic się nie dzieje, więc podrywam się na równe nogi. Muszę coś zrobić, inaczej oszaleję. Nie mam żadnych pieniędzy, po krótkich poszukiwaniach nie znajduję ich również w tym mieszkaniu, ale liczę na to, że nawet bez nich ktoś będzie w stanie mi pomóc. Nie wszystko przecież da się spieniężyć. Życie jest zbyt cenne. Przecież to oczywiste.

W Morningside nie ma zbyt wielu sklepów, bo to magazynowa dzielnica, ale kojarzę jedną aptekę tuż na obrzeżach. Dwie przecznice dalej. Dość blisko, choć w tej sytuacji ta odległość wydaje mi się trudna do przebycia. Idę szybko, momentami zmuszając się do biegu. Nie mam siły. Obecny styl życia mocno mnie obciąża, co odczuwam, bo docierając do ciągu budynków, wśród których znajduje się mój cel, niemal tracę dech. Po drodze nie minęłam nawet jednej osoby mogącej mi pomóc. Tutaj sytuacja nie wygląda wcale lepiej. Rozglądałam się wokół, ale nie widzę nikogo, kogo mogłabym poprosić o wsparcie. Muszę spróbować u źródła.

Wchodzę do środka, a moje przybycie zostaje zasygnalizowane przez niewielki dzwonek wiszący nad drzwiami. Ten dźwięk sprowadza za ladę starszą kobietę, która wyłania się z zaplecza. Krągła, niska, choć wysoki kok utworzony z jasnych blond włosów dodaje jej kilka cali. W pierwszej chwili wydaje się podekscytowa, jakby już dawno nikt tutaj nie zaglądał. Uśmiech jednak znika z jej ust, gdy orientuje się, z kim ma do czynienia. No tak. Te kilka dni nie sprzyjało temu, bym mogła o siebie zadbać. Nie robię dobrego wrażenia i znajduję potwierdzenie w nieprzychylnym spojrzeniu

brązowych tęczęwek. Nawet nie pyta, czego potrzebuję, tylko ostentacyjnie mnie ignorując, zajmuje się układaniem pudełek z lekami w równym rzędku. Przy każdym ruchu stuka przedłużanymi paznokciami w półkę. Odmierza czas, a ten nie jest miłościwy. Kobieta nie poświęca mi uwagi, nawet kiedy stoję tuż przed nią. Traktuje mnie jak powietrze i zapewne liczy, że po prostu zaraz wyjdę.

– Dzień dobry. Ja... ja potrzebuję pomocy. Jedno z dzieci, którymi się zajmuję, ma bardzo wysoką gorączkę – wyrzucam z siebie na jednym wydechu, powodując, że przenosi na mnie spojrzenie. Stresuje mnie to, jak oceniająco patrzy i jak brzydsko wykrzywia przy tym usta. Jakby miała do czynienia z karaluchem. Nie mam pomysłów, jak miałabym ją do siebie przekonać i sprawić, żeby zobaczyła we mnie człowieka, a nie chodzący problem. Nigdy nie radziłam sobie z tym najlepiej. – To dziewczynka. Ona nie ma nikogo, a ja... Mi brakuje pieniędzy. Może mimo to będzie pani w stanie coś poradzić? Potrzebuję czegoś, żeby szybko zbić temperaturę. Ja zapłacę, jak tylko będę mogła. Wrócę tu, obiecuję. Bardzo proszę.

Mina aptekarki zdradza, że nie ma takiej możliwości. Dociera to do mnie jeszcze zanim otwiera usta, a kiedy słyszę potwierdzenie, w oczach gromadzą mi się łzy. Nie rozumiem, dlaczego zachowuje się w ten sposób.

– Droga pani – mówi ostrym jak brzytwa tonem – każdy z nas czegoś potrzebuje, a ja nie jestem jakąś fundacją, żeby wspierać każdego, kto tu zajrzy. Też walczę o przetrwanie. Muszę utrzymać firmę i rodzinę. Gdybym rozdawała wszystko za darmo, tak jak niektórzy tego oczekują, dawno bym wylądowała na bruku i podzieliła los tych nieudaczników. A pani? – Mierzy mnie oceniającym spojrzeniem. – Mogła pomyśleć wcześniej, z czego utrzyma dzieci, zanim zaczęła się rozmnażać. To takie nieodpowiedzialne! I teraz ja mam za to płacić?

– To nie moja córka! Znalazłam ją i przygarnęłam – kłamię, bo sama nie poznałam jeszcze prawdy. – Ona jest bardzo chora i...

– Och, ja już znam te tłumaczenia i ludzi jak ty! – przerywa mi niecierpliwie, porzucając na siłę udawany grzecznościowy ton. –

Bierzecie ludzi na litość, żeby tylko zdobyć pieniądze, a potem o dzieciach się zapomina i zabawa trwa! Alkohol i narkotyki! Wszystko fundowane z kieszeni tych ciężko pracujących! Nie ze mną takie numery!

– Ale ona naprawdę umiera! Bardzo panią proszę!

– Skoro jest tak źle, to proszę iść do szpitala. Tam na pewno pomogą. Ja nie jestem w stanie, bardzo mi przykro. Żegnam.

Nie mogę postąpić tak, jak radzi, ale wiem, że kobieta nie uwierzy już w żadne z moich tłumaczeń, dalsze próby jej przekonania nie przyniosą efektu. Zresztą ona nie chce ich słuchać. Nic tu nie ugram.

Przełykam gorzyc rozczarowania i wychodzę. Czuję się tak bardzo zagubiona. Mam wrażenie, że otaczające mnie ściany przysuwają się niepokojąco blisko, a co gorsza, pozbawione są okien i drzwi, przez które mogłabym odnaleźć wyjście, by uniknąć zgniecenia. Ta sytuacja jest beznadziejna.

Rozglądam się wokół i wtedy coś przykuwa moją uwagę. Na słupie nieopodal umieszczonych jest kilka ogłoszeń, plakatów. Niektóre rzucają się w oczy przez krzykliwe barwy, ale większość z nich jest już stara i wyblakła. Nikt nie zaprzętał sobie głowy, żeby wymienić je na nowe, przez co trudno odczytać ich treść. Przesuwam po nich wzrokiem, a jeden z nich powoduje, że zamieram, jakby coś mnie trafiło. Ze zdjęcia bowiem spogląda na mnie kobieta, która ma moje oczy, ale jednocześnie wydaje mi się zupełnie obca. Ubrana w szary damski garnitur, stoi pewnie, z założonymi na piersi rękoma. Ma idealnie ułożone blond loki i wyuczony na pamięć, sztuczny uśmiech. Taką wersję mnie widzieli klienci agencji, taką wersją mnie lubiła chwalić się matka. Mam wrażenie, że to zdjęcie powstało lata temu, jeszcze w innym życiu, albo przedstawia zupełnie inną osobę, która jest tylko do mnie w jakimś stopniu podobna. Jednak to nie te różnice najbardziej szokują. Zaskakuje sam fakt istnienia tego ogłoszenia. Nawet przez chwilę nie wierzyłam, że matka, po tym, co prawdopodobnie przekazał jej Philip, będzie chciała prowadzić poszukiwania. Myślałam, że pogrzebie mnie żywcem. Tymczasem ona wciąż ma nadzieję, że mogłam przeżyć. Bardzo chciałabym do niej w tym momencie zadzwonić, usłyszeć znajomy głos, zapewnić, że nic mi nie jest i jeszcze kiedyś się spotkamy, ale to by wszystko

zmieniło. Nadal nie jestem gotowa na konfrontację. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę. Ulica przeszła mnie na wskroś, zamordowała dziewczynę, którą kiedyś byłam. Nic z niej nie zostało. Powrót może okazać się niemożliwy.

Przesuwam palcami po kartce, chcąc upewnić się, że jest realna. Niepozorna fotografia przypomina mi o życiu, które jeszcze nie tak dawno prowadziłam. Nie było najlepsze, ale przynajmniej stabilne. Kiedy tak bardzo się posypało?

Wpatruję się w to zdjęcie bezmyślnie i daję się zaskoczyć. Nauki Samuela zbyt szybko wypadają mi z głowy. Nie byłby zadowolony. Podskakuję ze strachu, gdy ktoś przystaje obok mnie. Dwóch mężczyzn, żaden z nich jednak nie zwraca na mnie uwagi. Traktują mnie jak powietrze. Jeden trzyma plik plakatów, a drugi zszywacz, przy pomocy którego przypina jedną kartkę obok ogłoszenia o moim zniknięciu. Biję się z myślami. Z jednej strony boję się, że mogą mnie rozpoznać, ale z drugiej – to może być jedyna taka szansa. W końcu nikogo innego w okolicy nie ma.

– Przepraszam... – Zbieram się na odwagę i przemawiam do nich. Mam zamiar zapytać, czy byliby w stanie pożyczyć mi pieniądze. Przecież to nie jest zbrodnia, ale coś mnie blokuje, a oni nie reagują, zbyt pochłonięci swoim zajęciem.

Chrząkam, wydając z siebie cichy dźwięk, i mam zamiar spróbować jeszcze raz, głośniejsze i z większą determinacją. Prawie już otwieram usta, jednak w tym samym momencie mój wzrok pada na zawieszane przez nich zdjęcie, a do mnie dociera fakt, że znam to dziecko!

– Tak? Potrzebuje pani czegoś? – pyta jeden z mężczyzn, zwracając się w moją stronę.

Nie potrafię wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Patrzę tylko z przerażeniem, czując, że zaczyna brakować mi tchu.

To ona!

Dziewczynka, którą przyniósł do mieszkania Sam. Natomiast facet, który się do mnie odezwał, jest tak cholernie do niej podobny, że nie mam większych wątpliwości, że to jej ojciec. Zdradza go wygląd i zmęczenie. Sprawia wrażenie koszmarnie zmalretowanego,

a jednocześnie przepelnia go zimna determinacja. Z podobną najpewniej szukałabym własnego dziecka.

Kręcę głową i odsuwam się krok za krokiem. Kiedy mam pewność, że nie będą w stanie mnie złapać, odwracam się na pięcie, po czym rzucam się do ucieczki. Biegnę do mieszkania. Mam nadzieję, że Sam jeszcze nie wrócił. Boję się konfrontacji z nim w tym momencie. Nie wiem, jak się zachowam, gdy go zobaczę. Szczęście mi sprzyja, bo mieszkanie nadal jest puste. To znaczy prawie. Muszę działać szybko. Padam na kolana tuż obok dziewczynki leżącej na materacu.

– Maddie... Masz na imię Maddie, prawda? – szepczę, chcąc sprawdzić, czy w jakikolwiek sposób zareaguje na imię, które przeczytałam na ogłoszeniu, a kiedy porusza lekko głową i drgają jej opuchnięte powieki, nabieram pewności, że się nie mylę.

Co ja mam, do diabła, teraz zrobić?!

Wplatom palce między włosy i pociągam, próbując przywrócić sobie zdolność myślenia. Jestem w potrzasku. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że ta dziewczynka się tu znalazła. Czyżby Sam miał coś wspólnego z jej zniknięciem? Myślałam, że tylko ją znalazł i się zlitował, tak jak to było w moim przypadku. Ale czy na pewno? W końcu dziwnie zareagował na propozycję udania się do szpitala. Myślałam, że to kwestia finansów, ale może po prostu nie chciał dopuścić do tego, żeby ktokolwiek rozpoznał małą?

W głowie brzęczą mi jego wyznania o ludziach, których pozbawił życia. Nie krył się z tym i nie powiem, że nie potraktowałam tego poważnie. Od początku czułam, że otacza go mrok, większy, niż mogłabym się po kimkolwiek spodziewać. Ale dziecko?! Naprawdę byłby zdolny, żeby ją uprowadzić i zrobić krzywdę? Zniosłabym wszystko, tylko nie to.

Nie mogę dłużej czekać. Może to błąd, że nie czekam, by poznać jego wersję zdarzeń, ale po prostu daję ostatnią szansę własnej intuicji. Biorę małą w ramiona, wzdychając za sprawą obciążenia. Maddie nie jest zbyt ciężka, ale i tak niełatwo mi jest ją utrzymać, zwłaszcza że ze mną nie współpracuje i niemal przelewa mi się przez rękę.

Tym razem z trudem pokonuję tę samą drogę i zajmuje mi to dwa razy więcej czasu, ale liczę, że zdążę, zanim mężczyźni odejdą na

tylę, że nie będę w stanie ich odnaleźć. Ścigam się ze sobą, próbując pokonać własne ograniczenia. Kiedy docieram na miejsce, pot zalewa mi twarz, a płuca płoną żywym ogniem.

Wychylam się i obserwuję, co dzieje się na ulicy. I są! Przeszli na drugą stronę i stoją kawałek dalej, ale wciąż wieszają kolejne plakaty. Tak blisko... Coś jednak powstrzymuje mnie, by do nich podejść. To zbyt duże ryzyko. Ograniczam je do minimum. Kładę małą na chodniku, nabieram do płuc powietrza i gwizdzę, licząc, że mężczyźni zwrócą się w tym kierunku i ją zauważą, po czym szybko wycofuję się do zaułka, by nie zostać przyłapaną.

Przez moment nic się nie zmienia, ale w końcu słyszę:

– Maddie? Maddie! Kurwa, to naprawdę ona! Dylan, chodź tutaj, chyba ją znalazłem!

Jestem pewna, że zajmą się nią odpowiednio. Ciężar spada mi z barków, a przynajmniej nie czuję go do chwili, gdy nie spotykam na swojej drodze Sama. Czeka na mnie przed wejściem do kamienicy. Jest wściekły. Nie wiem, po co tu wracałam. Przez chwilę myślałam, że będę w stanie wytłumaczyć mu, dlaczego to zrobiłam, i być może usłyszeć w zamian słowo wyjaśnienia, ale teraz dociera do mnie, że byłam naiwna. Ale czy równie naiwna nie byłabym, gdybym sądziła, że przed nim ucieknę? Znalazłby mnie, gdziekolwiek bym się nie ukryła. On albo Philip.

– Uprowadziłeś ją?! Poważnie, Sam?! Dlaczego? – wyduszam, zanim ma szansę pierwszy mnie zaatakować.

Ma taką chęć.

Widzę to w jego oczach, i to z całkiem bliska, gdy chwyta moje nadgarstki, zamykając je w stalowym uchwycie i przyciągając mnie do siebie. Staram się go uderzyć. Macham na oślep rękami, okładam jego pierś pięściami, ale to na nic. Przypomina mi się moment, gdy po raz pierwszy obudziłam się u niego. Wtedy też dyktował warunki, a ja nic nie mogłam z tym zrobić. Szarpałam się, ale równie dobrze mogłabym siłować się ze skałą. Teraz jest podobnie i również nie robi to na nim żadnego wrażenia. To ja przestaję nad sobą panować.

– Co niby chciałeś z nią zrobić?! – krzyczę mu prosto w twarz. Łzy płyną mi po policzkach, oddech staje się coraz bardziej

spazmatyczny. – Jesteś nienormalny! Jej ojciec odchodził od zmysłów!

Prycha.

– Też szalałem, kiedy posłał do piachu moją siostrę – stwierdza obojętnym tonem, który kompletnie nie pasuje do tej sytuacji. Jego zachowanie i to, co mi oznajmia, wprowadza mnie w osłupienie i powoduje, że na moment porzucam walkę. – Miała dokładnie tyle lat, co ta mała. Niczym nie zawiniła, a on zamordował ją z zimną krwią. Pierdolony sukinsyn! – Podnosi głos, tym samym zdradzając, że wypracowany spokój jest czymś nietrwałym, pozornym. Może posypać się w każdej chwili. – Chciał przejąć interesy, ale nie miał jaj, żeby spróbować się ze mną. A wiesz, co jest w tym najgorsze? Stchórzył. Nigdy nie chciał, żebym się dowiedział, że to on za tym stoi. Nigdy nie wziął odpowiedzialności za swoje czyny. Wolał mnie osłabić po cichu, odbierając mi ostatnią osobę, na której mi zależało. Pozbawił mnie rodziny, Sky! I nie miał skrupułów. Wymagasz ich ode mnie? – Patrzy surowo. To wszystko do mnie nie dociera. Nadal jestem wściekła i przerażona, ale jednocześnie próbuję postawić się na jego miejscu. Mój mózg na siłę stara się go wybielić. To chore... – I wiesz, o to samo mógłbym zapytać ciebie – szepcze mi do ucha. Jest tak blisko, że nie potrafię powstrzymać dreszczy, które wstrząsają moim ciałem. – Dlaczego to zrobiłaś? Czemu znowu mnie okradłaś? Co z tobą? Co z tymi wszystkimi zapewnieniami, które tak gorliwie składałaś? Nawet nie chciałaś poznać mojej wersji.

Nagle schodzi ze mnie ciśnienie. To on miesza mi w głowie, ale z tym jednym ma rację. On powstrzymywał się od osądów, gdy wyznałam mu prawdę o sobie. W tym przypadku nie potrafiłam postąpić tak samo.

– Same dobre pytania, nie? Tylko widzisz, ja nie chcę znać na nie odpowiedzi. – Odsuwa się ode mnie. Puszczą, jakbym była jedynie zbędnym ciężarem. Nagle uwolniona zataczam się do tyłu, ale nie puszcza z niego wzroku. Nie potrafię. Nigdy nie widziałam w jego oczach tyle chłodu. Nawet na początku naszej znajomości ani wtedy, gdy beznamiętnie celował do ludzi. To coś zupełnie innego. – Mógłbym się za to odegrać i uwierz mi, nie skończyłoby się to dla ciebie miło. Dam ci jednak ostatnią szansę.

– Sam... – Staram się zaoponować, ale on kręci głową i mocno zaciska pięści, jakby powstrzymując sam siebie. Nic tu nie ugram.

– Czego ty, kurwa, nie rozumiesz? Ja już cię nie chcę! Nie chcę przy sobie kogoś takiego. Kogoś, kto bez wahania potrafi mnie zdradzić – warczy. – Po prostu odejść, teraz, zanim zrobię coś, czego oboje będziemy bardzo żałować – dodaje znacznie ciszej. – I nie szukaj we mnie więcej oparcia, bo go nie dostaniesz.

To boli. Nie sądziłam, że będzie tak bardzo boleć. Niby spodziewałam się tych słów, powtarzałam je w głowie, ale wypowiedziane na głos nabierają większej mocy. Stają się bardziej realne, prawdziwe. Łzy napływają mi do oczu. Wyciska je piekielne rozczarowanie. Nim? Sobą? Chyba każdym z nas po trochu. To ono wygrywa. Ledwo zauważam, jak odwraca się do mnie plecami i wraca do swojego mieszkania. Nie mam zamiaru prosić go o łaskę. Robię to, czego chciał, co powinnam zrobić już na samym początku.

Odwracam się i odchodzę.

Pewne momenty mają to do siebie, że przypominają kostki domina. Jedno nierozważne działanie popycha kolejne, wywołując prawdziwą destrukcję, lawinę. W tej chwili czuję, że wszystkie zawaliły mi się na łeb. Nie wiem, co mam dalej zrobić. Dokąd iść, a co ważniejsze, gdzie znaleźć siłę, by zmierzyć się z przeszłością.

Ona jednak znajduje mnie pierwsza. Sam miał rację, przed nią nie da się uciec, nieważne, jak szybko by się biegło, a zderzenia bywają bolesne.

Pisk kół. Chmura wzbitego spod nich pyłu wpada mi do oczu, powodując, że te zaczynają łzawić. Nie mam nawet cienia szansy odwrócić się w stronę zagrożenia, bo zanim się poruszam, czyjaś dłoń zasłania mi usta, przyciskając do nosa kawał szmaty. Chcę krzyknąć, gwałtownie nabieram powietrza, a po chwili pożera mnie ciemność.

Rozdział 21

Samuel

Stoję pośrodku mieszkania, zastanawiając się, co mam teraz zrobić. Tutaj nie mogę dłużej zostać. Już wcześniej stąpałem po niepewnym gruncie, ale teraz ryzyko, że mała coś zapamiętała i wygada, jest zbyt duże i powoduje, że ziemia pod moimi stopami zaczyna się kruszyć. Nie chcę trafić do pierdła. Zagrałem najważniejszą ze swoich kart i przegrałem. Miejscówka spalona. Muszę się stąd wynieść, i to jak najprędzej. Sięgam po telefon, a następnie wybieram numer do José, który raz mi już pomógł, gdy kurewsko potrzebowałem zniknąć po śmierci Olivii. Mam nadzieję, że tym razem też nie odmówi.

Odbiera po pierwszym sygnale, jakby czuwał z ręką na komórcę i coś mówiło mu, że właśnie do niego zadzwonię.

– Sam? A niech mnie! – Gwiżdże przeciągle, tak że pojawiają się zakłócenia i dźwięk w słuchawce zaczyna pisać. Zamykam oczy i czekam, aż minie mu jebana fala euforii. Nie daję się jej porwać. Daleko mi do tego. – Milczałeś tak długo, że już myślałem, że cię sprzątnęli i dołączyłeś do grona aniołków, dzieciaku!

José Challion to były glina, którego wyjebali na zbity pysk po tym, jak wyszło na jaw, że zamiast pełnić służbę w świetle prawa, częściej je gasił. Facet swoje odsiedział, ale nawet nie udawał, że jest mu przykro. Pobyt w pierdłu pomógł mu tylko raz na zawsze pozbyć się maski, którą zakładał, kiedy nie był pewnym, w którą stronę iść. Gdy wyszedł na wolność, już wiedział. Zaraz po zakończeniu tej owocnej współpracy nawiązał inną, znacznie bardziej dochodową i dla odmiany zgodną z jego przekonaniem. Wyniósł się za miasto, natomiast plac za swoim domem zmienił w szrot. Kolekcjonuje gruchoty, ale tymczasowo dom znajdujący tam również całkiem niezłe cacka. Chwilowo, dopóki nie zostaną rozebrane na części i zanim prawowici właściciele mają szansę je odnaleźć.

Śmieszne, jaki ten los bywa przewrotny.

– Nawet nie wiesz, ile razy próbowali.

– I co? Tylko trochę cię pogonili? Ja to cię podziwiam, od lat ciągle jesteś w biegu. Mogę się założyć, że masz już lepszą formę niż niejeden maratończyk. – Śmieje się, ale kiedy mu nie wtóruję, milczy, a po chwili odzywa się poważniejszym tonem: – Znowu dostałeś zadyszki?

– Jakbyś zgadł – mamrocze niechętnie. – Potrzebuję miejsca, żeby zaszyć się na kilka dni i w spokoju pomyśleć. Mogę na ciebie liczyć?

Trudno mi przyznać, że czegoś od niego potrzebuję. Niby gramy do jednej bramki, a on już przy każdym naszym spotkaniu sprawia wrażenie, jakby żywił do mnie niemal ojcowskie uczucia, ale ja traktuję go tylko jak punkt zaczepienia. Zawsze. Nie potrafię inaczej. Nie do końca mu ufam i nie chcę przebywać w jego pobliżu zbyt długo, mimo że obecnie jest jedyną osobą, na którą mogę liczyć. Tak naprawdę drażni mnie jego badawcze spojrzenie, przez które czuję się, jakby ktoś mnie prześwietlał na wylot. Czasami trudno jest mi też przy nim oddychać, bo zdarza się, że wciąż zalatuje starym psem.

Jednak mimo niechęci muszę przyznać, że José nigdy do tej pory mnie nie zawiódł. I tym razem również nie rozczarowuje. Nie dość, że zapewnia, że jego dom jest dla mnie otwarty i obiecuje pościelić kanapę w salonie, to jeszcze organizuje transport. Ma przyjechać niedługo, bo tak fartownie się złożyło, że akurat jest w pobliżu. Jeden plus pośród stosu ostatnich porażek.

Czekam na niego, a gorąco, którego wybuch poczułem chwilę wcześniej za sprawą Sky, wciąż we mnie buzuje i utrudnia myślenie. Kiedy w końcu zlokalizowałem w klubie Daviesa i dotarłem z nim do mieszkania, odkryłem, że nikogo w nim nie ma. Poczułem się oszukany. Wcale nie wkurwiony. Po prostu zdradzony. A to jeszcze gorzej. Nikt, kto postąpił ze mną w ten sposób, jak do tej pory nie mógł cieszyć się długim i spokojnym życiem. Sky jest wyjątkiem. Nie skrzywdziłem jej, nie byłem w stanie. A to już zdecydowanie mnie wkurwia.

Podchodzę do okna i otwieram je na oścież. Liczę, że dopływ świeżego, chłodnego powietrza podziała na mnie odpowiednio. Przymykam powieki, wsłuchując się w dźwięki, którymi obdarza

mnie miasto. Chciałbym je usłyszeć, ale zamiast niego obrywam po uszach krzykiem. I to jakim! Słyszałem go zbyt wiele razy w nocy, by pomylić z czymś innym, mimo że tym razem trwa cholernie krótko. Przeszywający, szybko urwany. Jednak wciąż znajomy.

Nawet się nie zastanawiam.

Wypadam na zewnątrz, ale i tak jest za późno. Mogę pluć sobie w brodę, że zostawiłem ją samą, i to jeszcze po tym, jak zobaczyła w okolicy kogoś, kogo tak bardzo się bała. Mogę, ale to jedyna reakcja. Rozglądam się wokół, zaglądam w boczne uliczki. Pustka. Tylko to niemożliwe. Jeżeli ktoś ją znowu dopadł, nie byłby w stanie w tak krótkim czasie oddalić się zbyt daleko. Nie porzucam poszukiwań.

Zapętlam się w tym tak bardzo, że w pierwszej chwili nie zauważam nic podejrzanego, a potem wszystko dzieje się błyskawicznie. Mijam kolejną wąską uliczkę, a za moimi plecami rozlega się warkot włączonego silnika. Spoglądam przez ramię w samą porę, żeby zobaczyć, jak czarny chrysler wyjeżdża z zakrętu i mknie prosto w moją stronę z zawrotną prędkością. Opony piszczą na oblodzonej drodze, ale go nie spowalniają. Ledwo odskakuję w tył, na chodnik, a on przejeżdża tuż obok. Nie jestem pewien, czy znajduje się w nim Sky, ale to zbyt duży zbieg okoliczności. W desperackim odruchu rzucam się w jego stronę, ale to na nic. Nie mam szans przyjrzeć się jego kierowcy, nie mówiąc już o zatrzymaniu rozpędzonego auta. Upadam na kolana i patrzę w ślad za nim. W pamięci zostają mi tylko dwie ostatnie liczby tablicy rejestracyjnej. Chwytam się tego, jak liny ratunkowej, bo nic innego mi nie pozostaje.

Nie wiem, co robić. Nie mam żadnej możliwości, by ruszyć w pościg i upewnić się w swoich podejrzeniach. W okolicy nie ma żadnego auta, które mógłbym wypożyczyć, a chrysler już zniknął mi z pola widzenia. Nie zarejestrowałem, czy pomknął do przodu, czy gdzieś skręcił. Jego poszukiwanie w tym momencie z góry skazane jest na porażkę. Nigdy nie czułem się tak bezradnie.

Może tylko raz. Przy Olivii. Chujowe uczucie.

Wracam pod mieszkanie i siadam na pokrytym śniegiem krawężniku. Zaplatam dłonie na karku, starając się wyciszyć myśli

i sprawić, że na nowo staną się klarowne. Tak jak zawsze. Nieudolnie.

Kiedy pod kamienicę podjeżdża José, wsiadam do auta i uderzam pięścią w deskę rozdzielczą, dając upust wściekłości. José patrzy na mnie, jakbym stracił rozum. Przyznaję. Straciłem. Zrobiłem to w momencie, gdy zgarnąłem z wycieraczki jednego blond szurniętego anioła. To Sky mi go zabrała. Jak więc, kurwa, mam teraz myśleć racjonalnie, skoro ona jest chuj wie gdzie? I to znowu przeze mnie! Mam przeczucie, że to wszystko zatoczyło wielkie koło i dzieje się ponownie. Przez własną głupotę zaraz stracę kolejną osobę, która w jakiś sposób się do mnie zbliżyła.

Albo już straciłem.

– Chcesz pogadać, czy wolisz wyżywać się na moim maleństwie?

– Nie chcę – warczę. Nie zachowuję się normalnie, ale wewnątrz wstrząsa mną tak wielki wkurw jak chyba jeszcze nigdy w moim życiu. Wkurw i przerażenie. Niebezpieczna mieszanka. Ogłupiająca.

José wzrusza ramionami i rusza przed siebie. Jedziemy w milczeniu, a po kilku minutach w ciszy postanawiam jednak się przełamać:

– Potrafisz znaleźć auto po numerze rejestracyjnym?

– Być może. – Wzrusza ramionami i pociera zakryty gęstym zarostem podbródek, jakby zastanawiał się, czy rzeczywiście mógłby sprostać takiemu wyzwaniu. – Teoretycznie wciąż mam kontakty.

– Osiemdziesiąt dziewięć.

– I co? To tyle? – Rechocze. – Nawet nie żartuj. – Spogląda na mnie pytająco, a ja zaciskam szczękę tak mocno, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby usłyszał chrupnięcie łamiących się zębów. – Nie! Ty mówisz poważnie? – Kręci głową w ciągłym rozbawieniu. – Równie dobrze mógłbyś mnie prosić, żebym wypełnił kupon na loterię tak, by na pewno zgarnąć główną nagrodę. Marne szanse, mój mały.

– Jednak jakieś są, tak? W takim razie się postaraj.

Rozdział 22

Skyler

Ciemność.

Coraz większy mrok...

Nic więcej.

Jęczę z bólu, gdy odzyskuję przytomność. Jestem już nieco bardziej świadoma swojego ciała, choć ono całe wciąż jest zdrętwiałe i wyziębione. Z początku wcale nie reaguje na moje polecenia. Zmuszam się, by chociaż zamrugać ociężałymi powiekami. Mam nadzieję, że to mnie otrzeźwi, ale to na nic. Jedynie ból eksploduje w mojej głowie z jeszcze większą siłą, powodując, że przez moment na nowo brakuje mi tchu. Nic poza tym. Wciąż nic nie widzę i nie wiem, gdzie jestem. Usilnie staram się podnieść. Pomalutku, wkładając w to całą swoją siłę i determinację, jaka we mnie pozostała, po omacku opieram się dłońmi o zimną betonową posadzkę. Zbieram się w sobie, żeby spróbować się dźwignąć, ale ręce załamują się pod moim ciężarem, gdy tylko kładę na nie większy nacisk.

Upadam.

Uderzam podbródkiem o posadzkę, aż przed oczami rozbłyskują mi białe plamy. Poddaję się. To się nie uda. Kulę się w sobie, przyciągając kolana do piersi. Leżę nieruchomo.

Tak bardzo wszystko mnie boli.

Umieram.

Nagle przez szparę między drzwiami a posadzką dostrzegam błysk światła. To żaden przejaw nadziei. Raczej ten rodzaj jasności, który poprzedza nastanie jeszcze większej ciemności. Patrzę w tamtą stronę, czując, jak szybko i mocno bije moje serce. Ono już wie. Po chwili rozlega się dźwięk kroków pokonujących kolejne schody.

Stopnie skrzypią przeraźliwie, gdy ktoś na nie następuje. Słyszę to.
Każdy krok.

Idzie po mnie.

Pomocy...

To koniec.

Rozdział 23

Samuel

Siedzę na schodach drewnianej werandy, obserwując, jak José pochyla się nad silnikiem jednego ze zgromadzonych na placu gruchotów i wesoło pogwizduje. Przynajmniej jeden z nas ma powody do zadowolenia, mimo że wcale nie powinien ich, kurwa, mieć. Nie wiem, z czego się tak cieszy. Przecież zjebał sprawę. Miałem nadzieję, że mi pomoże, ale się przeliczyłem. Chociaż nie mogę powiedzieć, że się nie starał. Próbował. Tylko że dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane i jego pomoc i tak była chuja warta. Wszelkie próby, które podejmował przez kolejne dni, choć ryzykowne, spełzły na niczym. Szybko się poddał, no bo trudno, stało się i tego kwiatu pół świata. Nie ma racji. Akurat takiego drugiego egzemplarza już nie znajdę. Jestem tego pewien. Dlatego też sam zdecydowałem się na kilka kolejnych kroków. Bez efektów. Zadzwoiłem nawet do Liliann, ale ona tylko wybuchła śmiechem.

– Ta twoja nowa cizia? Naprawdę już ją zgubiłeś? Szybciej niż zakładałam! Brawo, Sam! Jesteś niesamowity. Myślałam, że tylko głupiego bachora nie potrafiłeś upilnować, a najwyraźniej z dużymi dziewczynkami nie radzisz sobie wcale lepiej.

Szczerze? Bardziej ucieszyłby mnie szantaż. Przez krótką chwilę naprawdę myślałem, że to ona za tym stoi. To, co ostatnio się z nią działo, sprzyjało takim nierozważnym, idiotycznym wręcz krokom. Liczyłem, że przyzna się, że uprowadziła Sky, żeby jeszcze mocniej zasznurować mi gębę. To byłoby dokładnie w jej stylu. Nic takiego nie nastąpiło. Liliann wydawała się szczerze zdziwiona, a nie potrafi aż tak dobrze grać. Nie przede mną. Wytrąciła mi z rąk jedyną możliwość, a ja nie mam pojęcia, gdzie szukać kolejnej. To mnie wkurwia. Nieustająco.

– Powiem ci coś, mój mały – odzywa się José. Odwraca się w moją stronę, wycierając pokryte smarem dłonie w kraciatą szmatę. – Nie od dziś wiadomo, że kobiety to największe zagrożenie, jakie facet może na siebie sprowadzić, i to na własne życzenie. A ta dziewczyna narobiła ci w głowie większego burdelu niż Olivia. To jakieś popierdolone. W życiu bym się nie spodziewał, że coś lub ktoś będzie w stanie ją przebić. Szczególnie że widziałem, jak zachowywałaś się po jej śmierci. A tu proszę! Nie śpisz, nie jesz. Patrzysz przed siebie pustym wzrokiem, jakbyś wegetował albo raczej tylko planował, kogo odjechać w pierwszej kolejności. Prawie widzę tę wyliczankę w twoim łbie. Chuj wie, na kogo padnie. A to wszystko przez nią. Zrobiłeś błąd, że dopuściłeś ją tak blisko siebie. Spójrz na mnie – rozkłada szeroko ramiona, jakby faktycznie chcąc się całkowicie odsłonić – zmieniam je jak rękawiczki, żadnej nie obiecując zbyt wiele. Proste układy są lepsze. Też żyłeś kiedyś w tym przekonaniu. Co się zmieniło? Aż taka była dobra, że zechciałeś zatrzymać ją sobie na dłużej? No co? Nie widzę innego wytłumaczenia, dlaczego tak cię omotała w krótkim czasie. – Milknie i przygląda mi się uważnie, jakby moje gesty i zachowanie mogły powiedzieć mu więcej niż słowa. Nie wykonuję żadnego ruchu, a on w końcu odpuszcza. – Jak sobie tam chcesz, ale według mnie to brednie. Zawsze znajdzie się jakaś lepsza. Możesz mi zaufać.

Mam ochotę się mu odciąć, ale w tej samej chwili komórka w mojej kieszeni zaczyna wibrować. Spoglądam na ekran, ale nie znam numeru, z którego ktoś próbuje się ze mną skontaktować. Mimo to odbieram. Ciekawość jest silniejsza.

– Ona tu jest.

Marszczę brwi. Chwilę zajmuje mi rozpoznanie, z kim rozmawiam, a kiedy to do mnie dociera, natychmiast się prostuję i nabieram czujności. José macha ręką i wraca do pracy, tracąc zainteresowanie.

– Vicky?

Podrywam się z miejsca. Czuję, jakby właśnie trafił mnie piorun i naelektryzował całe ciało. Zalewa mnie gorąco przepływające od czubka głowy po palce u stóp.

– Liliann się wygadała, że do niej dzwoniłeś i o nią pytałeś. Cieszyła się, że udało jej się cię okłamać. Ona ją tu przetrzymuje.

Sama widziałam. Wejście od tyłu jest otwarte, niedawno była dostawa. Pospiesz się i... – rzuca na wydechu, ale nie kończy. Nagle się rozłącza, jakby coś ją spłoszyło.

Zastanawiam się, na ile mogę jej ufać. Druga sprawa, że na całym globie nie ma osoby, której ufałbym choć trochę bardziej. Nawet Sky nie podwyższa tych statystyk. Nie po ostatnim razie. Wiem, co nią kierowało, gdy pomogła małej uciec. Wiem też, jak to wszystko wyglądało w jej oczach. I, kurwa, wcale się nie myliła! Jednak sam fakt, że to zrobiła, sprzeciwiła się mi, nadszarpnął wiarę w to, że może iść za mną w ciemno. Vicky natomiast już raz w życiu bardzo mi pomogła.

– José! – wołam. – Mogę pożyczyć twoją furę? Oddam w stanie nienaruszonym!

José spogląda na mnie z powątpiewaniem, jakby ta nagła zmiana w moim zachowaniu napawała go niepokojem. Waha się, ale po chwili sięga do kieszeni.

– Bardziej niż o furę martwię się o ciebie – rzuca tym swoim pocziwym, ojcowskim tonem, którego miałem okazję już dostatecznie się nasłuchać przez ostatnie dni. Przekazuje mi kluczyki, ale przy tym bierze mnie za rękę i przytrzymuje zdecydowanie zbyt długo. – Uważaj na siebie, Sam.

Kwituję to szybko kiwnięciem głowy i biegnę do auta. Trasa do centrum chyba jeszcze nigdy nie dłużyła mi się tak bardzo, mimo że po drodze wyciskam z tego złomu wszystko, co jest w stanie mi dać. Nadal zbyt wolno. Kiedy w końcu docieram na miejsce, nawet nie zastanawiam się, jak powinienem to rozegrać, po prostu wpadam do klubu jak w amoku. Korzystam z tylnego wejścia, dokładnie tak jak radziła mi Vicky, dzięki czemu nikt nie bierze na siebie pierwszej fali mojej wściekłości. Żaden nadgorliwy ochroniarz nie staje mi na drodze.

I dobrze.

Zazwyczaj wypełnione po brzegi i tętniące życiem pomieszczenia tym razem są opustoszałe. Między stolikami porusza się kilka dziewczyn, które panują nad porządkiem. Mnie interesuje jednak wyłącznie Liliann. Trasę do jej gabinetu znam już na pamięć. Wyjmuję broń i pokonuję ten dystans w kilku krokach. Wdzieram się

do środka, nie zaprzatając sobie głowy pukaniem. Jestem gotowy na wszystko, ale to, co widzę, cholernie mnie zaskakuje. Lily właśnie stoi nad Vicky jak kat i mierzy do niej z pistoletu, a ta kuli się na podłodze i zasłania rękami, jakby to miało ją w jakiś sposób ochronić przed kulą. Obok niej leży roztrzaskany telefon.

Rzucam się do przodu i chwytam Liliann w ramiona, unieruchamiam, żeby nie mogła zrobić pożytku ze swojej broni. Kątem oka dostrzegam, jak Vicky na czworakach wycofuje się pod ścianę, ale ona się nie liczy. Skupiam się wyłącznie na Lily.

– Gdzie ona jest? – warczę, dociskając przedramię na jej gardle.

– Kto? – charczy niewyraźnie.

– Nie udawaj głupiej, kurwa! – wrzeszczę. – Sky! Wiem, że mnie okłamałaś, pieprzona suko!

Sięgam do jej dłoni, w której trzyma pistolet, i mocno naciskam na palce, by poluzowała chwyt. Robi to i broń upada z trzaskiem na ziemię tuż przy naszych stopach. Zdecydowanie za blisko. Biorę zamach i kopniakiem przesuwam ją na środek gabinetu, daleko poza zasięg naszych rąk.

Liliann jest bezbronna. I tym bardziej zbija mnie z tropu, gdy nagle zaczyna się śmiać. Próbuje, bo dźwięk więźnie jej w gardle. Dusi się, a mimo to jest rozbawiona. Luzuję chwyt, a ona nabiera więcej powietrza.

– Jesteś niemiły. – Wzdycha, a kiedy jej oddech owiewa moją twarz, stwierdzam, że znowu jest pijana. Podle znosi to rozstanie, ale to mój, kurwa, najmniejszy problem. Nie mam zamiaru jej żałować. – A byłeś taki uroczy, gdy wtedy starałeś się uzyskać informacje. Uwielbiałam to, jak się płaszczyłeś. Jak bardzo się szamotałeś. Poszukiwanie prawdy cię ogłupiało. Byłeś wtedy taki bezbronny. Zupełnie nieszkodliwy, i to ja w końcu miałam w ręku kartę, którą mogłam grać, a co lepsze wygrać – bełkocze niezrozumiale, nie przestając się uśmiechać. – Chciałam, żeby ten stan trwał jak najdłużej. Żebyś mógł dobitnie poczuć, jak czułam się ja.

– Co ty pierdolisz?

– Poznałeś mnie wtedy, kiedy nie powinieneś mnie znać. Byłeś zbyt silny, żeby cię zlekceważyć. Musiałam zrobić wszystko, żeby cię

osłabić.

– Miałaś coś wspólnego ze śmiercią Ollie?

– Może miałam, może nie. Spytaj swojej dziwki, może zdradzi ci jeszcze to, skoro wygadała już tak wiele. – Kiwa głową w stronę skulonej na podłodze Vicky. – Tylko się pospiesz, bo czuję, że ona już długo nie będzie miała tym swoim jęzorem. Skończyła mi się cierpliwość.

Nie, to mnie skończyła się pierwszemu.

Przystawiam pistolet do jej skroni, a chłód metalu działa na nią odpowiednio. Jak na każdego, komu wydaje się, że jest niezłomny.

– Kurwa, Sam! – warczy, próbując się oswobodzić, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co się dzieje, a sytuacja, w której się znalazła, sprawiła, że z miejsca otrzeźwiała. – Dylan ją zabił, ja po prostu nie chciałam, żebyś się dowiedział, jasne?! Chciałam mieć nad tobą przewagę. Informacje to cenna waluta, sam to wiesz powtarzasz. Nigdy, ale to nigdy nie podobało mi się, że wiesz o mnie tak dużo! Wszyscy inni, którzy wiedzieli tyle samo, już dawno zdechli. Pomogłam im, ale tobie jakoś nigdy nie byłam w stanie... Nie umiałam cię zabić, ale kiedy tylko nadarzyła się okazja, żeby zdobyć coś, czym to ja mogłabym cię szantażować, postanowiłam z tego skorzystać. Udałoby mi się, gdyby nie ta pierdolona dziwka!

Puszczam ją i powoli się odsuwam. Krok za krokiem. To, co wydarza się potem, dzieje się zbyt szybko, bym mógł odpowiednio zareagować. Skupiam się na Liliann, nie zauważając, że Vicky wstała ze swojego miejsca. Nawet krótki moment nieuwagi zawsze może kosztować sporo. W tym przypadku też. Zanim mam szansę zareagować, Vicky podnosi z podłogi porzucony pistolet i zaczyna mierzyć w kierunku swojej szefowej.

– Gdyby nie ta pierdolona dziwka, którą sama ściągnęłaś sobie z powrotem na głowę, mogłabyś również pożyć trochę dłużej – cedzi przez zaciśnięte zęby i strzela.

Stoję nieruchomo i przyglądam się beznamiętnie, jakbym wcale nie znajdował się w centrum tych wydarzeń. Nawet huk wystrzału nie robi na mnie wrażenia. Nie powoduje, że rzucam się do ucieczki albo odpowiadam ogniem na ogień. Nie. Dopiero dźwięk głucho uderzającego o ziemię ciała wyrywa mnie z otępienia.

Spoglądam na bezwładne ciało Liliann i krzywię się nieznacznie. Współczuję jej? Wcale. Nie znam tego uczucia, a i wiedziałem, że prędzej czy później będzie musiało do tego dojść. Liliann, a także wszystko, co się z nią wiązało, stawało się coraz bardziej kłopotliwe. Liczyłem jednak, że to nie ja będę musiał pociągnąć za spust ani nie będę świadkiem, gdy ktoś mnie w tym wyręczy. Jedno się udało, drugie już niekoniecznie. Cóż, podobno nie można mieć wszystkiego.

Ponownie skupiam się na Vicky. Patrzy w to samo miejsce, jakby nie dowierzając, że rzeczywiście to zrobiła. Łatwo się domyślić, że to nie jest jej chleb powszedni, a raczej pieprzony debiut. Wiem, jakie uczucia to wyzwala, dlatego też, mimo że opuściła broń, wciąż spodziewam się, że w każdej chwili może ją ponownie unieść i wystrzelić. Tym razem w moim kierunku. Ludzie w szoku robią różne rzeczy, a nie jestem pewien, na ile jest świadoma swoich czynów. Ryzykuję. Zbliżam się do niej powoli. Kiedy dzieli nas od siebie ostatni krok, ona zwraca się ku mnie.

– Nie ma jej tutaj – odzywa się łamiącym się tonem, ale gdy chwytam ją za rękę, posłusznie rozluźnia palce i pozwala odebrać sobie pistolet. Od razu czuję się pewniej. W przeciwieństwie do niej.

– Okłamałam cię. Nie chciałeś mi ostatnio pomóc, odwróciłeś ode mnie wzrok, więc musiałam radzić sobie sama. Wiedziałam, że nie przyjdiesz tu, jeżeli cię poproszę. Już kilka razy mi odmówiłeś. Co innego, gdy będzie chodziło o tę twoją małą. Mimo wszystko nadal cię lubię. Bardzo. To coś, co zawsze łączyło mnie z Liliann. Obie miałyśmy do ciebie słabość i podobnie jak ona nie byłabym w stanie zrobić ci krzywdy. Jej musiałam, bo to ona pierwsza skrzywdziła mnie. A dzisiaj zrobiła to znowu.

– Tym razem miała powód? – dopytuję, ignorując całą resztę. Jestem świadomy uczuć, jakie żywi do mnie Vicky. Zawsze byłem, ale w tym momencie to mój najmniejszy problem.

– Nie – odpowiada, ale zbyt szybko, żebym mógł dać wiarę jej zapewnieniom.

– Co znowu zrobiłaś?

– Chciałam cię tu sprowadzić, żebyś mi pomógł. Usłyszała, jak do ciebie dzwonię. Wkurwiła się podwójnie, bo raz, że dzwoniłam do

ciebie, dwa, że ukryłam przed nią telefon, o którym nie miała pojęcia. A wcześniej? Dostałam wpierdol, bo okradałam klientów. Gorsze było to, że nie dzieliłam się tym z nią. Ten telefon też zabrałam jeszcze wtedy, gdy przez chwilę byłam wolna i mogłam działać na własną rękę. Wzięłam go sobie, bo kutas nie chciał zapłacić. Sama się obsłużyłam. I wiesz? Trochę go przejrzałam. Znajdują się na nim ciekawe rzeczy. Szczególnie jeden filmik. – Wciska mi do ręki komórkę oraz karteczkę. – Tutaj masz adres, gdybyś chciał porozmawiać o nim z właścicielem, a teraz mnie puszczaj i oddawaj. – Zabiera mi broń, a ja jej na to pozwalam. – Muszę skasować monitoring i wyparować, zanim ktoś zorientuje się, co tu się stało.

– Co zamierzasz potem? – Wolę się upewnić, bo jej wcześniejsze ruchy nie były przemyślane. Nie chcę, by pociągnęła mnie za sobą, gdy znowu potknie się o własne nogi.

– Chcę wrócić do siostry i zacząć nowe życie. Taki był plan od początku – stwierdza beznamiętnie. Przez chwilę nie odrywa wzroku od martwego ciała, a kiedy w końcu spogląda na mnie, jest nad wyraz spokojna. – Tobie też radzę się stąd ruszyć.

Nie zamierzam z nią dyskutować. W tej jednej kwestii się zgadzamy. Trzeba stąd spierdalać, i to jak najprędzej, zanim zrobi się dym. Wracam do auta i odjeżdżam. Zatrzymuję się dopiero dobre kilkanaście minut później, kiedy jestem pewien, że nikt za mną nie podążył. Przystaję na uboczu, po czym sięgam po telefon. Nie wierzę, że to może w czymś mi pomóc, ale z braku innych możliwości, tak jak doradzała mi Vicky, przechodzę do multimediiów i niemal natychmiast natrafiam na coś, co wygląda interesująco.

Włączam filmik.

Małe biurowe pomieszczenie i jakaś para. Przyglądam się im uważniej, dzięki czemu ku swojemu zaskoczeniu rozpoznaję Sky. Dlatego Vicky stwierdziła, że to mnie zainteresuje! Musiała ją zapamiętać, gdy spotkaliśmy się na placu, i połączyła kropki. To mogłoby mnie niepokoić, ale w tym momencie jestem jej wdzięczny. Skupiam się ponownie na ekranie. Oglądam, jak moja anielica łąsi się do jakiegoś kolesia, sama pozbawiając się ubrań, choć ten nawet na nią nie patrzy. Wszystko w niej krzyczy: desperatka! Mimo to nie

przestaje i w końcu osiąga swoje, bo facet postawia się nią zając. Niestety jej radość nie trwa długo. Krótkie pieszczoty szybko zostają przerwane przez starszego mężczyznę, jak mniemam ojca Sky, który wpada do biura. Ona staje mu na drodze, krzyczy. Oboje na siebie wrzeszczą. W całe zamieszanie włącza się ten typ. Podchodzi, odpycha Skyler i rzuca się na jej ojca. Bierze zamach, wymierza i trafia celnie, bo nokautuje staruszkę. Ten się przewraca, uderzając głową o biurko. Pada jak martwy. Sky panikuje, chce podejść, ale facet chwyta ją za nadgarstek i siłą wyprowadza z pokoju. Filmik się kończy, ale ja jeszcze przez dłuższą chwilę wpatruję się w ekran. Czekam na ciąg dalszy. Nie dostaję go. Skyler właśnie o tym mi opowiadała, choć z jej perspektywy wyglądało to jakoś, kurwa, inaczej.

Powoli dociera do mnie, czego tak właściwie byłem świadkiem. Łączę fakty i uświadamiam sobie, jak to odkrycie może zmienić życie Sky. O ile będzie miała szansę się o tym dowiedzieć. Ja pierdołę! Ona przecież nic nie zrobiła. Popełniła jedyny błąd, gdy próbowała zbliżyć się do typa, który na to nie zasługiwał i ją wykorzystał. Przypuszczam, kto mógł za tym wszystkim stać, ale postanawiam znaleźć potwierdzenie tych podejrzeń. Nie tracę czasu. Sprawdzam połączenia i wiadomości. Większość z nich kierowana jest pod jeden numer. Zapoznając się z treścią tych SMS-ów, już wiem, do kogo należy.

Patrzę na karteczkę. Zastanawiam się, czy pod tym adresem spotkam właśnie jego. I czy będzie z nim Sky. Mam olbrzymią ochotę się o tym przekonać.

Jadę, a nawigacja prowadzi mnie w stronę cmentarza Elmwood. Mało przyjemna dzielnica, ale moja ciekawość jest silniejsza niż niechęć do przebywania w bliskim otoczeniu z truposzami. Podążam wzdłuż ogrodzenia i w końcu docieram do celu. Na końcu ulicy położony jest mały, dość zaniedbany domek, którego z trzech stron otaczają drzewa. Obok nie ma innych zabudowań. Po drodze widziałem kilka dopiero co powstających budynków, ale tutaj deweloperka jeszcze nie zdążyła dotrzeć. Zatrzymuję się w bezpiecznej odległości, pozwalając, by gęste, pokryte warstwami śniegu zarośla zakamuflowały auto. Jestem na tyle daleko, że nikt

mnie nie zobaczy, ale ja za to mam świetny punkt obserwacyjny. Widzę, jak jakiś facet wychodzi z domu. Na żwirowym podjeździe stoi czarny chrysler. Ten sam, który niemal rozjechał mnie w dniu zaginięcia Sky. To właśnie do niego zmierza mężczyzna.

Skupiam się przez chwilę na facecie i dochodzę do wniosku, że to wcale nie typ z nagrania, ale tego też już gdzieś widziałem. Przeszukuję pospiesznie wspomnienia i tak, mam to! To w niego z takim przerażeniem wpatrywała się Sky na ulicy! Elementy układanki powoli łączą się w całość, może wciąż pokraccną, ale jak dla mnie wystarczającą.

Koleś wsiada do samochodu. Mógłbym pojechać za nim i dobitnie przekazać mu, co sędzę o jego pierdolonym szantażu. Mógłbym, ale dużo bardziej zastanawia mnie, czy Skyler rzeczywiście jest w tym domu. Wykorzystuję moment, gdy typ znika za rogiem, i sam wysiadam z auta. Okrążam dom, ale nie zauważam żadnego uchylonego okna. Trudno. Jestem zmotywowany. Podnoszę z ziemi największy z rzucających się w oczy kamieni i rzucam w szybę. Huk tłuczonego szkła na chwilę mąci panującą w okolicy ciszę, ale to mnie nie płoszy. Opieram dłonie o parapet i podciągam się, żeby dostać się do środka.

Wnętrze nie wyróżnia się niczym szczególnym. No może tym, że jest kompletnie puste, jakby dopiero ktoś planował się tu wprowadzić albo właśnie z niego uciekał. Zaglądam do kolejnych pomieszczeń, ale wszystkie pokoje są do siebie podobne. Białe ściany i pokryte grubą warstwą kurzu panele, jakby nikogo tu nigdy nie było. To dziwne, bo przecież ten koleś dopiero stąd wychodził. O jego obecności świadczą tylko ślady butów prowadzące od wejścia prosto do ostatnich drzwi znajdujących się na prawo. Tuż za nimi, jak się okazuje, rozciągają się schody, po których można dostać się najpewniej prosto do piwnicy.

Zwalczam rodzący się gdzieś głęboko w moim wnętrzu niepokój. To wszystko jest jakieś absurdalne, jakby wyrwane z tandetnego filmu, ale dotarłem tak daleko, że i tak zamierzam to sprawdzić. Schodzę ostrożnie w dół. Stopnie niepokojąco trzeszczą i skrzypią przy każdym kroku, jakby grożąc zawaleniem. Mnie nie odstrasza. W końcu docieram do celu. Drzwi są zamknięte, ale na szczęście

w zamku tkwi klucz. Ktoś o nim zapomniał albo czuł się zbyt pewien tego, że jego sekrety są bezpieczne. W każdym razie postąpił w chuj głupio. I właśnie się przeliczył.

Wchodzę do środka.

Łuna światła wpadająca do pomieszczenia przez otwarte drzwi oświetla drobną postać skuloną w kącie. Gdybym był nierozważny, mógłbym ją tutaj przeoczyć. Ale nie. Wzrok mnie nie myli.

Jest. *Moja anielica*.

Robię krok w jej stronę, przez co wzdryga się, jakby dopiero się przebudziła, i krzyczy:

– Nie! Zostaw mnie! Błagam! – Zaczyna płakać i zasłania się rękami. – Ja już więcej nie mogę! Nie zniosę tego!

Nie słucham tych próśb, podchodzę bliżej, a ona jeszcze bardziej się kuli i wciska w kąt.

– Sky, to tylko ja... – odzywam się cicho, jak do dzikiego zwierzęcia, które łatwo można spłoszyć. Dopiero słysząc mój głos, przestaje się tak przeraźliwie trząść.

– Sam?

Padam tuż przy niej na kolana.

Piwniczny półmrok ogranicza mi widoczność, ale mimo to kilka rzeczy mi nie umyka. Sky nie wygląda dobrze. Potrafię to stwierdzić nawet w takich warunkach. Jest naga i cała poobijana, a szczątki ubrań leżą wokół niej porozrzucane na podłodze. Bez wątpienia ktoś zdierał je z niej siłą. Wokół nadgarstków i kostek ma zaplątany gruby jutowy sznur, który już zapewnił jej krwiste obtarcia w niektórych miejscach. Kiedy unosi ku mnie twarz, pierwsze w oczy rzucają się potworne, znaczące jej policzki siniaki. One wyglądają najgorzej. Ma rozciętą, opuchniętą wargę, która trzęsie się w niekontrolowany sposób. To chyba najświeższa rana, bo wciąż cieknie z niej krew. Najbardziej bolesne jest jednak to, co widzę w błękitnych, zapłakanych oczach. Nigdy jeszcze nie widziałem w nich takiej rezygnacji. I błagania. Sky patrzy na mnie tak, jakbym był jej kołem ratunkowym. Jediną nadzieją.

Dziwne uczucie.

Do tej pory to ja tę nadzieję gasiłem.

– Kto ci to, kurwa, zrobił? – warczę bardziej sam do siebie, nie licząc na odpowiedź, ale ona i tak się odzywa.

– Philip, narzeczony mojej matki – szepcze. Podciąga kolana do piersi i opiera na nich podbródek. – Znalazł mnie i dopadł, jak tylko wszedłeś do mieszkania. Nie wiem, co zrobił, ale straciłam przytomność, a kiedy się obudziłam, byłam już tutaj. Nie umiałam się stąd wydostać.

– Zrobił ci krzywdę? – Wiem, że to dla niej trudne, ale muszę znać odpowiedź. Po prostu muszę. Wystarczy mi choćby krótkie przytaknięcie. Nic więcej.

Kiwa głową i zaczyna szlochać.

– Przyszedł tu niedługo po tym, jak się ocknęłam. Kazał mi ściągnąć ubrania, a kiedy nie chciałam, sam je ze mnie zdarł. Prosiłam go, błagałam, żeby przestał, ale nie słuchał. Nie chciał... Broniłam się i szarpałam, ale on i tak... – Głos jej się łamie.

– Nie musisz o tym mówić...

– Wszedł we mnie siłą. Czułam go, Sam – wyznaje tak cicho, że ledwo ją słyszę. – Tak wszystko mnie bolało. Nadal boli. Jakbym rozpadała się na kawałeczki. Cały czas od nowa. Rozumiesz?

Zamykam oczy i mocno zaciskam zęby. Jej słowa sprawiają mi większy ból, niż gdybym miał dostać po gębie. Dotykają bardziej, niż mógłbym się tego spodziewać.

– Po wszystkim sobie poszedł, zostawił mnie tu samą, a potem wrócił. Zrobił to znowu. I potem jeszcze raz.

– Przestań.

– Ja już nie mogłam – kontynuuje, jakby nie dotarło do niej to, co powiedziałem. Wygląda, jakby była w transie. Kołysze się w przód i w tył. To ją niszczy, ale nie potrafi przestać. Słowa same wypływają z jej ust. – Nie wiem, kiedy przestał, zemdlałam. Jego to nie interesowało. Nawet kiedy byłam ledwo przytomna, i tak dotykał. Nie mogłam nic z tym zrobić, rozumiesz? A kiedy tylko widział, że znowu zaczynam się bronić, kazał mi...

– Nic już nie mów, kurwa! – ucinam ostro. Zbyt ostro, bo Sky się wzdryga, jakbym ją uderzył. Przynajmniej znowu na mnie patrzy. Przez sekundę, a potem odwraca wzrok.

– On zaraz ma wrócić – dodaje cicho. – Powiedział mi to. Miał jechać tylko na chwilę. Nie możesz tu zostać, bo zrobi ci krzywdę. Musisz uciekać.

Kręcę głową. Te jej obawy są śmieszne. Byłyby, gdyby nie wypowiadała ich z takim przekonaniem. Zamiast się śmiać, mam ochotę wybić komuś zęby, a potem go nimi nakarmić.

– Porozmawiamy o tym później, jak już zabiję tego skurwysyna – obiecuję. Nie wiem, czy jej, czy sobie. Wiem, że po prostu to zrobię. Niedługo.

Wzdycham ciężko, ale biorę się w garść. Nie sądziłem, że tak mnie to trzepnie i będę musiał coś takiego zrobić. Stało się, kurwa. Ktoś z nas musi trzymać pion, a po niej tego nie oczekuję. Sięgam do więzów, a ona znowu się spina, jakbym to właśnie ja był odpowiedzialny za stan, w jakim się znajduje. *Ja pierdolę!* Chwilę siłuję się z węzłami, starając się nie dotykać jej podrażnionej skóry, bo ilekroć zbliżam do niej palce, Sky zaczyna się ponownie trząść i szlochać. To jakiś, kurwa, koszmar. Na szczęście ktoś, kto ją związywał, kompletnie nie zna się na rzeczy. Supły nie są ani skomplikowane, ani ściśnięte zbyt mocno. Gdybym nie musiał obchodzić się ze Sky jak z tykającą bombą przy rozbrajaniu, dużo szybciej byłaby wolna. Gdyby nie była w takim stanie, prawdopodobnie nawet sama by sobie z tym poradziła. W końcu jednak się udaje. Odrzucam sznur na bok i pomagam jej wstać. Kilka dni i wszystko, czego doświadczyła, sponiewierało ją do tego stopnia, że nawet ta prosta czynność sprawia jej problemy. Jest tak osłabiona, że w pierwszej chwili chwieje się, jakby miała zaraz znowu upaść. Nie zważając na to, w jaki sposób reaguje na mój dotyk, chwytam ją w tali i przytrzymuję, aż sam nie czuję, że wszystko jest już dobrze i będzie w stanie ustać samodzielnie chociaż przez moment. Ściągam z siebie bluzę, po czym wkładam ją jej przez głowę, by mogła się zakryć. Pozwala też włożyć sobie buty, które znajdują porzucone po drugiej stronie pomieszczenia. Kończę i w tym samym momencie gdzieś nad nami rozbrzmiewa warkot silnika.

Wrócił.

Sky patrzy na mnie z paniką. Domyślam się, jak bardzo musi być przerażona, ale to nie jest dobry moment, żeby ulegać takim emocjom. Wyciągam broń, aby mieć ją w pogotowiu, po czym chwytam dziewczynę za rękę i ciągnę za sobą. Nie nadąża. Ledwo przebiera nogami, przyciskając dłoń do brzucha, jakby liczyła, że to zminimalizuje ból. Nie mam wyboru. Biorę ją na ręce i wynoszę po schodach. Chciałbym dalej, ale nie mogę. Muszę mieć wolne dłonie, żeby zadbać o jej bezpieczeństwo. Potem zajmę się nią odpowiednio. Jak już się z nim policzę.

Przed domem stoi zaparkowany chrysler. Zbiegamy z werandy, a facet w tym samym momencie wysiada z auta.

– Ej, co jest, kurwa?! Dokąd to?! – wrzeszczy zaskoczony, ale szok nie trwa długo, bo po chwili z powrotem wsiada do środka samochodu. Robi to tylko po to, by sięgnąć po broń.

Słyszę za sobą, jak ją przeładowuje i strzela. Na oślep, bo pocisk nie pada nawet blisko. Jednak huk wystrzału powoduje, że Sky wrzeszczy ze strachu i niespodziewanie rzuca się tak, że wytrąca mi z dłoni mój pistolet. Nie mam szansy oddać strzału. Broń upada na ziemię, wpada w ograbiony z liści, pokryty grubą warstwą śniegu krzak. Nigdzie jej nie widzę. Mógłbym zacząć szukać, ale na to nie ma czasu. Musiałbym wybrać między nią a Sky, bo ta zachowuje się, jakby coś ją sparaliżowało. Zamiast uciekać dalej, skryć się i dać mi chwilę, ta tkwi w tym samym miejscu i się kuli. Wystawia się jako idealny cel, z którego Philip ma zamiar skorzystać, bo wyciąga przed siebie dłoń i wymierza. W ostatniej chwili chwytam Skyler za ramię i przyciągam do siebie. Pocisk przelatuje nam wysoko nad głowami, ale to w żaden sposób nie może działać uspokajająco. Osłaniam Sky całym sobą, przygniatając ją do ściany domu, by mogła wziąć się w garść.

– Pomogę ci uciec – szepczę jej gorączkowo do ucha – ale nie możesz się zatrzymywać. Musisz ze mną współpracować, musisz biec. Wiem, że to trudne, ale dasz sobie radę. Zobacz, tam jest niewielki lasek. – Ruchem podbródka wskazuję na drzewa roztaczające się za domem. – W nim go zgubimy. Będziesz bezpieczna.

Patrzy mi w oczy. Nie wiem, na ile to pomogło, ale kiwa sztywno głową, więc chwytam ją za rękę i ciągnę, choć potyka się o własne nogi, z trudem przedzierając się przez połacie śniegu. Wbiegamy między drzewa, a Philip podąża za nami. Mamy nad nim przewagę, ale ta coraz bardziej się zmniejsza. Słyszę, jak biegnie, łamiąc cienkie gałęzie i usilnie starając się poprawnie wycelować. Huk wystrzału raz po raz przerywa ciszę panującą do tej pory w lesie. Koles nie ma farta, ale raz na jakiś czas nawet ślepemu się udaje. Nie chcę sprzyjać losowi.

Sky z trudem dotrzymuje mi kroku. Czuję, jak stawia coraz większy opór. Chciałaby dalej biec, ale nie ma siły. Adrenalina już jej nie napędza. To się nie uda. Muszę zapewnić jej więcej czasu, by mogła bezpiecznie się schować.

Spoglądam przez ramię i widzę, że Philip przystanął, żeby uzupełnić magazynek. Wystrzelał już całą amunicję. Kretyn. Istny, kurwa, kretyn, ale tacy są najmniej przewidywalni i przez to kurewsko niebezpieczni.

Wykorzystuję ten moment.

Chwytam twarz Sky w dłonie, bo chcę, żeby uważnie na mnie popatrzyła i posłuchała.

– Musisz się schować. Spróbuj tam. – Wskazuję na polanę rozłożystych, pokrytych szronem i śniegiem paproci, która znajduje się kilka kroków od nas. – Po prostu się połóż. No zaufaj mi! – szepczę nagle, bo patrzy tak, jakbym postradał rozum. Jest totalnie przerażona. Wiem, jakie to, kurwa, ryzykowne, ale nie mamy innego wyboru. – Nie zauważy cię, bo jest za bardzo skupiony na tym, żeby nas złapać. Odciągnę go. Tylko błagam, co byś nie usłyszała, nie wychylaj się – mówię nerwowo. Po wyrazie jej twarzy przypuszczam, że się na to nie zgodzi i nie będzie chciała mnie zostawić samego, więc dodaję, mając nadzieję, że w to uwierzy: – Wrócę i cię znajdę. Już kilka razy mi się udało. – Wciąż nie wydaje się przekonana, ale to zapewnienie popycha ją do przodu.

Kiwa głową i robi dokładnie to, czego od niej chciałem, a ja ruszam w przeciwnym kierunku. Wcale się nie kryję. Zachowuję się najgłośniej, jak się da. Chcę zgarnąć dla siebie całą uwagę tego czuba. Tylko na chwilę przystaję przy jednym z drzew, by

zorientować się lepiej w tej sytuacji. Przesuwam po pniu dłoń, wyczuwając opuszkami palców chropowatą strukturę. Nasłuchuję. I mam go. Wyłapuję jego spojrzenie kilka stóp dalej. Zdecydowanie bliżej, niż tego oczekiwałem, ale połknął haczyk.

Rzucam się do ucieczki, poruszając się zygzakiem, by utrudnić mu jeszcze bardziej wycelowanie. Od czasu do czasu spoglądam przez ramię, czy na pewno dalej gra w moją grę. Biegnie. Nie strzela, ale słyszę, jak niskie krzewy uginają gałęzie, gdy się przez nie przedziera. Wszystkie moje zmyły stają się bardziej wyostrzone. To akurat bardzo mi sprzyja. Nie mam zamiaru bawić się w pościgi bez końca. Chcę jedynie odciągnąć go jak najdalej od Sky.

Kiedy osiągam ten cel, wybieram jedno z potężniejszych drzew, które zauważam, i chowam się za nim. Liczę, że facet zmęczył się na tyle, że łatwiej będzie pozbawić go broni. Czekam chwilę, a gdy słyszę, że jest już blisko, wychylam się ostrożnie. Philip na mój widok natychmiast wymierza i strzela. Jestem gotowy odskoczyć, by następnie ruszyć się w jego stronę, ale nic się nie dzieje. Philip ponawia próbę, ale najwidoczniej coś się zablokowało przy wymianie magazynku. To wyprowadza go z równowagi, bo klnie siarczyście, odrzuca broń i rzuca się na mnie z pięściami. Jakby, kurwa, miał jakiegokolwiek szanse.

Daję mu poczucie, że jest górą, i przyjmuję pierwszy cios, po którym odskakuje i znowu się zbliża. Tym razem to ja leję go po mordzie, aż okulary spadają mu z twarzy, a potem trzeszczą, gdy nadeptuję je butem. Philip wznawia atak z jeszcze większą siłą. Kilka razy trafia celnie, ale i obrywa coraz bardziej. Biorę zamach i uderzam go w nos. Niemal słyszę trzask pękających kości, a to, że się wykrwawia, jest faktem. Philip ryczy wściekle, po czym pochyła się, starając się z rozbiegu i całym ciężarem ciała zwalić mnie z nóg. Zły ruch. Najgorszy z możliwych. Nie dość, że nie udaje mu się osiągnąć tego, co sobie zaplanował, to jeszcze pięknie się wystawił. Robię unik i w zamian walę go łokciem prosto w kark. Stęka głucho i upada na kolana. Nie daję mu szansy na podniesienie się. Zanim to robi, łapię go za włosy i zmuszam, aby utrzymał taką pozycję. Szamocze się, ale nie ma szans z moją siłą. Ciągnę go mocno, aż kępa włosów zostaje mi w garści, i z całej siły posyłam go na glebę.

Prosto na wystający kamień. Uderzam o niego jego czaszką. Mocno. Po pierwszym razie jeszcze walczy. Przy drugim przestaje. Jego ciało wiotczeje, ale ja nie mam zamiaru odpuszczać. Nieznana siła, pieprzona furia, przejmuję nade mną kontrolę. To ona steruje moimi rękami. Zatracam się w tym ruchu, wyładowuję na nim całą frustrację zebraną z ostatnich lat. Choć nie był temu winny, to na nim odreagowuję gówniane życie, każdą stratę z osobna. Powtarzam ruch, aż słyszę charakterystyczny chrupot rozłupywanej kości. To wciąż za mało. Niedostatecznie.

Chciałbym powtarzać to w nieskończoność, ale przez mgiełkę krwistej furii dociera do mnie, po co tak właściwie to robię. Dla kogo. I to powoduje, że rozluźniam pięść, pozwalając, by opadł na ziemię.

Patrzę na nieruchome, zakrwawione ciało. Śnieg wokół niego został zabarwiony na czerwono, a w miejscach, gdzie biały puch się nie osadził, juchę pochłonał mech. Dostrzegam pojedyncze mieniące się szkarłatem krople między zielono-szarymi fragmentami rośliny. Las zajął się porządkowaniem po swoim. Dlatego też nie tracę siły, aby pozbyć się trupa. Myślę, że zwierzęta zrobią to dużo skuteczniej.

Ruszam w kierunku, w którym pozostawiłem Sky. Idę przez dobre kilka minut, rozglądając się i nawołując. W końcu ją znajduję. Siedzi na śniegu, skulona między rozłożystymi, oszronionymi bielą liśćmi paproci tak, jak jej to poleciłem. Wygląda jak rusałka. Bardzo poobijana i zziębnięta na wskroś rusałka.

– Sky – szepczę, bo wiem, że usłyszysz. Dźwięki w lesie niosą się inaczej. Tutaj nawet najcichszy szepc może zostać odebrany jak krzyk, a nie chcę jej po raz kolejny przestraszyć.

Podrywa głowę i patrzy prosto na mnie. To jedno z tych spojrzeń, których, kurwa, nie potrafię rozpracować. Ona nic nie tłumaczy. Przez chwilę tkwi w bezruchu, ale kiedy zaczynam już wątpić, że doczekam się jakiegokolwiek reakcji, zrywa się z miejsca i biegnie. Chwiejnie, niezdarnie, ostatkiem sił, ale prosto w moją stronę. RzUCA mi się w ramiona całym ciężarem swojego ciała. Impet, z jakim to robi, powoduje, że cofam się o krok, ale utrzymuję nas oboje w pionie. I za chuja sam w to nie wierzę.

– Jesteś... Jesteś ranny. – Cała dygocze, gdy przesuwa palcami po mojej twarzy, rozmazując czerwoną ciecz.

– To nie moja krew – zapewniam ją, choć to nie do końca prawda. Może odrobinę należy do mnie. Nieważne.

Trzymam ją mocno w ramionach i całuję ją w czubek głowy, a ona dopiero teraz decyduje się spokojnie odetchnąć. Tak bardzo się trzęsie, że nie mam sumienia, aby zmuszać ją do wędrówki. Jednym ruchem biorę ją na ręce, a ona wtula się w moją pierś i pozwala zanieść się do auta.

Chwilę później oboje już w nim siedzimy.

Sky cały ten czas prawie się do mnie nie odezwała. Znowu. Jedynie na pytanie, czy zgodzi się odwiedzić szpital, zareagowała histerycznym szlochem i prośbą, żebym zostawił ją w spokoju. Nie mogłem tego zrobić, ale ten pomysł też odpuściłem, a ona pozornie się uspokoiła i ponownie zamilkła. Tym razem powody tego milczenia są zrozumiałe, choć jednocześnie jeszcze bardziej przerażające. Mogę być dobry w chowaniu i odnajdywaniu, ale nie tyczy się to składania kogoś na nowo. Tych zdolności nigdy nie posiadałem. A ona się posypała. Całkowicie.

Podkula pod siebie nogi i patrzy nieobecny spojrzeniem przez okno. Myślni jest gdzieś daleko, jakieś miliony lat świetlnych stąd. Jak mam ją do siebie ściągnąć?

Rozglądam się po kabinie, a mój wzrok pada na telefon, który otrzymałem od Vicky.

– Wiem, że to może być już za wiele – odzywam się po chwili wahania, nadal niepewny, czy postępuję słusznie, wyskakując jeszcze z taką rewelacją, i to po tych wszystkich przeżyciach do tej pory – ale myślę, że powinnaś to obejrzeć. Jeżeli masz ochotę, weź i włącz pierwszy filmik z multimediiów.

Wręczam jej komórkę i ruszam, koncentrując się na drodze. Milczy, ale kątem oka dostrzegam, że robi dokładnie to, co zasugerowałem. Ogląda uważnie, ale kiedy kończy, nadal nie potrafi się przełamać. Patrzę na nią po dłuższej chwili i widzę, jak pospiesznie ociera łzy. Poczucie ulgi najpewniej ją przepełnia. A może to świadomość straconego czasu? Ponownie przenoszę wzrok na ulicę, a Sky stuka w ekran i nawiązuje z kimś połączenie. Czeka, aż ktoś odbierze, przez te kilka sekund całkiem wstrzymując oddech.

– Mamo? – słyszę w końcu. Mocniej zaciskam dłonie na kierownicy. Nie chcę być tego świadkiem, te wszystkie łzawe historyjki to nie moja bajka, ale nie mam szans się ewakuować. – Tak, to ja... Mamo, przepraszam. Żyję. Żyję, ale jeszcze przez chwilę nie wrócę do domu. – Milknie, bo głos po drugiej stronie nie daje jej nawet dojść do słowa. Kiedy w końcu jej się to udaje, odzywa się płaczącym tonem: – Nie krzycz na mnie! Odezwę się za niebawem i wszystko ci wyjaśnię, obiecuję. Kocham cię.

Rozłącza się, nie czekając na kolejne protesty. Dalszą drogę pokonujemy w ciszy i w końcu docieramy na miejsce. Prawie. Parkuję auto za rogiem. Co prawda wątpię, by ktoś rozpoznał ten samochód, ale i tak minimalizuję szansę, że ktoś uczynny doniesie glinom, że wróciłem do domu. Planuję odprowadzić go za chwilę do José, ale wcześniej chcę pożegnać się ze swoim mieszkaniem i zabrać z niego resztę gratów. Ostatnio nie zrobiłem tego odpowiednio, a szanse na ponowny powrót tutaj są żadne. To wciąż nie jest bezpieczne, ale w tym momencie muszę tam wejść. Przeżyłem w nim wiele złych i dobrych chwil, tych pierwszych zdecydowanie więcej, ale właśnie w tym miejscu zawsze łatwiej było mi złapać dystans i trochę oddechu.

Proszę Sky, żeby poczekała. Nie wiem, co zaplanowała, ale wbrew temu, co powiedziała matce, i tak mam w planach wymusić od niej adres i odwieźć ją do domu. Tam będzie miała najwięcej spokoju, żeby dojść do siebie. Ja jej tego nie zapewnię, a i ulica nie jest dobrym miejscem dla niej, szczególnie w tym stanie. A przecież nic już jej nie zagraża, żaden szantaż nie wisi nad głową. Koniec tego pieprzonego udawania. Informuję ją o tym krótko. Zastanawiam się, czy słyszy, co do niej mówię, bo nie reaguje. Kiedy jednak wysiadam i słyszę, że robi dokładnie to samo, stwierdzam, że wiele rzeczy mogło się zmienić, ale kilka jest wciąż niezmiennych. Ona znowu robi na przekór oczekiwaniom.

Rzucam jej krótkie spojrzenie, po czym wychodzimy z za rogu. Wtedy staję jak wryty.

Tuż przy kamienicy stoją dwa radiowozy. Okno do mojego mieszkania wciąż jest otwarte, tak jak zostawiłem je przed kilkoma dniami, gdy opuszczałem je w pośpiechu. Nic się nie zmieniło. No,

może to, że teraz słyszę wydobywające się z wewnątrz obce głosy, krzyki. Gliniarze przetrząsają zakamarek po zakamarku miejsce, do którego nigdy nie powinni mieć wstępu. Tymczasem to ja nie mam tutaj już powrotu. Chociaż kiedyś faktycznie chciałem zostawić to wszystko za sobą i uwolnić się od przeszłości, to jednak utrata jedyne punktu, który był całkowicie mój, zwyczajnie wyprowadza z równowagi. Nie wiem, czy wsypał mnie Max, żeby ratować swoją dupę, czy to faktycznie Maddie wygadała zbyt wiele. Jedna i druga opcja jest możliwa. A może istnieje jeszcze kilka innych. Nieistotne. Ważniejsze, że los choć raz się uśmiechnął i wciąż mogę cieszyć się wolnością.

Cofam się w cień i uderzam pięścią w mur w wyrazie wściekłości. Sky chwyta mnie za drugą rękę, ściska ją. Jest w tym tak słaba, że ledwo wyczuwam ten nacisk.

– Jesteś dobry w odnajdywaniu – odzywa się cicho, gdy wciąż na nią nie patrzę. – A jeszcze lepszy w gubieniu. Czasem mnie to przeraża, ale tylko trochę. Niekiedy wręcz odwrotnie. I teraz tak jest. W tym momencie chyba właśnie tego po prostu potrzebuję. Zgubienia i odcięcia od całego świata. A ty?

Odwracam się i patrzę na nią bez zrozumienia, a ona się do mnie przysuwa. Nie oczekiwałem tego po niej. Nie liczyłem się z tym, że dalej będzie chciała przy mnie trwać.

– Zgubmy się – szepcze mi prosto w usta. Kusi i namawia. Diablica. Poobijana, zmaltretowana do granic możliwości, ale to wciąż ona. Pewnie jeszcze długo nie dojdzie do siebie, ale iskry w jej oczach wcale nie zgasły. Tlą się trochę słabiej, ale wciąż tam są i czekają, aż pomogę rozpalić im się z nową siłą. – Ja nie chcę tam wracać, nie mam siły. To nigdy nie było moje prawdziwe życie. Wszystko, co wydarzyło się ostatnio, jeszcze bardziej mnie w tym utwierdziło. To przy tobie wreszcie czułam się tak, jak zawsze tego chciałam. Gdy cię zabrakło, strasznie się posypało. Może kiedyś spojrzę na to inaczej, ale teraz mnie ukryj. To przy tobie czuję się bezpieczna jak przy nikim innym. Ukryj mnie. Przed światem, nawet przede mną samą. Byle szybko, zanim stracę oddech. Nie umiem żyć na bezdechu. Nigdy nie potrafiłam...

Zamykam jej usta swoimi. Delikatnie, niepewny jej reakcji, ale gdy po chwili wahania odwdzięcza się tym samym, wyzbywam się strachu przed tym, że zaraz posypie mi się w dłoniach. Wtłaczam do jej płuc dech, którego tak desperacko obawia się stracić. Nie powinienem jej na to pozwalać. Nie wiem przecież, co czeka nas za chwilę, nasza przyszłość stoi pod znakiem zapytania i jeszcze nigdy nie była tak bardzo niepewna. Tak właśnie jest, ale zadbam, by akurat tego nigdy jej nie zabrakło. Żeby miała go zawsze pod dostatkiem. Niezależnie od okoliczności. Oboje możemy iść nawet na samo dno. Ona może pociągnąć mnie za sobą albo ja ją. Bywa, kurwa, w życiu już tak jest. Ważniejsze, żeby znaleźć w sobie siłę, by odepchnąć się od dna.

Razem.

Chociażby ten ostatni raz.

Epilog

Cztery lata później

Samuel

W Detroit znowu pada śnieg. Przekląłem go, gdy tylko wjechaliśmy do miasta, ale to nic nie dało. Nie ustąpił. Teraz, stojąc na znajomej ziemi, po której nie stąpałem już od lat, patrzę na białe połacie puchu z olbrzymim obrzydzeniem. Paskudne. Kłamliwe. Upiększają to, co nigdy nie było piękne. Po cichu liczę, że roztopią się za sprawą wrogiego spojrzenia i odsłonią szare, popękane mury okolicznych budynków i pokryte pyłem ulice. Pokażą, jak to miejsce wygląda naprawdę w całej jego surowości. Błagam na darmo, bo wraz z upływającym czasem osadza się go jeszcze więcej. Kilka z płatków spada mi prosto na twarz. Wzdrygam się z niechęcią, bo wraz z jego dotykiem wracają podłe wspomnienia. Podduszają mnie, ale tylko przez moment, potem rozprasza je ciepło obejmującego mnie od tyłu ciała.

Spoglądam przez ramię i widzę ją.

Sky.

To ona chciała tu przyjechać, ale słysząc, jak pociąga nosem i głośno przełyka łzy, już nie mam wątpliwości, że to nie była dobra decyzja. Ta akcja od początku niosła za sobą zbyt wielkie ryzyko, i to z wielu różnych powodów. Podjąłem je i mam. Beczącą anielicę. Mogę się tylko zastanawiać, czy gdybym wcześniej spróbował wybić jej ten pomysł z głowy, posłuchałaby i oboje oszczędzilibyśmy sobie tych atrakcji.

Wątpliwe.

W końcu namawiałem ją na wiele różnych rzeczy i każdorazowo efekt był ten sam. Nie chciała mnie zostawić, nie chciała wrócić do

swojego starego życia. Wybrała wieczną tułaczkę i zapomnienie o wszystkich krzywdach, których doświadczyła. Zaakceptowałem wszystko. Nie rozumiałem, ale pozwoliłem jej samej decydować o sobie. Tak samo postąpiłem w tym przypadku – uszanowałem to, że zechciała pojednać się z matką, porzucić topór wojenny, który już tak długo je dzielił. Z każdym rokiem gryzło ją to bardziej, a kolejny, właśnie upływający, przepełnił czarę goryczy. Pragnęła to zrobić, zanim będzie za późno. Tego też nie mogłem pojąć. Dalej nie mogę. Sam nigdy nie poznałem szanownej mamusi, ale czasami wsłuchiwałem się w ich rozmowy telefoniczne. Krótkie, prowadzone po cichu z telefonu pożyczzonego od obsługi motelu, w którym akurat się zatrzymywaliśmy. To podczas nich kobieta na zmianę prosiła i groziła, starając się przekonać Sky, by zmieniła zdanie. Wiadomo, że była to akcja z góry skazana na porażkę, ale i tak przysłuchiwanie się tym dyskusjom nie było żadną przyjemnością.

Może dlatego przeczuwałem, że wizyta tutaj może się skończyć właśnie w ten sposób. Nie przeszkodziłem jej w tym, ale wyczuwając, jak bardzo teraz drży, żałuję. Tylko czy to by coś dało? Idę raczej o zakład, że i tak postąpiłaby po swojemu, żeby tu dotrzeć. To zdecydowanie w jej stylu. W stylu tej nowej Sky. Odkąd odkryła, że może postawić na siebie i świat jednak się nie skończy, korzysta z tego często, a że to ja jestem najbliżej, testuje zdobyte umiejętności na mnie. Pod pewnymi względami stworzyłem sobie potwora. Wiecznie na przekór, wiecznie po swojemu. A ja? Nie potrafię narzekać. Lubię jej zdecydowanie i jestem o nią spokojny, bo wiem, że ze wszystkim sobie poradzi, choć w tym przypadku wolę mieć ją jednak na oku. Tak dla pewności i dlatego, że mogę mieć ją wciąż blisko siebie. Potrzebuję tego. Chociaż pomogłem jej rozłożyć skrzydła, gdy została poturbowana, to w efekcie to ona nauczyła mnie latać. Bez niej nie wygląda to tak samo. Zwłaszcza że sztukę bezpiecznego lądowania cały czas oboje szlifujemy.

Mam wrażenie, że po wizycie u swojej matki zaliczyła kolejne twarde zderzenie z ziemią. Tym razem nie zdążyłem rozłożyć ochronnego materaca.

– Myślałam, że to będzie łatwiejsze – wyznaje cicho. Uścisk słabnie, aż w końcu całkiem mnie puszcza.

Odwracam się w jej stronę, a ona ociera zapłakane oczy. Chwytam ją za rękę i odciągam od twarzy. Pomimo upływu lat czasami nadal muszę jej przypominać, że nie musi przede mną udawać i się chować. Nie musi, bo akceptuję ją w całości, w gorszych i lepszych momentach. Po prostu.

– Chcesz o tym pogadać?

Wzdycha.

– Nie bardzo jest o czym.

– Mimo wszystko widzę, że to cię gryzie. Mów – namawiam. – Zostawmy to tutaj i spadajmy. Bez bagażu będzie lżej, łatwiej.

– Ona się już nie zmieni. – Wzrusza ramionami i namiętnie kopie czubkiem buta w śniegu. – Miałam nadzieję, że kiedy tu przyjadę, uda nam się jakoś dogadać, nawet nie liczyłam, że padniemy sobie w objęcia czy coś, ale właśnie że będzie chciała mnie wysłuchać i dopuści bliżej siebie. W końcu całkiem inaczej rozmawia się przez telefon, a co innego tak w cztery oczy. Trochę na to liczyłam, ale na dzień dobry dostałam tylko worek pretensji zebranych za te wszystkie lata. Ona nie może mi tego darować. Szczególnie tego, co stało się z Philipem. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, że jej o tym opowiedziałam, ale wtedy chyba tego potrzebowałam. Pamiętasz?

Patrzy na mnie kontrolnie, a kiedy kiwam głową, wzdycha ciężko i milknie. Ani ja, ani ona nie chcemy nawet wspomnieniami wracać do tamtych chwil, mimo że powiązane z nimi emocje wciąż siedzą w nas nieugłaskane. To było trudne. W jednej chwili musiałem nauczyć się, jak obchodzić się ze zgwałconą dziewczyną, która z dnia na dzień zamykała się w sobie coraz bardziej, a musiała mi zaufać, bo tylko na mnie mogła liczyć, choć przecież była świadoma, co chciałem zrobić z Maddie. Byliśmy jednak na siebie skazani i chyba to nam pomogło w końcu się pogodzić z rzeczywistością i wzajemnie się wzmocnić. Długo zajęło nam budowanie na nowo zaufania, ale teraz jesteśmy nie do ruszenia.

– Ona dalej w to wszystko nie wierzy – kontynuuje po chwili. – Widziałam to w jej oczach dzisiaj. Nie zdziwiłabym się, gdyby uznała, że wszystko sobie wymyśliłam, a tak naprawdę namówiłam go, żeby ją zostawił i uciekł. Albo lepiej! Że go jej odbiłam i to z nim się ukrywam! Przecież ciała nigdy nie znaleziono... – Kręci głową,

jakby chciała wyrzucić z niej niechciane obrazy. – Dobrze, że jej nie uświadomiłam, jak naprawdę zginął tata, bo pewnie też nie dałaby wiary, że stał za tym Adam. Prędzej to mnie wpakowałyby za kratki.

– Nie, Sky. Może nie zawsze się dogadywałyście, ale mimo to przez lata żyłyście blisko ze sobą. Jestem pewien, że nie chciałaby ci zaszkodzić.

– Według niej to ja to spieprzyłam w momencie, kiedy nie chciałam wrócić do domu i zachowywać się tak, jak ona by sobie tego życzyła. Usłyszałam, że już nie jesteśmy rodziną. Ba! Wykrzyczała, że może i jest sama, ale nie muszę się nad nią litować, skoro przez tak długo miałam jej uczucia gdzieś. Kazała mi wyjść i nie wracać. Więc wyszłam.

Sky wygląda na zagubioną, jakby właśnie odkryła kolejne miejsce, do którego już nie pasuje. Cóż, może i tak jest, ale ja w zamian znam takie, gdzie wpasowała się idealnie. Wdarła się do mojej głowy i zdobyła serce. Jako jedyna.

– Wiem, że ci trudno, ale to ona musi zacząć odróżniać litość od troski, a przede wszystkim musi chcieć zobaczyć ciebie w tobie. Taką prawdziwą ciebie, a nie tylko jakieś pierdolone, wyidealizowane wyobrażenia. Inaczej nigdy się nie dogadacie. Nie mówiąc już o tym całym wyznawaniu win i padaniu sobie w ramiona – powtarzam jej słowa i wznoszę oczy ku niebu, bo to brzmi wyjątkowo kretyńsko.

– A może właśnie ma rację? – waha się. – Może zachowałam się egoistycznie? Za bardzo skupiłam się na sobie, a powinnam wtedy być przy niej i jej pomóc?

– Bzdura – przerywam jej, zanim zdąży się nakręcić. Nie pamiętam, ile rozmów odbyliśmy na ten temat, ale nie mam zamiaru odpuszczać i pozwalać, żeby znowu wciskała sobie do głowy te idiotyzmy. To nie jest pora, by znów się cofać o te kilka kroków, skoro zrobiliśmy aż takie postępy! – Zgoda, mogło być jej trudno, ale ty też musiałaś dojść do siebie. A przecież i tak ją wspierałaś na tyle, na ile mogłaś. I jeszcze wcześniej oddałaś jej kawał swojego życia. A twoja matka? Przypomnę ci, że sama tylko potrafiła stawiać swoje warunki. Dopóki nie zrozumie, że nie jesteś jej kopią i masz prawo do własnego życia, własnych decyzji, zawsze będzie rozczarowana. To w chuj złe myślenie, ale nic nie poradzimy. To jej wybór. Każdy

dokonuje swojego. Ja też to zrobiłem i zapewniam cię, że była to najlepsza decyzja w całym moim pieprzonym życiu – oznajmiam pewnie i przyciągam ją do siebie, pozwalając, żeby wtuliła się w moją pierś.

– Kocham cię, wiesz? – szepcze i unosi ku mnie twarz, a ja w odpowiedzi wpijam się w jej usta. Nigdy nie byłem dobry w poruszających przemowach, słowa nigdy ze mną dobrze nie współgrały, znacznie lepiej czuję się, mogąc udowodniać codziennie, co tak naprawdę czuję.

Bo czuję. Wreszcie.

Ciągnę ją za sobą, chcę ruszyć dalej. Zostawić za sobą to całe gówno. Nie musimy brać na siebie więcej. Już samo życie w ukryciu nie jest łatwe. Radziłem sobie w pojedynkę, ale z nią jest inaczej. Swoje życie mogłem ryzykować, mogłem nim grać, jak chciałem. Tymczasem stawka urosła do niebotycznych rozmiarów i wymaga ode mnie więcej rozsądku. Decyzje, które kiedyś przychodziły mi bez wahania, dziś wymagają głębszego zastanowienia. Gdyby nie początkowe wsparcie José, nasz sen o wolności najpewniej szybko zostałyby przerwany. Tymczasem wciąż dajemy radę. Wskoczyliśmy w dobry rytm. Od wielu miesięcy zmieniamy miejsca, dokumenty, nigdzie nie zatrzymując się na dłużej. Ostatecznie pourywałem kontakty, mogące do mnie w jakikolwiek sposób doprowadzić. Nie mam pojęcia, co dzieje się u ludzi, których zostawiliśmy daleko za sobą. To nie ma znaczenia. Dla mnie liczy się tylko Sky, bo mając ją przy sobie, mogę uciekać i przez całe życie, nie czując się wcale wygnanym. Wszystko, do czego mógłbym chcieć wracać, to ona.

Skyler wsiada do auta. Otwieram drzwi po swojej stronie, ale jeszcze na chwilę się zatrzymuję. Biorę głęboki oddech, chcąc się po raz ostatni nasycić tym powietrzem. Szybko tu nie wrócimy. O ile kiedykolwiek.

Zamykam oczy, a gdy je otwieram, znowu dostrzegam przeszłość. Ona nie zniknęła. Nigdy tego nie robi. Tym razem zmaterializowała się w postaci człowieka, którego nie chciałem już nigdy więcej spotkać na swojej drodze. Dylan. Stoi po drugiej stronie ulicy wraz z Emily i Maddie. Nic dziwnego, w końcu to ich okolica. Brałem pod uwagę, że może do tego dojść, ale mimo wszystko cały się spinam.

Dziewczyny mnie nie zauważyły. Przystanąły przy jednej z wystaw sklepowych, podziwiając sukienki. Szkoda, że Madsen nie poszedł ich tropem. On skupia się wyłącznie na mnie, a jego spojrzenie ziele nienawiścią. Nie dziwię się. Sam nie wiem, co czuję, gdy widzę przed sobą jego i dziewczynkę, która ma się tak dobrze, a niedawno jej los był wyłącznie w moich rękach. Mogłem go zgasić, ale tego nie zrobiłem. Nie ma dnia, żebym nie zastanawiał się, dokąd by mnie to zaprowadziło.

Przenoszę jeszcze raz wzrok z Maddie na Dylana. Widzę po nim, że wciąż pamięta, ba, bardzo dokładnie pielęgnuje wspomnienia, których mu dostarczyłem. Mogliśmy się zmienić, wewnętrznie odrobinę wyciszyć, ale takich rzeczy zwyczajnie się nie zapomina. Coś o tym wiem. Sam przecież żyłem chęcią zemsty. Chciałem się nasycić, ale niezależnie od podejmowanych kroków wciąż doskwierał mi głód. Dopiero Sky mnie nakarmiła. I syci nadal. Przychodzi i rozprasza ciemność. Niezmiennie od lat. Czasem jednak wystarczy mały impuls, a w stercie wspomnień na nowo zaczyna błyszczeć nieproszona iskra. Nieugaszona na czas może na nowo wywołać pożar. Jestem spokojny. Mam przy sobie kogoś, kto zadba, aby nie spopieliała tego, co udało nam się do tej pory zbudować.

– Sam, jedziemy? – Z zamyślenia wyrywa mnie Skyler.

– Ta, nic tu po nas – rzucam tylko i wsiadam za kółko.

Przejeżdżając obok sklepu z sukienkami, wciąż czuję na sobie ten sam nienawistny wzrok. Odwzajemniam go i jednocześnie mocniej zaciskam dłonie na kierownicy. Dylan bowiem wygląda tak, jakby zrobiło mu się bardzo gorąco, a ja nie mam pewności, czy ktoś zapanuje nad jego ogniem...